



EX - LIBRIS



**ANTONIEGO
—BROSZA—**

**DAR
ANTONIEGO
BROSZA**

Antoni Brycey.

WŁADYSŁAW ORKAN

LISTY ZE WSI

Tom I.



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

WYDAWCA W. ORKAN

LISTY ZE WSI

Tłocznia
WŁ. ŁAZARSKIEGO
w Warszawie

SKŁADY GŁÓWNE:

„THE POLISH BOOK IMPORTING C-o., INC.” — NEW-YORK
„KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, Sp. Akc.” — KATOWICE

1925

I. LUD W MASIE. — UWAGI WITKIEWICZA. — LUD A PAŃSTWO.

Na olbrzymiem, nierównem rozłożu, od Bałtyku po Tatry, od niemieckich miedz po sęła ruskie, rozwinął się, o różnym roślinnym i drzewnym przystroju, a jednako pełen swoistego uroku — pejzaż polski. W rozmaitych, bogatych lub uboższych oramieniach tego pejzażu zakwitły setki wsi: skupiskami przydrożnemi w niżach, dziedzinami i rozstraconemi osiedlami w roztokach górskich. Na okół tych tysięcznych siedzib zaima się pejzaż, przemienny porami roku, rodzajem ludzkim. Od wczesnej wiosny, gdy pierwsza wynika zieleń — przez lipce, sierpień słoneczne — dzwonią i roją się ludzkiemi zabiegami jakoby pszczelnym trudem pola, hukają lasy i stukają odgłosami rąbanic jak kuciem dzieciołów, po ostatnie, rdzawe dni listopada. A zimą długą — zaiście dzięki prapradziadom, którzy tu sadyby swe obrali, prawdziwie oj-

czyźnianą — gdy śniegowa gruba ościel okryje wszystko, wysnuwają się, jak hołd niebu kadzielny, dymy z chałup — błękitnią się ślady stóp między osiedlami — znaczą się wstęgami w pustkowiu koleje sań — wiodą szerzej udeptane trakty ku miastom.

Morze, szumiące latem — uciszone zimą. Wśród tego morza, jak wyspy rzadkie — miasta... Kipiące znów swoistym życiem, o życiu właściwym onego morza okrężnego nic nie wiedzące.

A w tych zatoniętych w pejzażu polskim wsiach miliony istot trudzą się, cierpią, weselą, walczą, padają i krzepią się nadzieją ostawione samym sobie, otoczone całym światem swoistych wyobrażeń. Lud w masie — przez mgłę zdala widny.

Był czas, po powstaniu 63 r., gdy widziano, że bez udziału masy ludu czyn odrodzieńczy nie da się pomyśleć. „Historyczną zasadą obecnej chwili“ — stwierdza Witkiewicz przed 20-tu laty — „jest uznanie mas ludowych, jako rozstrzygającego czynnika narodowego bytu. Z temi lub owemi zastrzeżeniami wszyscy stwierdzają, że od sił, które się znajdują w łonie ludu, zależy przyszłość“.

Rzucono się tedy nagwałt do „oświaty“ i „podnoszenia“ ludu. Poczęto lud gloryfikować w poezjach, w obrazkach „malowanych w słońcu“. Wszystkie przymioty najlepsze

w nim widziano. Wszystkie nadzieje z nim łączono.

Lud spełnił pokładane w nim nadzieje — częściowo. Zastąpił go bieg wydarzeń, sprawiedliwość dziejowa.

I oto — w Polsce wolnej — lud biały stał się naraz czarny. Przypomniano sobie nagle jego „chamstwo“, co nawet przewódcom jego wbrew rzucono.

Wrażenie zastąpiło wiedzę istotną o ludzkiej — tak wtedy, gdy go pokostowano na różowo, jak dziś, gdy się go widzi we wszystkich ciemnych barwach.

Lud w rzeczy jest dziś narodem — choć w masie świadomości tego nie posiada. Poznać zaś naród swój jest chyba pierwszym obowiązkiem — kwestją bytu na przyszłość — każdego obywatela. Nim lud — siebie o ludzkiej — naprzód trza oświecać.

Aktualne są wciąż jeszcze przemądre Witkiewicza w tej materji uwagi. Mówią o ludzkiej w sobie, o t. zw. kwestji ludowej, o stosunku doń „oświecicieli“, jak i różnych partyjnych „zbawiaczy“. Nie dość silnie je podkreślić dla zapamiętania.

„Jeżeli do ludu — mówi — nie przychodzi się ani „z przebaczenia anielską pogardą“ klas, wierzących w swoją wyższość, ani z demokratycznym uczuciem, chcącym się zaopiekować nie dołą ludu; jeżeli się nie jest agi-

tatorem na rzecz stronnictw demokratycznych, ani na rzecz większej własności, jeżeli się żyje z ludem w tem zbliżeniu i wzajemnem poszanowaniu, które ponad różnicami form pozwalają ujawnić się istotnej treści dusz ludzkich, to sprawa ludowa przedstawia się ogromnie inaczej, niż z punktu haseł teoretycznych lub partyjnych dążeń. — Przede wszystkim lud, widziany z tego zbliżenia, przedstawia się jako całość, utrzymująca się tylko pod naciskiem warunków ekonomicznych, które jednak nie tworzą z ludu zbitej masy, zasadniczo, masowo różniącej się od reszty społeczeństwa — jak stado wróbli od orłów. Lud składają ludzie, zupełnie tak samo różni między sobą indywidualnie, jak we wszystkich innych klasach społecznych“.

„Dla zrozumienia kwestji ludowej, trzeba potracić wiele arystokratycznych i demokratycznych uprzedzeń, trzeba zejść do dna duszy ludu i zrozumieć, że jej potrzeby i pragnienia są zasadniczo te same, co klas wyższych, choć się przejawiają inaczej. Jeżeli komu się zdaje, że te wszystkie grube przejawy egoizmu ludowego są czemś innem od objawów wyrefinowanego egoizmu klas wyższych, to się bardzo myli. Chciwość jest chciwością, czy przedmiotem chęci posiadania jest kupa gnojny, czy brylant, świecący jak gwiazda. Du-

ma rodowa i pycha, pochodząca z bogactwa, rozpiera tak samo pierś Gąsieniców, jak i Zbaraskich. Człowiek! — człowiek! — oto co trzeba widzieć w chłopie i w panu, żeby stracić mnóstwo złudzeń i zyskać wiele nadziei“.

„Człowiek z ludu oddany jest na pastwę tych samych pragnień i namiętności, tych samych nadziei i zwątpień, na pastwę tych samych niemiłosiernych elementarnych praw bytu, co ludzie innych warstw społecznych. Różni się on pojęciami — nie różni się uczuciami. I tu jest właśnie ta zapora, w której tkwi niemożność podniesienia ludu na wyższy szczebel przez klasy wyższe, ponieważ klasy te są wyższe bogactwem, zbytkiem, wyrafinowaniem form obyczajowych, pojęciami umysłowymi, a nie różnią się rodzajem uczuć, pożądań i pragnień. Rozwój zaś społeczny osiąga się nie przez kształcenie pojęć — lecz przez kształcenie uczuć“.

„Dotąd dziewięćdziesiąt dziewięć części siły ludzkiej duszy wyteża się w służbie instynktu posiadania. Zdobywać, bronić i używać własności, to jest najistotniejsza treść życia jednostkowego i życia zbiorowego. Cóż więc dziwnego, że sprawa ta jest najistotniejszą osią życia ludu, że ona je wypeł-

nia, a często przepelnia, gdyż w materialnych warunkach życia ludowego zdobywać jest trudno, a bronić i używać czasem prawie niema czego, ponieważ niema bogactwa zaoszczędzonego“.

„Chłop, mając wszystkie te same pragnienia i potrzeby, co inne klasy społeczne, stoi bezradny wobec swego pólka, wobec swego bydła, wobec choroby, wobec śmierci—wobec każdego zagadnienia bytu, społecznego czy osobistego. „W polu ludzkości“ jego zagon jest zostawiony tak nisko, że jego środki w walce o życie graniczą niekiedy z pierwszymi czasami początku epoki metali, podczas, kiedy na „wyższym zagonie“ tego samego pola elektryczność wyrugowuje już pracę. Tu, w tem upośledzeniu ograniczenia sił umysłowych, tkwi rdzeń wszystkich trudności kwestji ludowej“.

„Partje polityczne, ciągnąc lud, każda w swoją stronę, jedne w imię jego upośledzonych praw i społecznego dobra, inne, usiłując zachować pewną patrymonjalną przewagę, rzekomo dla dobra samego ludu, z racji jego niedojrzałości politycznej, inne znowu, poprostu nie chcąc, żeby lud wyszedł z klubów ich władzy, wszystkie razem rozkołysują ludowe masy, przyczyniając się do ich „uświadomienia“. Lud pójdzie jednak swoją drogą, którą mu wskazują

z jednej strony ogólnoludzkie elementarne dążenia, pragnienia i potrzeby, z drugiej stopień i rodzaj kultury, którą lud już posiada, splot pewnych pojęć i pewnej obyczajności, która ma swoją odrębność“.

„Nędza dusz za mało była brana pod uwagę w rachunku społecznym, a wyobrażenie, że wyższy poziom posiadania bogactwa odpowiada istotnemu podniesieniu się ludzkiej istoty, doprowadziło do przekonania, że mędrszym, lepszym, więcej wartym człowiekiem można być tylko poza sferą ludowego bytu. To też jednostki z ludu, które otrzymały wyższe wykształcenie, opuszczają sferę ludową, dezertują z niej i przyłączają się do „panów“, i nie tylko nie wpływają na podniesienie umysłowego i moralnego poziomu ludowej sfery, lecz przeciwnie, często są drogowskazami krętych dróg, na jakich się „robi karjery“.

„A jednym z pewników, których uczy historia, jest, że rozstrzygającym czynnikiem życia zbiorowego nie są formy urzędzeń, instytucje, tylko stan dusz ludzkich danego społeczeństwa. Nic nie pomoże najdoskonalsza ustawa, najstaranniej obmyślany ustrój, jeżeli materiał ludzki jest lichy, jeżeli etyka i umysłowość jednostek, stanowiących społeczeństwo, stoją nisko“.

„Wszystko, co się ma spełnić w przyszłość

ści, jako faktyczna zmiana stosunków, musi być rozstrzygnięte w duszach ludzkich. Bez tego niema postępu“.

*

Mimo stu kilkudziesięciu reprezentantów chłopskich, zasiadających w sejmie i senacie, biorących udział rozmaity w państwowych pracach i kłopotach, przeważna masa ludu, zwłaszcza w ukraińskich ziemiach, nic prawie o państwie i jego strukturze nie wie; niewiele ją też ono ziębi ani grzeje. „Niech sobie tam będzie, jakie będzie — niech się nazywa tak czy owak — byle zbytnio nie dociskało“. Bo z pojęciem państwa w umyśle prostaczym wiąże się przedewszystkiem ciężar opłat, przymus. Że ono nieść może i udogodnienia, że może być w czas burzy i dachem nad głową — to zbiedniałej masie ludzi na myśl nie przychodzi. Cóż się zresztą nieuczynym dziwić — ich obojętności zrozumiałej na losy państwowe, gdy tylu „świadomych“ obywateli świadomie na szkodę państwa działa, uważając je za teren dla swych zysków.

O czynnikach rządzących, o rządzie, mętne też ma lud pojęcie. Powszechne jest mniemanie — taki przychodzi gabinet do steru, czy owaki — że „panowie rządzą“. Już mniemanie to urabia tradycyjne pojęcie o panach „tam w górze“, no i to, że rząd jest

w stolicy, w mieście, gdzie „pańskie“ z natury rzeczy przeważają wpływy.

Że przez głosowanie powszechne sam wpłynąć może na charakter rządów, lud w większej części o tem nie wie. Nie rozumie też kooperacji sejmu z gabinetem; nie rozumie ministrów bez króla, którzy w pojęciu jego są niejako ministrantami osoby najwyższej. Osoba panującego — króla czy cesarza — symbolizuje w umyśle prostego ludu władzę istotną, państwo. Ten urok też wychowywał w masie ludu prostego ów rosyjski czy austriacki pół-patrjotyzm. Budził zaufanie jakieś, naiwną wiarę.

W czasie okupacji części Królestwa przez władze austriackie, gdy Gubernjum (Kreis-Commando) piotrkowskie nałożyło podatek na gminy, chłopci z jednej okolicznej wsi napisali „zażalenie do Najjaśniejszego cara Mikołaja“ i wnieśli to pismo przez Gubernjum w Piotrkowie.

W czasie znów, gdy „Polska się otwarła“, a w Galicji władzę bezpieczeństwa najszybciej jeszcze zastąpiono władzami polskimi i w tej bezwładzy tu i ówdzie zdarzały się lokalne antysemityczne poruszkę, z pod Babiej Góry, od Sidziny, ruszyła ku Zawoi kupa podpitych wyrostków pod dowództwem dezertera, dumnie na czele kroczącego w kabaacie oficerskim, który pytającym go: Ką idą?

Co sprawiać mają? — odpowiadał z wyso-
ką z pełnem przekonaniem: „Cysarz kazał
narychtować Polskę bez zidów“. Wychowa-
nie wiekowe streściło się w tej odpowiedzi.

Lud jeszcze w Polskę nie wszedł. Pomału
bardzo przesiąka w jego kłopotami pół roku
zajęty umysł rozumienie wagi swojej odręb-
nej, własnej państwowej postawy. Niewiele
w tym względzie wpływa nań oświecenie
przez udział pośredni w ustawodawczych
pracach, o których masa nie wie lub mętne
ma wieści, więcej znacznie przez wojsko,
które wychowywaćby mogło poczucie dumy
państwowej, gdyby na ton ten przy naucza-
niu sprawności mocniejszy kładziono nacisk.
Ważną z tego względu szkołą byłby udział
liczny chłopów w samorządzie wojewódz-
kim i powiatowym.

Jak dotąd — poza miedzę interesów gmi-
ny umysł chłopski nie sięga. Było — praw-
da — w tym czasie, iż wstrząs ogólny, niby
prąd elektryczny, przeleciał przez masę ludu.
Sprawił to moment wyjątkowo piorunny, ja-
kim było zabójstwo pierwszego prezydenta.

Zasię podczas nawały bolszewickiej lud
w masie krytycznego położenia państwa nie
rozumiał, lub rozumiejąc, uważał to, zalękły
w sercu, jak grad, powódź, za dopust boży,
przeciw któremu nie miał bynajmniej ochoty
skóry swojej nadstawiać. Bajką jest owa

chwalba, zresztą wdzięcznie brzmiąca, niektórych chłopskich polityków, iż chłop odparł nawałę sowiecką. Zapewne, jako żołnierz — lecz nie z własnej woli. Ochotnie szła młodzież szkolna, inteligencja; z młodzieży wiejskiej ci tylko, którzy służyli wpoprzód w legjonach. A lud w masie wcale się nie kwapił. Gdy poszła na wieś tendencja złudzeniowa, by ochotników werbować, lud z przemówców wiecowych, z ich obietnic śmiał się. „Na wesele się prosi, a na wojnę się kazuje“ — mówił. Gdy zaś wkońcu — trochę późno — kazować zaczęto, mało kto wolę miał słuchać. Musiano całe kompanje posyłać po uchylających się i biwakujących po lasach dezertarów. To sobie trzeba powiedzieć, jak było — by złudzeniu drugi raz nie podpaść. „Cud nad Wisłą“ nie stąd się rozwinął. I wielu jest niestety „inwalidów“, których, w domu wojujących, kula polowego żandarma zraniła.

Przyczyną tej abstynencji masowej było rozluźnie powszechne, wyniesione z końca wielkiej wojny, lekceważenie nowopowstałych, tradycją nieuświęconych władz i zrozumiała obojętność na los tej opatrnościowej a niedoznanej jeszcze Polski.

Ta obojętność w ludzie do dziś pozostała, gdy posłuch się już skarnił. Inteligent czytający, który uwielbił tęsknotą wizję Pol-

ski, więcej niż jej oto jawę, wchodzi przecie kłopotem własnym w kłopot państwa — robotnik przez organizację, prasę, częste wiecze, osłucha się obywatelskich myśli, obowiązków — lud ostaje w padole przyziemnym z jedynie dotykającymi go porami roku. Partje polityczne na wsi organizacji właściwej nie mają i lawirują na fluktach od wyborów do wyborów, częste zbierając niespodzianki. Lecz o tem w innym powiem liście.

Niemalą, i kto wie, czy nie główną przyczyną tej obojętnej nieufności przeważnej masy chłopskiej do państwa, w którym bytuje, jako też niedowierzania pewnego prawomocnościom zarządzeń, jest brak symbolu: króla. Bo—niech mówi kto co chce—lud w masie jest monarchistyczny. W sprawie tak wielkiej, jak państwo, czuje potrzebę kultu. A Rzeczpospolita nadto się mu pospolitą widzi. Do zrozumienia jej dobra nie dorósł. Głównie struktura górna republiki jest mu niezrozumiała.

— Powiedzcie mi, panie — pytano mnie z nieświadomych stron często w czasie sejm suwerennego — kto u nas rządzi?

— Wy rządzicie.

Tłumaczę im ich decydujący wpływ przez głosowanie powszechne na skład i charakter sejm.

— No dobrze... sejm... zbiera się, radzi...

Ale kto właściwie rządzi? Czy jest jaki król? — przecie ktoś nad wszystkimi być musi...

— Jest Naczelnik.

— Hm... naczelnik... — miny jakoś przysgasły. Dy i oni mają naczelnika w gminie... — A co on, ten naczelnik może?

Tłumaczę zakres jego władzy.

— Hm... to to mniej, jak wójt. Bez to wiadać niedobrze, że nikt nima władzy ozkazać: tak a tak być musi. I tak sie wszystko kutwasi... Jak i u nas w gminie... — przechodzą do żalów lokalnych.

To też, gdy podatków długo nie ściągano, powszechne było wśród masy mniemanie:

— Nima kto nakazać podatku, bo króla nima.

I wcale tego — dziw — wyrzekający dawniej na podatki, za dobro nie uważali. Czuli się jakoś niepewnie... nie czuli w górze władzy.

I prezydent ich nie olśnił. Choć wiedzę słowa tego wysokiego wielu z Ameryki znało.

— Co inszego w Ameryce. Tam już jest tak. Ale u nas... — kiwanie różne głowami.

I plebiscyt dziś wypadłby: za królem. Chyba, gdyby agitacja republikanów...

Ważną tu pedagogja. Wychowanie i czas. Zczasem może — przez udział samorządny zdołu—lud wejdzie w rozumienie dobra republiki. I wtedy stanie krwią za nią.

II. WIEŚ A MIASTO.

Jadąc przed paru laty koleją z Zakopanego, byłem mimowoli świadkiem, na przestrzeni między Poroninem a Chabówką, takiej drobno-jarmarcznej, a wiele nawodzącej uwag historii.

W przedziale osobnym klasy trzeciej, przez zdeklasowaną inteligencję zapełnionej, znalazł się też chłop jeden — jak ze stroju i mowy łącno rozpoznać było, nie miejscowy, nawet nie z Małopolski, a skądś z kresów. Co w Zakopanem sprawiał, nie wiem — wracał do domu. A był podniecony nowością wszystkiego, co widział, co oglądał. Już Tatry musiały nań wyrzeć urok niemały, a potem ludzie, stosunki, od tej strony nieznaney obczona Polska. Uszczęśliwiony widać czuł się w sercu i jakiś bratni, przychylny wszystkiemu. W milczącym i przygnębionem onem towarzystwie, z którego każdy własne żuł kłopoty, on jeden, ożywiony, do mówienia, do

wywnętrzania głośno swoich myśli wielką pałał ochotą. Oczami uśmiechnionemi po siedzących patrzył, do tego owego przegadując.

— Już nie był w domu dawno, ciekaw, co się też tam tymczasem znowiło, czy zastanie wszystko, jak opuścił. Ale zato poznał światu kęs — ludzi, kraju. Kraj jaki! jaki! Oczom i duszy radość. Wycudować się nie można, że wszystko to — prawią — polskie. Opowie swoim, jak wróci. Ale gdzie to uwierzą! Chyba te, co w jeństwie bywały...

Jedna z pań siedzących przeciw, żona jakiegoś urzędnika z Warszawy, która już od dłuższego czasu rzucała gniewne błyski oczu w stronę gwarzącego chłopą, przemogła niechęć wkońcu i tonem, nic dobrego nie wróżącym, spytała:

— Wy skąd jesteście?

Uśmiechnął się chłop radośnie pytaniu pięknej pani i skwapliwie pośpieszył:

— Ja zdaleka, ponnoczko, z nad same granice. Przędzi tośmy do Rosjei należały, a teraz jesteśmy w Polsce. Nie wiedział ja, choć niby Polak bywszy, co to za kraj szeroki... Mówili: do Warszawy—a dziś gdzie to! Już ja się otęże wyznał...

— Dobrze teraz na was, chłopci, czasy — przyjadła ze złym uśmiechem.

— Różnie ponnoczko, różnie, jak poniegdzie...

— Zbogacić chcecie się odrazu — ciągnęła już w złości. — Za masło, mleko, jaja, za każdą rzecz, co wam samo przychodzi, nie wiecie już jakie ceny żądać. Żadnej uwagi nie macie. Złodzieje jesteście tacy, że...

Chłop, zaskoczony napaścią, począł mrugać powiekami, pozierając w zdumieniu po ludziach, którzy milczeli. Chciał wyjaśnić:

— My, pani, nie handlujemy...

— Boć to już nie handel — przerwała, poruszona oburzeniem — ale lichwa, zdzierstwo! Rozbój na prostej drodze. Chwytaćby was, jak zbrodniarzy, i do więzienia pakować, na tortury!...

— Co też to pani — jąkał wciąż zdumiony, nie wiedząc, o co...

A pani w świętym gniewie już nie wiedziała, jakich słów ma użyć, aby „zbrodniarza“ przerazić. Przyszło jej na uwagę, że chłopci są religijni. Tu więc może...

— Bóg was skarże! — groziła bez przekonania. — Ale nie zwykłą karą, za takie złodziejstwo. Słyszeliście pewnie o Madejowem łożu? Są to rozpalone ruszta, pod którymi wieczny ogień gore. Otóż na takie Madejowe łoże Bóg was rzuci, gdzie się wiecznie, po wieki wieków piec będziecie...

— O jakżeż to pani może... A taka dobra

się widzi — bąkał chłop, zawstydzony za tak piękną panią.

Pociąg stanął.

— Sieniawa! — oznajmił konduktor.

— Grzyby! Świeże grzyby! — doleciało z za okna.

Piękna pani żywo zainteresowała się ofertą.

— Okazja! Przywiozłabym świeże grzybki do domu, jak z lasu. Lecz czy dojadą świeże do Warszawy?

— Dojadą — orzekł bas jakiś stanowczo.

Zdecydowana wychyliła się przez okno.

— Ile chcesz za to?

Pachole z mizerowane wymieniło jakąś kwotę...

— Co mówisz? Za tę drobną garstkę? W mieście na rynku dużo taniej...

Począł się targ niemiły. Wkońcu, gdy pociąg miał ruszyć, w ręku pani znalazł się spory węzeł świeżutkich grzybów.

— Jakie śliczne! — wieściła uradowana, pakując je w torebkę.—Udało mi się, tanio. W Olczy płaciłam za tę ilość trzy razy tyle.

Chłop życzliwie, lecz trochę z politowaniem przyglądał się onejże. Chciał jakoś wyprosić nieporozumienie uprzednie.

— Ta u nas pani mogłaby dostać, jak się rok trafi na nie, ileby jeno zechciała, bez żadnej płacy, dar to boży...

Przychylnie kiwnęła głową, lecz przypomniała sobie w tym momencie, że gniewać się nań winna.

— Aha — mruknęła — tak się mówi. A zdzieracie pewnie bardziej, niż ten góralszczyk.

Dopiero co cieszyła się taniością kupna. Lecz logika nie jest pewno pięknych pań wadą.

Typowe to zajście oparte było też właśnie na nielogiczności owej pani, która irytację, wyniesioną z jakiegoś szczególnego wypadku przy targu — jeśli targ ów nie był podobny do onego z świeżymi grzybkami — przeniosła oto na wszystkich chłopów — „złodziei“, a już tutaj na Bogu ducha winnego człowieka z kresów, psując mu owo radosne wrażenie, jakie z tej Polski odkrytej do domu wiozł.

Niema też powodu sądzić, by zbiorowo wszystkie panie w materji tej drażliwej bardziej były logiczne. Zrozumiała jest ich niedopuszczająca uwagi spokojnej irytacja, gdy się widzi, w jakich trudnych warunkach przychodzi im dzień po dniu, rok po roku prowadzić dom, gdzie użerać się trza o każdy grosz, by jakoś „koniec z końcem związać“. Jużci irytacja ta — prócz na męża, dzieci — wylewa się przedewszystkiem na tych, z którymi codzień przy kupnie potrzeb niezbędnych na

targu się styka: na przekupniów podmiejskich. Stąd w prostej nielogiczności: „Wszyscy chłopci złodzieje“. Stąd zazdrość i opinja: „niema, jak chłopu. Kurki i mu jaja niosą, krowy doją się litrami, w chlewie prosięta spaśne — a on jeno na miasto ma wzrok obrócony, myśli, jakby to wszystko najdrożej spieniężyć i sumy w skrzynię schować“.

Podobnie zazdrośnie słuszna jest opinja chłopca o panach z miasta, który, nie znając życia w mieście, a widząc letników na wsi — owych z kieratu wyrwanych nędzarzy i inteligentów — widząc ich ubranych „ładnie“, próżnujących, sądzi:

— Nima jak takim. Leżą se i spacerują — a dudki same im idą.

Oto podobnie słuszne opinie: wsi o mieście i miasta o wsi. Rzecz byłaby, ze strony humoru biorąc, nawet drobnej wagi, gdyby te mylne przesłanki nie wiodły — w momentach np. społecznych przeobrażeń — do tragicznych konfliktów.

A przepaści tej groźnej przyczyną niezrozumienie wzajemne, które nawet w prasie inteligenckiej i ludowej znajduje kąty.

Trzeba uczyć się rozumieć.

Nim chłopca w tej materji oświecać poczniemy, poczniemyz naprzód od siebie. Uczmy się wsi.

III. KONWENANS WSIOWY.

Ludziom z miasta wydaje się, że t. zw. konwenans — forma zewnętrzna obyczaju, którą wieki cywilizacji urobiły — właściwy jest tylko nielicznej rzeszy wybranych: arystokracji i górnej warstwie mieszczan (nawiasem tamtą z powodzeniem różnem w onej sciencji rodnej naśladowujących).

O tem, by masa chłopska jakieś konwenanse miała, nikomu z bytujących w mieście na myśl nie przychodzi. Tymczasem na wsi jest konwenans bardziej przestrzegany, niż w świecie miejskim, i potyka się o niego człek niewiedny nieomal na każdym kroku.

Jedno, prawda, wiedzą w mieście, z czytanki pierwszej o wzruszającym „kmiotku“ wyniesione, że gdy ów kmiotek orze, trza mu zawołać „Szczęść Boże“!

A ileż tych — poza „Bożem szczęściem“ — zawołań wskazanych! Ile tych we wsiowskich towarzyskich stosunkach przykazań, w krew

już, w wiedzę dziedzica od wieków weszłych! I tyle odmian tego konwenansu, ile ziem jest w Rzeczypospolitej.

W ziemi rodnej mojej, na Podhalu, np. przy spotkaniu — poza wstępną pochwałą Boga — konieczne jest wymienienie przynajmniej trzech zdań („Witajcie!“ — „Bóg zapłać!“ — „Kaz ta Bóg prowadzi?“ Odpowiedź, albo przecina, albo wiedzie do dIALOGU dłuższego; długość zaś dIALOGU zależy od stopnia znajomości lub krewieństwa spotykających się. Czas tu nie może grać roli).

A gdy podczas obiadu wejdzie sąsiad lub ktokolwiek zdalsza do izby — po jego pochwale Boga i odpowiedzi zwykłej: „Na wieki, witajcie“ — jeżeli go nie mają woli do jadła prosić, tedy gazda lub gaździna, lub które starsze powiada: „Prosimy!“ On zaś mówi zwyczajnie: „Z Panem Bogiem jedzcie“ — i siada zdala na ławie. Jak zaś chcą go zaprosić ku sobie, to mówią prosto: „Podźcie ku nam!“—i gotują mu miejsce przy stole. On zaś winien nie zaraz się dać skłonić, lecz wymać się wszelkimi siłami, aż go wkońcu zniewolą. Może się też, opierając długo, gdy go przemocą nie zmuszą, i nie dać się zniewolić. A gdy siądzie przy nich do obiadu, to winien też wiedzieć, jak się zachować. Ma sięść zdala—i choćby nie wiem jak głodny był, ma rzadka raz kielca czas sięgać łyżką ku misce;

oni znów, t. j. gazda lub gaździna, winni go raczyć, mówiąc co chwila: „E jedzcież!“ Rozumie się, że z nieletnim albo czeladnikiem takich isę ceremonij nie robi. Dziada też się do stołu nie woła. Każdemu swoje — w miarę wieku i stopnia.

Przechodzi się mimo polany koło pasterzy, to żadnych zaś powitań, ani „pochwał Boga“, jeno sakramentalne: „Dobrze się wam pasie?“ — Na co któreś z nich: „E dy sie ta pasie“. Można jeszcze dodać: „Czemu nie śpiewacie?“ Jak deszcz albo zimno, a nie pała: „Czemu nie palicie?...“ A jak pogoda, upał: „Nie gziye się wam?“ (znaczy bydło). I koniec. Inszy lub dłuższy djalog byłby śmieszny.

I przy robotach w polu różne są dodatki do owego „Szczęść Boże“, zależnie od rodzaju robót, przy jakich się pracowników, przechodząc, spotyka. Np. przy kopaniu: „Ładne ta ziemniaki macie?“ Przy oraniu: „Nie mokro?“ (gdy widać rozmokłą ziemię) i t. p.

To są zwyczajne djalogi — w sensie, a bez znaczenia. Jednak, jako dowód minimum oświaty, konieczne. Jest ich wiele, na każdą sposobność insze — cały podręcznik można by z nich złożyć. Oto np. jedna z takich — można by nazwać — przypogwarek, przytoczona przez A. Stopkę w „Materiałach etnograficznych z Podhala“:

Idzie od jakiegoś osiedla stary, ku-stu²let-

ni gazda, chwając się na swych cienkich nogach. Przebiega obok niego dziewczątka drobne, jak przepiórka. Całuje go w rękę. On krzypie: „E skąd=ześ ty?“ — Ona cieniutko: „E z haw=tela“. — „E cyja=ześ?“ (A wie dobrze). — „E Zoścyna!“ — „E kaz idzies?“ — „E haw jacy...“ — „No idźze, idź...“

Wogóle zachowanie się wsiowych ludzi — w polu, w domu, na przyjęciach, w kościele, — tak jest unormowane, jak w sferze arystokracji, która też łatwiej niż mieszczenie i inne „cepy“ zastosować się potrafi do konwenansu wsi.

A konwenans wsiowy trudniejszy jest do objęcia i przyswojenia go sobie bez błędu, niż konwenans sfer t. zw. wyższych. Chłop też — po paru uważeniach — pojętniej zastosuje się do obyczaju pańskiego, niż naodwrot. — Ktoby tam — powie jeden z drugim — stosować się miał do obyczaju, czy nawet, jak chce pan Orkan, konwenansu wsi! To tak, jakby się od Zulów uczyć...

Niechżeć i tak. Ale chcąc znaleźć porozumienie istotne — tak w kraju Zulów, jak i we wsi polskiej — trzeba poznać i nie lekceważyć form obyczaju tubylców, mając się wobec nich, z przyczyny np. krawatki lub greckich paru zdań, za półboga.

Z powodu też nieświadomości lub lekceważenia — nawet przez ludzi skądinąd rozum

nych — podkreślonego wyżej konwenansu wsi, wynikają często dość poważne lub też śmieszne nieporozumienia.

Przypadek podobny spotkał nawet męża uczonego tej miary, co ś. p. prof. L. Malinowski. — Oto, bawiąc w Zakopanem i chcąc dojść nareszcie, jak się mówi: „zakopański“, czy „zakopiański“, postanowił sprawdzić rzecz u źródła. Wybrał się więc w jedno przedpołudnie na Gubałówkę i wstąpił na zboczu tejże do którejś z chałup. Zastał samą gaździnę, stojącą koło nalepy, obiad warzącą. Nie pochwaliwszy Boga, ani zdjęwszy szerokiego kapelusza z głowy, podchodzi prosto z progu ku niej, kładzie dłoń na jej ramieniu i bez żadnego wstępu rzecze:

— Moja gaździnko, jak się mówi: „zakopiański“, czy „zakopański“?

Gaździna zdziwiona, oczy otworzyła. Widzi przed sobą osobę poważną, o długiej, buźdącej zaufanie brodzie... Nie może się nazdać, coby to zaś... tak bez nijakie oświaty...

— E o coż wam to, panie?... Siadźcież... — wskazuje ławkę.

— Nie mam czasu, gaździnko. No, jak się mówi: „zakopański“ czy „zakopiański“?

Gaździna patrzy nań strwożona, wtórnie zapraszając słowy i dłonią:

— E siadźcież...

— Nie mam czasu, powiadam — rzecze

profesor, poirytowany. — No, jak mówicie? zakopański, czy zakopiański?...

Nic już nie rzekła. Serce jej się ścisło, „jeż ze taka osoba napozior poważna, a rozum ma zmiesany...”

I opuścił profesor, zły, chałupę pod Gubałówką, nie dowiedziawszy się, jak się mówi: „zakopański“ czy „zakopiański“.

W następnym liście opowiem, jak z tejże przyczyny, t. j. zlekceważenia konwenansu, wynikły skutki dla lingwisty, który wyprawił się na wieś w kąć mało zwiedzany, właśnie jakby do kraju Zulów.

IV. LINGWISTA W KRAJU ZULÓW.

W jedno lato, przed epoką wojny, przyjechał do górskiej wsi, której nazwy nie warto wymieniać, młody profesor lingwista (niechaj w nauce kwitnie jego imię), wysłany w ten kąt zapadły przez Akademię Umiejętności dla badania gwary. — Kąt ów, mało odwiedzany, wciśnięty wsiami wgłębionemi i kępami osiedli w międzygóry — gdzie nietylko wsi zamknięte, ale nawet osiedla parochalupowe, skazane przez lata zim na samotny, osobniczy żywot, doszły do zgoła swoistych, różniących je wygłoszeń gwarowych — kąt ów przedstawiał z powodu tych różnic w gwarze pierwszorzędnny interes dla badacza.

Przyjechał tedy nasz lingwista z chwalebny z zamiarem wielkich w tej dziedzinie odkryć i umieścił się w poradzonej z kraja izbie chłopskiej, gdzie go ludzie poczciwi, nie wezwyczajeni do letników, bardzo radzi i ta

nio przyjęli, pyszniąc się między sąsiady, że ich takie spotkało oto wyróżnienie, że „pana u siebie mają“.

Zaczem zabrał się odrazu, nie wiele myśląc, do swych badań. Lecz zamiast, jak mu radzili znający stosunki we wsi, wyszukać ludzi starszych, zachowujących gwaraę ojców, przez wojsko, ani przez Amerykę nie zepsuta, i z onymi się zaprzyjaźniwszy, skarby od nich rzetelne wydobyć, nie znający, jako zwyczajnie człek miejski, drogi do ich niechybkiej ufności, zaznajomił się, z kim mu najłatwiej przyszło: z furmanami, których na drodze spotykał, jako też z mającymi wsze święto pijaczynami, których, chodząc na pocztę ku kościołu, mógł co dzień bez trudności widzieć. Ci chętnie wdawali się z „panem“ w rozmowory, raz, że to ich w oczach swych wyższyło, a wtóre, spodziewali się za to poczęstunku. Ludzie zaś poważni, z boku patrząc, kręcili głowami:

— Nie musi to być godny pan, kie z takimi towarzystwo wiedzie...

Miał jeszcze metodę zgubną: przy spotkaniu z kimś—po wymianie pierwszych zdań—wyjmować notes, ołówek i — nie wyjaśniając naco, poco — zapisywać na oczach onego rzadsze gwarowe wyrazy. A zaś nie miał ucha muzycznego, co muzykowi przydatne, a lingwiście niezbędne jest chyba. Przeto

np., trzymając gotowy notes i ołówek, pyta się po kilkakroć: „Jak? Jak powiadacie?“... Juścić chłop naprzódy дума: „Poco on to spisuje?“...“, a potem chytrze odkręca i coraz to mylniej mu dyktuje, całkiem inaczej, niż się mówi. („Bo kto wie, co z tego może wypaść... podatek — nie podatek — zawdy jakasi zrada“.)

Zapisawszy w ten sposób sporo stronici nigdzie nie używanemi wydźwiewkami gwary, kontent z rosnącego dzieła, postanowił przejść do szczególnych notowań: rozmów biesiadnych, obrzędów, zwyczajów. W tym celu począł nawiedzać sąsiednie osiedla o różnych porach dnia.

Raz — w południe to było — wybrał się do oddalonego osiedla pod lasem. No i jako człek z miasta, nie patrząc miedz ni chodników, puścił się wprost przez podrosłe zasiewy na przelaj.

— Patrzcie! Patrzcie! — wskazują go jedni drugim ludzie.

— Jakiś światowiec — osadzili.

Wiadomo: od wieka wieków ludzie chadzają wśród siań chodnikami, a jak tych nie ma, to miedzami albo głowami stykających się ze sobą zagonów. A ten prosto przez zboża, jak dzik jaki...

Już go dobrze przez to uważyli. A on, Bo-

gu ducha wiedny, zdążył w świętej pogodzie do celu.

Wszedł do pierwszej izby z kraja. Zastał akurat ludzi przy obiedzie. Nie pochwalił Boga po zwyczaju, jeno „dzień dobry“ z progu rzucił. Pozwracali doń twarze ciekawe.

— Prosimy! — rzekli od stołu.

On też—zamiast odrzec, jak wypada: „Z Panem Bogiem obiadwajcie“ i usiąść sobie zdała — mniemając, że go w rzeczy do obiadu proszą, gdy przytem głodnym się uczuł, siadł koło nich ochotnie. Oni zaś pokładli łyżki i racząc go rzekomo, przypatrowali się z ciekawością cudacznemu panu, co prostych rzeczy nie wie.

Z tej i podobnych gościń niewiele miał do zanotowania.

Inszym razem — dla porównawczych zestawień — wybrał się do sąsiedniej wioski. Nie znając ludzi, wszedł do karczmy, w myśli, że kogoś tam znajdzie. Jakoż zastał kilku chłopów; siedzieli w izbie szynkowej i pili. Był to wójt sam z paru przysiężnymi.—Siadł opodal nich przy stole, wyjął notes i pilnie nadsluchując rozgwały pijanych, coś=nie=coś od czasu do czasu zanotował. — Wójt już dawał przy wychylaniu kieliszków baczny nań poziór. W pewnej chwili wstał z ławy, chwycając się, przystąpił ku niemu i kładąc dłoń ciężką na notesie:

— Coz to pan zapisuje? — spytał.

Wziął notes, przybliżył do oczu, wyczytał wyraz ostatni: „kielusek“.

— Kieluski nam pan rachuje?... — huknął, krwią nabiegły. — A coś ty jest? Moze śpieg jaki?!

Powstali i drudzy ławą. I byliby go tam, z racji onych „kielusków“, mocno ukrzywdzili, gdyby nie trafił szczęśliwy, że nadjechał na to chłop znający go — ze wsi, w której mieszkał — i ten pijanych a zeźlonych umitygował.

— To ta taki — tłumaczył im. — Nic nikomu nie wadzi. Tak se ino różności spisuje.

Wreszcie przedsięwziął nasz poświęcony nauce lingwista wyprawę trudną do wsi, w najdalszą roztokę wciśniętej, dwie mile od centrum parafji odległej. Był to kąć poza nowinami świata — pod względem gwary, obyczaju wielce ciekawy. — Postanowił go też nasz językoznawca w dziele swoim możliwie najdokładniej zbadać. Wsi bliższe miał już „obrobione“ — ta miała być w odkrywczej pracy jego najpoważniejszym, zamykającym rozdziałem.

Wkrótce po cichej dotąd wsi poszło poruszenie: „Jakiś pan nieznany chodzi, cosi spisuje. Widzieli go to tu, to tam — w osiedlach — w polu — na drodze — do chałup nawet zaziera — od tygodnia po wsi sie juz

kręci. Kto to być może? Wójt sam nie wie. I co on zapisuje?" Nad tem łamali głowy starzy, młodzi. To najbardziej, to nieznane, umysły niepokoiło.

Zniknął już ze wsi ów „spisować“ tajemniczy, a niewiadome, jak zmora, nad ich paścią wisiało. „Co on to mógł spisować?...”

Jakoż rychło mieli się dowodnie dowiedzieć.

Wyszło było przed tym czasem zarządzenie fizyka powiatowego, że ma być w każdym osiedlu nawóz z przed okien usunięty. „Wtożby takiego zarządzenia słuchał? Nawóz był od pradziadów przed oknami i będzie. Przecie to żrenica w gospodarstwie. Co taki fizyk wie“.

Wyśmieli owo zarządzenie — nikto go nie wykonał — sam wójt był tego zdania, co i gmina. Uszedł już rok od tego czasu i wszystko było dobrze — aż tu naraz... łup grzechu — przychodzi „ze rzędu“ po 5 reńskich kary pod numer za nieusunięcie z przed okien nawozu!

Spadło, jak powała z nieba. Ucisk straszny na naród. Wyklinania. Wreszcie zastanowienie:

— Ale wto to mógł donieść? Przecie fizyk tu nie jeździł...

— A ten, co to spisował?...

— Prawda! — wszystkim się ozjaśniło. —

To ta psia spisowała, a nikt nie przyszedł na to, co spisuje. On to tam musiał donieść.

I taka złość porwała wszystkich na tego „spisowaca“, iż odgrozili, że życie nie jego, jak się tu jeszcze zjawi.

Wrzało we wsi, kiedy nasz lingwista drugą tam wyprawę „dla uzupełnień koniecznych“ zamierzył. Przestrzeżono go jednak dość wcześnie, by się tam krokiem nie wazył. A tak uszedł szczęśliwie „męczeńskiej śmierci — dla wiedzy“. Zniechęciło go to jednak do dalszych w okolicy badań.

Nie dokończywszy dzieła, zły, zgorzkniały, odjechał z tem przekonaniem, że „takich ludzi ciemnych“ dotąd nie spotykał — a ludzie znowu z tem przekonaniem ostali, że „takiego pogłupiałego pana jesce nie widzieli.“

I sprawa gwary w „Kraju Zulów“ nadal na lingwistę czeka. Może się jaki szczęśliwszy nadarzy.

V. GÓRALE, LACHY I CEPRY.

Lachami górale nazywają chłopów dólskich, niekoniecznie w nizinach mieszkających, lecz ubierających się w górnice konopne, sukmany kroju krakowskiego i ciężkie buty z cholewami — w przeciwieństwie do z owczej wełny przyodziewku i kierpców górali.

Lach, w powiedzeniu górala, jest więc raczej określeniem odmiennego etnicznego typu, a nie jakowąż wrogą lub pogardliwą przezwą. Tę ostatnią stosuje się, i to przeważnie w Zakopanem, do t. zw. półpanów, osobników miejskich, więcej psychicznie niż etnicznie nawet bezrasowych, określając ich jednym słowem: c e p r y.

Mylnie też sądzą bywający pod Tatrami, że wszyscy obcy z poza Podhala, w opinii górala, to cepry. Nie nazwie góral ceprem pana prawdziwego, inteligenta. Inaczej ma się rzecz z głupim, choćby po pańsku ubranym filistrem. Ten, pozbawiony całkowicie

zdolności obrazowego myślenia, nie rozumie ani treści, ani formy innego, zwłaszcza tak odmiennego, jak góralskie, od swej purchawkowatości, życia — i, stykając się lub rozmawiając z góralem, zawdy wyjdzie jako niepodatny lotnej inności, jedno swoje młócający plewy — cep, ceper. To też jeden z gazdów, któremu obmierzła już tępość takich panów, zwracając się raz z czemś zawilem do prawdziwego inteligenta, powiada: „No, wy to pojmiecie, boście chłop. Choćście pan, aleście chłop!“ (Witkiewicz).

Nie mogą też być dla górala cepami lachy, naród chłopski, choć obcy, odmienny, ale wyraźny w typie, rasowy. W lackiż to przecie, kmiecia krakowskiego strój odział Wyspiański intuicją genialną króla na grodzie wawelskim. Bo kneziów to strój w kmietach zachowany, gdy miasto modą poszło zagraniczną.

Nigdy nie zapomnę chwili... Bawiąc przed laty pod Sączem, szedłem polami wśród zbóż z Brzezny do Podegrodzia. Święto było — odpust w Podegrodziu — czas przedpołudnia. Naraz wyrósł przede mną z wysokiego żyta na ścieżce cud nie cud — zjawisko. Wysoki, rosły kmiet, w butach palonych, tabaczkowych spodniach, wpuszczonych za cholewy, w opończy też tabaczkowej, suto na kołnierzu szytej, na ramionach wolno zawieszonej, w koszuli białej, lnianej, w haftowanym bo-

gato żupanie, pasem litym, w węzeł z boku wiązany, przepasany. Niby iście zjawiony kneź dawny, władacz ziemi sądeckiej.

W lachach jest rasa, jak w góralach — wyrażność w stroju, w mowie. Pomiedzy nimi zasię jest pas dzielący, zamieszkały przez ludzi nijakich. Chłopi tu chodzą, jak strachy na wróble; boso, w gaciach strzępiastych (wybaczcie), katanczyna na tem wisząca, jak z ojca na pasterzu, kapelusina na głowie kłapciasta. I nikle to — od wiatru by się obaliło; strachotnego też ducha; bez typu, bez wyrazu, bez rasy; ni pies ni wydra — jak to mówią. Takiego nic nie zapali, nic nie wzruszy, nic naprawdę nie zgniewa. Kaprawe też ma namiętności. Telo ino współczucia od spotkanych bierze, co chrobak ziemny, bezochronny.—Na mile takie wsi u spadu w załomach podgórza się ciągną. Dużo napotyka się maślaków i wolowatych. Nie są to lachy, górale ni cepry, ale poprostu: bieda.

Górale też niekoniecznie muszą w górach mieszkać, jak lachy na nizinach. Sądeckie o lackim typie wciska się daleko w góry — a zaś na równi czarnodunajeckiej najczystszy górale pasą konie. Tyle, że Tatry mają przed oczami.

— Jak zakreślić granice góralszczyzny, czyli uświadamiającego się w odrębności swej szerokiego Podhala? — Dużo na zjazdach Pod-

halan o tem było gwary. Nie pójdę tu za zdaniem mego przyjaciela, dowódcy dywizji podhalańskiej, generała A. Galicy, który granice Podhala przesuwają wraz z przesunięciem oddziałów jego dywizji. Doszlibyśmy bowiem już po Rzeszów i Kołomyję. To mi się widzi trochę przesadzone. Skłaniałbym się raczej do określenia K. Tetmajera, który na głowie nie się nasze: pokąd góralszczyzna sięga? — odrzekł poprostu: „pokąd portki góralskie sięgają...”

I w sedno, mniemam, trafił. Już Witkiewicz podkreślił wagę białych portek. „Bardzo szczególny jest porządek — mówi — w jakim góral pozbywa się różnych części stroju, bądź bogacąc się, bądź też z jakich innych powodów, jak np. ożenienia się z ceperką, która chce, żeby wyglądał, jak pan. Naprzód więc znikają kierzce, potem kapelusz, dalej zjawia się pańska koszula, kamizelka, krawat, nareszcie znika cuha, zamieniona na jakiś zakiet; pozostają najwytrwalej, najdłużej — portki. W nich jest szczególna moc obyczajowa i szczególny czar elegancji i piękna. Jak panowie, przebierając się za górali, zaczynają od włożenia cyfrowanych portek, tak dla górala, przebierającego się za pana, ostatnią rzeczą własną, którą z siebie zrzuca, są — portki”.

Zatem portki góralskie określają granice

Podhala. Tu nasuwa się ich rozszerzenie łatwe... Naszyćby portek z orawskiego cienkiego sukna w Nowym Targu, naładować na wozy, puścić się poza Podhale i rozdawać po drodze za darmo. Ci chodzący w gaciętach strzępiastych z pocałowaniem rękiby je wzięli. Wielu też z lachów, mniemać można, przykłoniloby ku Podhalu piękne cyfrowane portki. Najbardziej pokojowa, jaką pomyśleć można, aneksja.

Jeno niewiada, czyby na dobre Podhalowi wyszła. Bo choć niby w portkach sens, wydry one w jastrzębia nie zmieniają. Nie mówiąc już o ludziach nijakich, których i tak zadosyć w Podhale przesiąka, lach jest we wszystkim od górala różny. Weźmy np. sposób pracowania obu. Podczas gdy lach powolny pracuje automatycznie, z nieprzerwywaniem, miarowo, temperament nerwowy górala ciska go od roboty do roboty szybkiej, gwałtownej, do zapalenia — w przeciagu też dwakroć szybszego czasu skosi, zorze trzy razy tyle, co tamten — a potem siedzi na przyźbie i kurzy fajkę. Wziąć całokształt żywobyćcia gazdy-górala, jego sposób urządzenia się, jego zamiłowania, sztukę, światopogląd cały i porównać z życiem kmiecia podkrakowskiego, to różnice wystąpią, jak u członków nie jednej nacji. Typowi, rdzenni, określenni dołiną Dunajca Podhalanie bliżsi też wydadzą

się Słowakom z nad Wagu, niż lachom z pod Krakowa.

Pomnę, jechałem kiedyś z przyjacielem Podhalańcem koleją przez słowacką ziemię do Budapesztu. Gdzieś koło Trenczyna towarzysz mój, obserwujący z okna mijane osiedla, woła do mnie zdumiony:

— Patrz sie! patrz sie! Edy my jesce z Podhala nie wyjechali. Takie same obejścia i syćko, jak u nas na Podhalu.

Krewieństwo to — w budowach, sztuce, w obyczaju — Podhala ze Słowacyzną, sięga może daleko wstecz czasów Wielkiego Księstwa Morawskiego — gdy zasię ziemie lackie były pod knezia krakowskiego ręką; stąd ostałaby na Podhalu nazwa sąsiadów od północy: Lachy.

I kto wie przeto, czyby porozumienie wcześniejsze Podhalańców ze Słowakami nie załatwiło było inaczej sprawy Spisza i Jaworzyny — nim objęły patronat djaboli żydy słowiańskie z Prahy.

Lecz mów o takich rzeczach ceprom, nawet podhalańskim...

VI. WITKIEWICZ: PO LATACH.

„Po latach“ napisał świętej na zawsze pamięci Stanisław Witkiewicz wstęp do drugiego wydania głośnej swej książki „Na przełęcz”. — Jest to zrewidowanie po latach stosunku swego do zjawisk tatrzańskiego świata, a zarazem syntetyczne objęcie tego okresu życia ludu góralskiego, na który wybystrzonymi oczyma artysty, sercem wielkiem i umysłem wyostrzonym patrzył. Na stu czterdziestu stronach rozwiniętych jest tyle obrazów i opisów świetnych, tyle mądrych spostrzeżeń i uwag, tyle głębokich zestawień i uogólnień, taka nabrzmiałość i spoistość tętniącej żywą krwią treści, iż na wiele bogatych starczyłaby książek.

„Po latach“ winno się czytać i ustępy całe na pamięć znać, jak ewangelję, winno się je wprowadzać w wypisy szkolne i złote myśli, tam zawarte, wyryć nad drzwiami szkolnemi. A już obowiązkiem każdego inteligenta, któ-

ry idzie w lud, jest poznać Witkiewiczowskie patrzenie na świat chłopski.

Sądzę też, że nic lepszego nie uczynię we wstępnych mych „Listach ze wsi“, nad podkreślenie szeregu ustępów z onych zastanowień męża mądrego „po latach“.

„Ile razy więc — mówi na wstępie — ma się myśl, wypowiedzianą w pewnym czasie, na nowo, po upływie lat ujawnić, należy wartość tej myśli sprawdzić i zbadać, czy ona jeszcze jest prawdą, lub czy już może stała się fałszem. Należy sprawdzić, czy wrażenia, odebrane od pewnych zjawisk, były tylko złudzeniem chwilowych stanów psychicznych, czy też odbiciem trwałych zjawisk życia, w niezmiennych, żywiołowych pierwiastkach ludzkiej duszy“.

„Przez doświadczenie zmienia się względny nasz stosunek do zjawisk, ale bezwzględny pozostaje ten sam. Niema przepaści bez dna, ale dla człowieka, który w nią wpada, jest ona zawsze bez dna, ponieważ przez nią wylatuje się w wieczność — albo w nicość... bez względu na to, czy głębokość jej wynosi sto, czy tysiąc metrów“.

„Sztuka, będąc w przeważnej części wynikiem tego właśnie bezpośredniego zetknięcia się duszy ludzkiej ze światem zewnętrznym, w istocie swojej jest odbiciem wrażeń i powstałych pod ich wpływem wzruszeń

i stanów psychicznych, i, o ile jest takim szczerem odbiciem, dzieła jej mają najbardziej trwałe cechy, to jest, przez czas najdłuższy i przez największą ilość ludzkich pokoleń są pojmowane i uważane za prawdziwe. Na tem opiera się trwała wartość dzieł sztuki, wartość, która, ponad względniemi ich różnicami i chwilowemi zmianami upodobań, utrzymuje wśród ludzkości możność współżycia ze znikłemi pokoleniami“.

Pisząc, co się zmieniło od czasu pierwszego wydania „Na przełęczy“, stwierdza: „Tam, w Tatrach, w tej skalnej pustyni, nie zmieniło się nic od czasu, kiedym ją pierwszy raz widział... Tam, w tym górnym świecie, poza ludźmi, wre zawsze ta sama chaotyczna walka sił, rozgrywa się ten sam dramat czy farsa stworzenia, targa się ten sam splot przyczyn i skutków, który zaczyna się w zaledwie przeczuwanej dali, a kończy się w niedostrzegalnej, nawet dla fantazji, otchłani czasu. — Im dalej od ludzi, tem mniej zmian. — Natura ta jest za potężna, za samowolna, zanadto nie poddająca się kulturze, to jest wyzyskowi ludzkiemu, żeby to mrowie mogło ją zniszczyć lub przerobić. Dziesiątki i setki tysięcy ludzkich istot przeszło i przechodzi, żłobiąc drobne ślady swego pochodzenia, deptując percie, widne tyle, co percie owiec...“

„Ubóstwo natury jest zresztą jej najlep-

szą przed człowiekiem obroną. Na tych szczytach, na których nie można nic zasiać ani zebrać, w tych kamiennych pustaciach, z których nie można wydrzeć żadnego bogactwa, człowiek przestaje być drapieżnym niszczycielem natury i staje się artystą, kontemplacyjnym czcicielem, lub też tak bezinteresowną w stosunku do natury istotą, jak taternik“.

„W świecie tatrzańskim wola ludzka najsilniej wpłynęła na los zwierząt. — W Tatrach, jak gdzie indziej, człowiek od wieków tylko tępił. Jeżeli z niezmiernych stepów Ameryki mogły zniknąć miljonowe stada bawołów — cóż mówić o Tatrach, niewielkiej skalnej wyspie, której wszystkie przesmyki przebiegły myśliwiec poznał i tropił w nich, z zaciekłością ogara i inteligencją wyższej rasy ludzkiej, wszystko, co żyło i co się dało osiągnąć strzałem, lub złapać w sidła i doły“.

„To, co jeszcze ocaliło zwierzęta przed ostatecznym wytepieniem, to istnienie tej złowroziej fikcji ludzkiego świata, jaką jest własność. Dzięki niej przy każdej jamie świstaczkiej, przy każdym rogach kozicy, przy skórze niedźwiedziej, rozpoczynała się walka pomiędzy ludźmi, w imię prawa własności, nad czemś, czego nie posiadli i nie wyhodowali...“

„Człowiek dzisiejszy jest wynikiem całej

sumy przyczyn, których pierwsze ogniwa sięgają w głąb najpierwotniejszych przejawów bytu istot żyjących... Wykształcone pod naciskiem przemożnych sił przyrody, pierwotne instynkty trwają, szukając ujścia w sztucznie wytwarzanych warunkach działania. Tam zaś, gdzie stosunek człowieka do natury, sprawa jego bytu, spotyka się z niezmienionymi, pierwotnymi formami jej życia, człowiek zachowuje pierwotne instynkty i sposoby zapewnienia sobie istnienia w najczystszej początkowej postaci. Myśliwstwo i pasterstwo, jedyne do niedawna sposoby bytowania człowieka w Tatrach: jedno jeszcze tleje, choć z trudem, drugie trwa w pierwotnej, starożytnej formie“.

„Ponieważ warunki życia zwierząt w Tatrach coraz bardziej zbliżają się do warunków zamkniętego i strzeżonego zwierzyńca—pierwotny myśliwiec nie może się tu utrzymać. Sabała i jego towarzysze: Nędzowie, Tatarowie, Pająki, Jarzabki już się nie mogą powtórzyć. Instynkt myśliwski nie wygasł, ale musi się zadowalniać podstępem i przebiegłym kłusownictwem, które nieraz kończy się więzieniem, jeżeli nie czemś gorszem. Jeszcze są myśliwi, ale niema polowania. Poskrócali oni rury dubeltówek, wydoskonalili sposoby ich rozbierania i krycia pod cuhą, i dalej wykradają się do hal, wiedzeni niepo-

konaną potrzebą, porywani niepohamowaną
żądzą, wyjąca w piersi, poza regle, w węgier-
skie turnie i doliny. Ale coraz to trudniej,
coraz ciśnień i niebezpieczniej. Jak wytępio-
no „do korzenia“ zbójnika, tak samo zginie
myśliwiec, ten najmędrszy i najciekawszy
typ górala. Stopniowo zamienia się on w le-
gendę, która chwyta się ostatniego, który żył
naprawdę jeszcze wirchowem życiem — Sa-
bały — i na nim się skończy“.

VII. ZAKOPANE DAWNIEJ A DZIŚ.

Porównywając po latach Zakopane „dzisiejsze” z dawniejszem, stwierdza ze smutkiem Witkiewicz:

„Zginęło myśliwstwo — pasterstwo, schowane w halach, ledwo tleje — rolnictwo staje się coraz bardziej najzbytkowniejszym zajęciem, a owies i grule, które się tu rodzą, nie są w żadnym stosunku do cen ziemi i pracy. Przybyło zasię nowe pole pod uprawę: Pan, G o ś ć. Ten gość, ze swoją bezinteresowną manją do Tatr, a następnie manją ratowania zdrowia, spłynął w podtatrzańską kotlinę w takiej obfitości, że przewrócił wszystko do góry nogami. — Zmiana, jaka zachodzi z tej przyczyny w warunkach bytu górali, jest bezpośrednio przejściem z rolniczo-pasterskich stosunków do hotelarstwa. G o ś ć stał się osią, około której obracają się wszystkie materialne sprawy zakopiańsko-góralskiego bytu. Zakopane w sposób gwałtowny traci, a ra-

czej straciło charakter wsi i staje się miasteczkiem, na drodze do zostania miastem. Dawniej przechodziło się je wzdłuż i wszerz, słysząc wszędzie: — „Niech będzie pokwalony!“ — znało się wszystkich, wiedziało się co i jak, do kogo przegadać, porozumiewało się jednym słowem, które, i dla górala i dla mnie, streszczało całą moc wiadomych nam obu spraw i myśli. Dziś góral już nie nadaje charakteru ulicy; tonie w nadmiarze „ceprów“, odsuwa się w głąb ruchu, poza frontowe domy, przeznaczone na sklepy i mieszkania dla gości. I nie ma on dziś czasu na tak bliskie, częste, osobiste obcowanie, jak kiedyś. Góral dawniej był dla gościa wszystkim: i towarzyszem, i przewodnikiem, i służącym, i krawcem, i stróżem, i pełnomocnikiem we wszystkich sprawach z urzędami; był furmanem, tancerzem, kucharzem, jak i współpracownikiem w rozmaitych badaniach nad naturą Tatr. Cieszył przytem swoim pięknem, zachwycał doskonałością mowy, delikatnością i uprzejmością obejścia. Odpowiadało to nerwowemu temperamentowi, ruchliwej wyobraźni i wrodzonej towarzyskości górala, a dla gościa było na tem odludziu rzeczywistym dobrodziejstwem. Wytwarzało to bliskie współzycie, wzajemną zależność, pewien dyletantyzm wielostronny bez pedanterji. Była to improwizacja — nie metoda życia. —

Dziś się zmieniło... Życie wzięło górali w swoje kluby, dając im możliwość pracy i zarobku poza osobistem, bezpośredniem opiekowaniem się gościem, którego warunki bytu unormowały się na sposób ogólnomiejski“.

Od czasu, gdy Witkiewicz te słowa pisał, upłynęło lat dwadzieścia. Zakopane jegoczesne—dla nas jest już d a w n e. Lata wojny i gorsze powojenne wypiękniły je naszej pamięci, odsuwając je w legendę prawie.

Dużo zmian zaszło przez ten przeciąg czasu. Przedewszystkiem zmienili się goście. Do wojny jeszcze było jako tako. Przez letnie miesiące przewijało się sporo rzetelnej inteligencji — zimy uciszone poczęły wyrabiać dość sympatyczną społeczność. Pierwsze miesiące wojny nadniosły już strachajłów różnego rodzaju, którzy tu jako we względnie bezpiecznym kącie pozostali, uprawiając politykę komunikatową, denerwując wzajem siebie i otoczenie. To jeszcze nic. Z biegiem wydarzeń strachajły poczuli nawet w sobie bohaterские dreszcze — dumnie na rynku stojący, naprzeciw krzyża na Gewoncie, pomnik Jagiełły, począł napawać otuchą. Aż uderzyła o Zakopane wszystko przytłaczająca, jedyna na krwi świeżej triumfująca — fala pałkarzy. Ludzie o czulszym naskórku chronili się, gdzie mogli, po kątach, przed tą zalewającą wszystko falą chamstwa. Przecie i fala

ta groźna cofnęła się, ostawiając kałuże cuchnące, które słonko, wszystkim dobrotliwie wysuszy. — Dziś, w masie, publiczność letnia w Zakopanem, jest powojenna, mieszana, prawdziwie letnia, nijaka.

To — co do gości. A górale?... I tu wojna przeorała trzósłem zardzewiałem po charakterach, po nerwach, po sercach. Gazdowie starzy, których już i mało staje, pocofali się z jarmarku Krupówek do swoich komór samotnych, lub pocichu się w tych hałaśnych czasach ku swoim towarzyszom na cmentarz wynieśli (jako Sobczak Stanisław „Jochym“, Roj Wojciech) — znikomie mało już tych, co wspominają radzi, jak to z panem poetą Nowickim, abo z Tetmajerem, abo z inszymi „godnymi panami“ na Śpis, abo na Orawę, abo kaindziej za Tatry jeździli. — („Były to czasy! nie takie!“). Fiakrowanie przeszło w ręce powojennej młodzi, najczęściej służących, „celadników“ (taki chce na gościu i gaździe zarobić; stąd opinja powtarzana o „zdzierstwie“ górali.

W następstwie dopływu w reklamowaną „stolicę letnią“ coraz większej liczby gości, rozwinął się też niepomierne „przemysł“ pensjonatowy. Ów przemysł — tu na miejscu po swojsku całkiem pojmowany — ma ten pociągający, osobliwy urok, że nie wymaga żadnej szkoły, żadnego fachowego przygo-

towania. Ma naprzykład samotna kobieta jakiś kapitałik, zostanie jakiejś ziemiance coś grosza z zaprzepaszczonej fortuny, uciuła sobie coś tam z trudem przy ociemniałym panu jakiś lokaj — co z tem zrobić? — już cię otworzyć pensjonat. Rozumie się, że nieświadomość, niedołęstwo straciły przy tem resztę grosza, zyskując na nic przydatne doświadczenie — spryt jakoś tam z tej kąpieli wybrnął.

Wraz z napływem gości przywędrowały tu, jak ciury za obozem, szukając łatwego zubożenia się w tym rajku zasłyszonym, różne indywidua, nie mające gdzie indziej „widozków“. Bogata gama „fachów“ — od masażu do architektury. Wnet też działalność ich dała się ocznie obaczyć. Powstały rozmaite Stiele, style, jakich świat nie widział — każda siemieniata kura pomysłów kołtuńskich zdążyła tu już swoje jajko znieść. Takiej zbieraniny ludzi (z jakichś Bezmyślenic), takiej kakofonji budynków, bud raczej, nie mówiąc już o innych ciskających się w oczy potwornościach, w żadnej parafji świata nie spotkasz.

Patrząc po latach na Zakopane zmienione, mówi Witkiewicz z goryczą: „Ani prof. Chałubiński, ani ks. Stolarczyk, ani Sabała — nie mieliby tu co robić. Dwaj ostatni, ponieważ znikły zupełnie warunki, w których żyć i dzia-

łać mogli — pierwszy zaś, ponieważ to, co się w Zakopanem stało, jest bezwzględnie innym, niż to, o czym mógł marzyć“.

O tych legendowych postaciach — w odniesieniu do dziś — już nie mówić. Jakże w dzisiejszem Zakopanem czułby się sam Witkiewicz, lub ś. p. Dyonizy Bek, lub Artur Górski, który tu Akademię platońską projektował. (Djalogi platońskie — i jazz-band!)

Widziałem naocznie śmierć dawnego Zakopanego — w takim obrazku:

Ostatni kobziarz zakopiański, Gładcan, czując w kościach śmierć bliską, zeszedł jeszcze z kobzą swą po raz ostatni między ludzi: zagrać im, dawną zbaczyć sławę. Usiadł przed pocztą na ławce — kobzę zgrabiałemi rękami nastraja. Otoczyła go młodź fiakierska, pijana — jeden przez drugiego drze się nad uchem kobziarza nieswoim głosem. Publika powojenna, przechodząc, patrzy z pogardą na to cudowisko: ten i ów, widząc dziada, rzuca mu jakąś monetę. Z pobliskiej kawiarni wydziera się hałaśliwy łomot murzyńskiej jazz„muzyki“. Opadły ręce kobziarza wi. Zamglonemi oczyma toczy wokół — nie może pojąć: „Cy to ten świat — cy może juz tamten...“

— Po coś, „dziadu“ nieczekany, schodził ze swej wyży Gładkiej po raz ostatni ku lu-

dziom? Insze dziś „dzieła“ — insze nuty. Twoje Zakopane zmarło...

A jednak w tem beznadziejnem, zdawałoby się, zatraceniu pięknej kotliny pod Giewontem są smugi pocieszające...

Wzruszyłyby już była wstałych z grobu „swoja“ kompanja wysokogórska.

W zimach ostatnich rozwinął się odradzający sport narciarski.

Są jeszcze górale, pełni ideowej woli przywrotu piękna: — Brzega, Sobczak, Roje Wojciech i Stanisław, Krzeptowski parę i t. d.

A objęcie kierownictwa Szkoły przemysłu art. przez Karola Stryjeńskiego i planowana przezeń rozbudowa Zakopanego — to już samo godne optymizm przywrócić.

Są placówki kultury — pierwsze Muzeum im. Chałubińskiego w nowym gmachu, z nieocenionym kustoszem Zborowskim.

Na czele urzędów miejscowych stoją ludzie czyści, energiczni, o horyzontach umysłów niewąskich.

Jest parę dzielnych lekarzy, dzielnych profesorów. Jest kolonja malarzy.

Tuż pod Zakopanem, na Harendzie, rozgazdował się na stałe Kasprowicz. Na stoku Gubałówki stawia dom dla siebie prof. Romer. Buduje się także Piotr Chojnowski.

Z dopływającej, obcej fali coraz częściej wyłania się ktoś wartościowy, mający wolę tu osiąść.

Ufać też można, że gdy tych mężów pięknych grono, tu osiadłych, wolę swą ku odrodzie Zakopanego, z rozumieniem głębokiem, obróci, to na pewno na losach tej dziś rozstajnej skupizny i kierunku jej na przyszłość — zaważy.

Oby — gdy znów po latach 20-tu ktoś porówna Zakopane „dzisiejsze z dawniejszem“ — to przyszłe nad obecnem zatriumfowało!

VIII. O POLITYCE PODHAŁA *).

Dotąd na Zjazdach naszych omijaliśmy rozważania polityczne, ograniczając się przy obradach do spraw kulturalno-oświatowych i ekonomicznych.

Omijaliśmy politykę — po pierwsze dlatego, że, będąc w zaczątku ruchu i mając w gronie skupionych Podhalań ludzi o różnych temperamentach przekonań (gdy dyskusje w tej dziedzinie zwykły wywoływać kwasy), nie chcieliśmy zamącać tak isticie jedynej, przy takiej gamie dusz, bezprzykładowej u nas harmonji — a powtóre, na Zjazdach tych uświadamiało się dopiero, w nas i przez nas, Podhale jako idea odrodzca, skąd też wyrażnił się w rozumieniu naszym i stosunek tej ziemi do całości Rzeczypospolitej.

W tem uświadomieniu wstępem, o spore już postąpiliśmy stajanie — w dusze nasze,

*) Rzec rozważana na VIII Zjeździe Podhalań w 1924 r. w Zakopanem.

jak światło życiotwórcze, wnikło dumne poczucie odrębności tej skalnej, wysokiej, przez bogi umiłowanej ojczyzny — ruch nasz, dopływem falangi młodych zasilany, ma jasny, zwyraźniały na przyszłość kierunek. Prąd przewodni idei nie da zboczyć z drogi. I to dziś jasno w sobie wiemy, że ilu nas tu jest — Podhalan — różnych lat, zawodów, przekonań — najważniejsze nas łączy, drobne dzieli. Jesteśmy jedną rodziną — pragnienia też serc naszych ku jednemu biją: tę wysoką ojczyznę jeszcze zwyższyć, wołać i spólnym czynem wynieść ją ku niebu.

Związek nasz na tej idei wspólnej gruntowany. Zjazdy nasze są poto, by rozwidniać drogę — z projekcją niezmienną, a ciągłym rzutem ku górze. Bowiem linja równa już jest opadaniem.

Prosta rzecz: im się jest wyżej, tem więcej oko obejmuje. Pragnąc zaś odrody życia, trudno przymykać oczy na tegoż życia czynniki składowe. Trzeba sobie zdać z całokształtu sprawę.

Dziś już nietylko, ugruntowani, możemy, ale winniśmy na Zjeździe swym o omijanej dotąd polityce mówić.

Jako jeden z przejawów i czynników życia wchodzi polityka w odświętną zastanowę chłopa, a w codzienny niemal kłopot inteligenta; wciska się wszędy — do instytucyj,

urzędów, kościoła — staje się częścią powietrza, nieraz zatrutego, którą bezwiednie płuca ludzkie na jarmarkach, wkolei wdychują. Utajenie skrywa się między wierszami najbardziej apolitycznych pism. Nie ustrzeże się jej człek żywy w działaniu, choćby się nie wiem jak zaklinał. Weźmy przykład najbliższy: Gazetę naszą podhalańską. Mimo szczerej chęci redaktorów, chcących ją czynić apolityczną, bezpartyjną — polityka, i to stronna, w rozlicznychby się wskazać dała miejscach. I to jest naturalne: pisali ją ludzie żywi, którzy w takim lub innym świecie dane sprawy widzą.

Polityki się nie uchronimy. Coraz też jakaś partja pociąga kogoś z grona naszego ku sobie, który, naturalną rzeczą, rozumiejąc jako jedyną drogę zbawczą, drogę swej partji, pragnie w najlepszej serca intencji, by tą drogą się potoczył i ruch podhalański.

Nurt życia politycznego, z powstaniem Rzeczypospolitej spoteźniały, zagarnia coraz więcej z brzegu, oddziaływając dzwonem tętna i na skupienia czysto kulturalne. I Związek nasz — można twierdzić pewnie — nie ograniczy się do zakładania warsztatów, pracowni, sprowadzania drzewek, do szerszej nawet, tak koniecznej, kulturalno-szkolniczej czynności, lecz ugruntowawszy się w narodzie mocniej, skupiwszy w sobie wszystko,

co dzielne i twórcze z Podhala, zechce zczasem i na fizjognomję polityczną tej ziemi oddziałać, ba sam ją zechce w duchu idei swojej ukształtować.

Więc śmiało możemy wszcząć już dzisiaj — rozumie się, jako teoretyczne wskazazy, dla orientacji — rozważania polityczne między sobą, w domu.

Naprzód musimy ustalić: jak rozumieć mamy wyraz „polityka“? Bowiem różne i zgoła sobie przeciwne podstawia się pod wyraz ten pojęcia.

Polityka, ta powszednia, jest to taka uniwersalna wiedza, jak znachorstwo. Niedomaga organizm państwowy tu lub tam — każdy czuje się uprawnion radzić jakiś lek jedynie zbawczy — im naiwniejszy, tem pewniejszy. Na szczęście ta polityka znachorska wyładowuje się bez reszty w gadaniu. Groźniejsza jest polityka, jako zawód. Taki polityk zawodowy niewiele więcej umie od znachora, ale daleko poważniej z tą wiedzą się nosi i posiada jawny objaw swej próżni mózgowej: zarozumiałość. Są politycy stołeczni i prowincjonalni. Wśród tych ostatnich osobny rodzaj stanowią, zwłaszcza przy czasie wyborów, jarmarczne typy polityków, przypominające tak zwanych tu na Podhalu zachodniem „łupków końskich“.

Owo to targowisko, z zawodowymi augu-

rami, pełne chytrych podstępów i szwindłów, przy reklamie krzykliwej znachorów, zowią ludzie mali polityką. A jest to tylko, jak przy każdym handlu, psucie charakterów ludzkich, obniżanie dusz. Zawdy ktoś przytem się zbruka, lub kogoś zbrukają. To też ludzie czysti, wartościowi a o czulszym stroju naskórków, usuwają się za nawias tej jarmarcznej wrzawy.

Utarło się już przysłowie, że „polityka nie poemat“. Słyszy się też spowiedne wyrzekanie zawiedzionych, że „polityka to świństwo“. Zapewne. „Dem Schweine ist alles Schwein“ — powiada Nietzsche.

Nie o takiej „polityce“ chcemy mówić. Polityka, w pojmowaniu naszym, to pojęcie zwysoka — to obejmowanie całokształtu życia narodu, z rozumieniem jego ducha, jego ideowej linii w przeszłości i, z tej projekcji górnej, wyznaczanie drogi niemylnej na przyszłość; polityka, w naszej myśli, to działalność Cavoura, to troski naszych pisarzy z XVI wieku, to wysiłki twórców Konstytucji 3-go Maja, to artykuły Mickiewicza. Polityka, to ewangelja podniosła na codzien, wywołująca ducha z gminu, tworząca życie górniesze — to władza światła, nie mroku. A jeśli do walki stanie, to nie używa sposobów nikczemnych — w pierś piersią, w puklerz puklerzem o zasady bije!

Taką my politykę, podnoszącą, za godną siebie pojmiemy.

To ustaliwszy, możemy się zastanowić: jaką winna być polityka Podhala?

Nim przyjdziemy do istoty rzeczy, musimy w pierw przejść charakter podłoża, na którym takie a nie inne drzewo ma gruntem uzasadnione prawo, jak i możność rostu — musimy uzasadnić od korzenia, co już w okwicie samo się tłumaczy: jako świadomość siebie.

Nic nie tworzy się w oderwaniu. — Nie zaczepia się mostu na powietrzu. — Jak w każdej dziedzinie twórczej, dzieło nowe wiąże się z podstawą, jest ogniwem złączonym z innymi, sięgającymi wstecz do zmierzchłych czasów — tak i w dziedzinie polityki tradycja jest wskazem linii na przyszłość.

Jak w Polsce przeszłej, w czynach i piśmach wymienionych wyżej, w polityce wschodniej Batorego i południowej Władysława, a po upadku, w manifestach Towarzystwa Demokratycznego, są dyrektywy zasadnicze dla linii politycznej jutra — tak i Podhale (że małe z wielkiem porównamy), jedyna z ziem w składzie Rzeczypospolitej, mająca swoją własną, oryginalną piękną tradycję, ma też z przeszłości honornej i dla politycznej swej dąży wskazania.

Czy to rebelje pospolite przeciwko zdzier-

com=starostom, przy równoczesnem stawaniu ochotnem w potrzebach wszelkich Rzeczypospolitej — czy ruch zbrojny o chłopską Rzecz, wszczęty wystąpieniem Kostki, a lat dwadzieścia trwający — czy, po rozbiorze ziem Polski, uchylanie się od służby przymusu i krwawy protest chochołowski, gdy sąsiednie ziemie lackie zbrodnią się skrwawiły, — wszystko to wskazuje na umiłowanie ogniste swobody, na stróżę praw, przez możliwych zdzierców rabowanych, na dumę rodno=plemienną i na strzeżenie czujne swojej odrębności — przy równoczesnem ochotnem dawaniu najcenniejszej ofiary z krwi—w każdej potrzebie swej szerszej Ojczyzny.

I ostatnio też za tym wskazem poszła liczna młodź z Podhala do Legjonów, krwawiąc się dla Polski w bojach, a wywalczając postawą swą — swoją odrębną, podhalańską w składzie armji polskiej, Dywizję.

Przejdźmy teraz stosunek Podhala do partij politycznych, przychodzących z zewnątrz. Wprawdzie żadna z nich organizacji swej, w ścisłem znaczeniu, wśród ludu podhalańskiego nie posiada. Jednak, jak widać choćby z głosów padłych na poszczególne listy wyborcze do sejmu, kilka z nich działa na tym terenie odłożnym i ma tu swoich zwolenników. Choć to zawodne — jak poucza nas przykład jednej z gmin na Podhalu (i to

światlejszej), która podczas wyborów do parlamentu wiedeńskiego — gdy głosowanie było t. zw. potrójne — przy I-szem głosowaniu oddała karty za kandydatem katolicko-ludowym, przy głosowaniu II-giem (w dni kilka) za radykalnym ludowcem, a przy III-ciem głosowaniu (w tydzień potem) za narodowym demokratą. Tak to są ugruntowane te partje. Działają tu przygodne wpływy: wieców, księży, wójtów wybitniejszych, panów z miasta — stąd „zwyrtnanie“ umysłów w tę lub ową stronę.

Mając na uwadze tkwiący w charakterze górali oportunizm, możnaby sądzić, że przyspaśćby im powinna do gustu partja o szerokiej skali: narodowo-demokratyczna. Jednak większość chłopów, którzy się chcą wogóle ku czemuś skłaniać, wiedziona prędzej stanowym instynktem niż „uświadomieniem“, skłania się raczej ku partjom ludowym.

O stosunku górali do socjalizmu, to już powiedział Witkiewicz. — Kiedy przyszli doń gazdowie, Słodyczka z paru inszymi, i pytali go w zaufaniu, by im wytłumaczył jasno istotę socjalizmu, a on jak umiał plastycznie wyłożył im zasady przyszłego kolektywizmu, zadumali się... oczy w przyszłość poszły — ponikły im peczki graniczne i miedze, te przyczyny zajadek sąsiedzkich i kłótni — zwidziało im się to... Ba, ale świętość jęte planety.

własności, którą od dziada-pradziada... „Ono by ta było, było“ — powiada Słodyczka — „ino ze niwto na to nie przystanie!“

O partji katolicko-ludowej nie mówię. Rzecz to bowiem raczej gaździn podhalańskich.

„Partje polityczne“ — powiada Witkiewicz — „ciągnąc lud, każda w swoją stronę, jedne w imię jego upośledzonych praw i społecznego dobra, inne, usiłując zachować pewną patrymonjalną przewagę, rzekomo dla dobra samego ludu, z racji jego niedojrzałości politycznej, inne znowu poprostu nie chcąc, żeby lud wyszedł z klubów ich władzy — wszystkie razem rozkołysują ludowe masy, przyczyniając się do ich „uświadczenia“, już choćby dlatego, że je wciągają coraz bliżej i głębiej w wir życia politycznego. Lud jednak nie pójdzie za żadną z tych partyj wyłącznie, właśnie dlatego, że są partjami, że przedstawiają albo ciasne instynkty, albo ciasno pojęte idee. — Lud pójdzie swoją drogą. Drogą, którą mu wskazują z jednej strony ogólnoludzkie elementarne dążenia, pragnienia i potrzeby — z drugiej stopień i rodzaj kultury, którą lud już posiada, splot pewnych pojęć i obyczajowości, która ma swoją odrębność“.

Pisał te słowa Witkiewicz przed dwudzie-

stu laty, jednak dziś jeszcze nie straciły one swej wagi.

Chodzi teraz o nasze, synów Podhala stanowisko wobec działających na terenie ziem polskich i dochodzących tu do nas partyj.

Jako odpowiedzialni za linię rozwoju tej ziemi, musimy sobie zdać sprawę z nakazów głębszych i przyczyn, które, logiką ducha i rzeczy za wyborem takiej a nie innej drogi politycznej na przyszłość, przemawiają.

Z przeszłości, z tradycji naszej słyszeliśmy wskazania... Cóż mówi nam dzisiejszość?

Synowieśmy tej ziemi, tego ludu, jego kultury — a chodzi nam o podniesienie całości kształtu życia tego ludu, o rozwój jego celowy i mądry w każdej dziedzinie, o arystokratyzację jego ducha, a demokratyzację urządzeń społecznych i władnych na całym obszarze Rzeczypospolitej, o władztwo świadomego obowiązków ludu=narodu.

Więc wniosek prosty: Winniśmy iść wspólnie z ruchem ludowym w Polsce.

Ba — lecz ruch ten rozszczępił się na kilka kierunków, zwalczających się wzajem — a niektóre onych pilne postulaty sprzeczne są z interesem ludu podhalańskiego lub też go mało dotyczą.

Weźmy pierwszą z brzegu reformę rolną. Rzec ta o tyle dotyczy Podhala, że

przy parcelacji, jeśli jeszcze miejscowe czynniki dopuszczają, gdzieś na dalekich kresach jakiś mały odsetek ludzi, i to najenergiczniejszych, mógłby, stąd wyemigrowawszy, jakieś odłogi zakupić. Czy to na dobre Podhale i im samymby wyszło — śmiem wątpić.

Dalej — oclenie wywozu produktów rolnych. Interesem całej masy bogatszych chłopów dólskich, którzy produkta sprzedają jest, by cła na wywóz zniesiono — a znów przeciwnie, Podhala i całej połaci ziem górskich, gdzie się zboże kupuje, nie sprzedaje, interesem jest, by cła wyższe wstrzymywały wywóz cheba z kraju. Tu interes chłopu pokrywa się z interesem robotnika i inteligenta. — I więcej takich sprzeczności, których tu nie czas rozwijać.

Reasumując: — Jak Podhale odrębne ma od innych ziem warunki gospodarcze — jak przyroda jego jest odrębna — jak w przeszłości odrębnie szło, i dziś jest wśród ziem polskich w etnicznym typie odrębne, co jest właśnie jego w Polsce sławą — tak też i fizjognomję polityczną winno mieć swoją, odrębną.

Nie chodzi tu o tworzenie nowej partji. Nie jest też to, jakby się komuś zdać mogło, separatyzm lub partykularność.

Dana ziemia, jeśli ją stać, może mieć oblicze swoje polityczne, wyrosłe z krwi i ducha rasy, nie narzucone. — Podhale jest jedyną w Rzeczypospolitej ziemią, która ma prawo do tego.

Dalej — ocalenie wywozu produktów tych, interesem całej masy bogatszych obywateli, krajowy produkt surowców jest dla nas wyjątkowo ważny — a więc przeliczyć nie Podhale i całej polski ziem górskich, gdzie się chce kupić, nie sprzedają, interes jest, by dla wyzszce wstrzymywali wywoz chleba w kraju. To interes chłopstwa, krajowy się z interesem robotnika i inteligencji. — I więcej takich sprawowości, których to nie czas rozwinąć.

Komentarz: — Jak Podhale odrębne od innych ziem warunki gospodarze — jak przyroda jego jest odrębna — jak w praktyce odrębnie jako i dalsz jest wśród ziem polskich w oświeczonym trybie odrębne, co jest władnie jego w Polsce sława — tak też i jego polityczna winna mieć swoją odrębność.

Nie chodzi tu o tworzenie nowej partii. Nie jest też to, jakby się komus zdało mogło, separatyzm lub partykularność.

IX. CZYŚMY DEMOKRACI?

Wprawdzie demokracizm wywieszać się u nas zwykło, jak odświętną, deszczem odbarwioną już chorągiew, przy każdej sposobności; wprawdzie wielu publicystom naszym demokracizm ów nie schodzi (nie powiem z ust, ale) z ostrza pióra; wprawdzie stoi wyraźnie jak wół na sztandarach, w imionach lewych i prawych partyj; mamy więc demokracizm socjalny, narodowy, chrześcijański i jaki tam jeszcze; konserwacyzm nasz nawet nim się w dni zwykle pieczętuje, jako sygnetem temporis; chwalamy się i konstytucją — najbardziej ponoć z używanych demokratyczną — lecz społeczeństwo nasze w krwi, w poglądach, we wszystkich swoich, tak jednostkowych, jak i zbiorowych postępkach, wcale a wcale demokratyzmem, jakby się spodziewać należało, nie jest.

Za długo Rzeczpospolita była rzeczą jedynie szlachecką, iżby wiek jeden — i to naj-

mniej kształcący, wiek niewoli — zdołał, zwyczajem uświęcone, umeblowania mózgów poprzestawiać.

Mieszczanstwa, skąd demokracja rodowód swój wiedzie, właściwieśmy swojego nie mieli. Gdy na zachodzie kooperacja hanzeatycka stała się potęgą, u nas szlachcicowi, hańbiącemu się handlem, żyd pogardzany a niezbędny spławiał do Gdańska pszenicę, a w sukiennicach i składnicach miejskich towary bławatne i korzenne obcy sprzedawał kupiec. Zaś po stracie majątku przez katastrofy narodowe lub niedołęzną, czy utracjuszowską gospodarkę swoją, osiadający na bruku miejskim ziemianin i z konieczności chwytający się handlu czy przemysłu, wiele o tem poświęceniu dla społeczeństwa deklarując, uważał to rzemiosło za tymczasową ofiarę z swej dumy, za przejście przy szczęściu lepszem do poprzedniego stanu; która to ambicja udzielała się i współkolegom, kupcom z pradziada, plebejom. I dziś, założyć się śmiało można, jeśliby prawdę uznali, o całej ich majątek, iż większość naszych kupców, każdy przy rozkładaniu konfekcji damskiej, czy odważaniu pieprzu, marzy jeno o tem, by kiedyś wieś kupić — by jeśli nie on, to syn jego mógł ziemianinem zostać. A nie jest to pragnienie własnego kawałka ziemi, wsi, pejzażu, lecz raczej ambicja do-

stania się w ową sferę, o której się ma wyobrażenie zazdrośnie wysokie, skryta tęsknota plebejska do „jaśnie wielmożności“.

Nawyknienia też niby pańskie, niby arystokratyczne, a właściwie mandaryńsko-chińskie przeniknęły z podupadłymi szlachcicami do urzędów, do biur, do wszystkich hierarchicznych instytucyj i urzędzeń.

Weźmy stosunek pracodawcy do robotnika, do służby, stosunek szefa do podwładnych, a tych znowu do niżej stojących w hierarchji... Bardzo wyjątkowo demokratycznie usposobion pan, gdy, pamiętający imię podwładnego, powie pobłażająco zwysoka: „Niechno Jan to a to zrobi“... Zwyczajnie zaś traktuje bezimiennie lecz zato dosadnie murzyna pracującego, a gdy Jan czy Michał, w godności człeczej dotknięty, ośmieli się głos podnieść, usłyszy od pana coś o matce swojej, co mu psi mores przypomni. I to już obojętne, czy ów pan jest chrześcijańskim, narodowym czy socjalnym „demokrata“.

Najwidoczniej odbija się ta hierarchiczność w stosunkach towarzyskich, w odnoszeniu się sfer „wyższych“ do niższych. Na każdym kroku, w kościele, w szynku, w kolei odcina się jaskrawo góra od dołu. Wejście np. chłopca do wielkomiejskiej restauracji wywołuje konsternację na sali; pomieszanie kłopotliwe u gości, oburzenie u pilnujących

honoru domu kelnerów. Niewyczerpany lik przykładów możnaby przytaczać na dowód tej swoistej, towarzysko-kołtuńskiej chińszczyzny.

Jaskrawiej jeszcze, niż w miastach, wyznacza się ta chińskość w stosunkach między tak zwaną fałszywie inteligencją na prowincji, w miasteczkach; zwłaszcza między owej miasteczkowej śmietanki płcią nadobną. Ma na przykład mąż danej pani o 10 zł. wyższą pensję od męża sąsiadki, to już o 10 cm. odniesienie się jej do tamtej upośledzonej jest wyższe. Pani radczyni np. za nic nie usiadłaby w ławce w kościele obok pani aptekarzewej i t. d. Nędzny świątek, nie godzien uwagi — lecz pono demokratyzm miasteczek naszych jest zrębem, na których dach państwa się wspiera: jak to głęboko określił jeden z również naszych filarów demokracji, której niema.

Osobny rozdział możnaby napisać: Polacy zagranicą. Czesi na przykład — naród, trzeba to przyznać, rzetelnie demokratyczny, którego arystokracja dość wczesnie się zniemczyła — wykorzystując czas urlopu czy ferje wakacyjne, jeszcze na długo przed wojną zwiedzali pobrzeże Adrjatyku, penetrowali zapuszczone wyspy dalmatyńskie. ściągali kapitał czeski, budowali tam domy zdrowia, zakłady Komeńskiego, rozsadzali

przytem celowo Austro-Węgry i z tej strony, przynosząc z sobą panslawizm w wydaniu praskim, zbliżonem do moskiewskiego. Niemcy też rozsypywali się po wszystkich drogach, biorąc alpejskie szczyty, zachwycając się krzykliwie przyrodą, deklamując odświętnie Schillera, Goethego, a wciskając towar swój „made in Germany“. Dla Polaków natomiast, zamożnych czy niezamożnych, znany był jeno utarty szlak: Abbacia — Wenecja — Watykan — Riwjera — Monte Carlo — i giełda świata: Paryż. Przytem każdy z minięciem granicy rad był uchoździć za hrabiego. Wykorzystywali też to sprytni Włosi, tacy psychologowie doświadczeni jak portjerzy hotelowi, nie szczędząc im przy pogardliwych uśmieszkach oczadzających tytułów. Z zetknięcia się z demokratycznymi społeczeństwami zachodu mniej Polak do domu wnosił, niż ów rosyjski помещczyk, który wszystko zagranicą chwając, wolnomyślnie się nawet za pobytem w Szwajcarji durzył, a za powrotem do kraju strząsał to z siebie jak pył drożny przy rampie granicznej.

Stosunki też międzyludzkie, za obejście się z sobą ludzi wzajem w społeczeństwach prawdziwie demokratycznych, wydają się nam dziwne i niezrozumiałe, jakby z innej prze-

Bawiąc przed laty w Genewie, byłem świadkiem w kawiarni (nie pomnę już jej nazwy) takiej oto sceny... Niewielu gości w czasie poobiednim obsługiwali: kelner młodszy i płatniczy postawny, o wąsiskach jak huzar. Drzwi, z ulicy pchnięte, uskoczyły — wszedł oficer szwajcarski. Po spalonej słońcem twarzy, po kurzu na mundurze widać było, iż z dalekiego wraca marszu, zapewne z manewrów. Za nim wkroczył chłopiec, widać syn, uczeń jakiejś szkoły, który wybiegł był na przeciw powracającego ojca, odjął strudzonemu ruksak, dumnie niósł go przez miasto na plecach i teraz złożył przy drzwiach.

Oficer, wszedłszy, potoczył po sali wzrokiem, a zobaczywszy wąsacza kelnera, stanął przed nim na baczność, jak przed przełożonym, i oddał mu, salutując, wojskowe pozdrowienie. Poczem postąpił ku niemu i uściskali się serdecznie. Następnie oficer siadł przy stole, a płatniczy skłonił się mu i spytał, czem może służyć. A otrzymawszy odpowiedź, poszedł zamówić żądany artykuł.

Ze zdziwieniem obserwowałem tę scenę. Gdy zbliżył się ku mnie kelner młodszy, powiedziałem mu, co mnie dziwi, i spytałem go, jak wytłumaczyć zachowanie się względem siebie wzajem tych dwu z tak różnych sfer ludzi. Z uśmiechem mnie objaśnił:

— Rzecz prosta. Nasz płatniczy jest ka-

pitanem w rezerwie. A oficer ów jest podporucznikiem. Że wszedł w mundurze—oddał ukłon wojskowy płatniczemu, jako starszemu rangą. Że zaś znają się dobrze z czasu wspólnych ćwiczeń—przywitali się jak przyjaciele. Poczem oficer usiadł i jest gościem, a płatniczemu kelnerowi należy się go obsłużyć. Nic tu więc dziwnego niema.

Ba! Ze swej strony zdziwiłby się ów kelner niepomału, gdyby się dowiedział, iż pod sąd honorowy oddano u nas oficera na podstawie donosu, że był w „cywilu“ kelnerem.

Innym razem, zdążając do portu, znalazłem się wczesnym rankiem na ulicy. Ruchu jeszcze nie było. Kawiarnie właśnie otwierano, ustawiano na trotuarze stoliki. Usiadłem przy jednym z nich, by wypić śniadanie. Uwagę moją zwróciło dwóch ludzi, tuż obok na środku ulicy. Byli to: zamiatacz ulic, oparty na miotle, i elegancki pan w tuzurku, w lśniącym cylindrze. O czymś ze sobą w zaufaniu widocznem z zajęciem rozprawiali. Zbliżyli się później na trotuar, usiedli przy stoliku. Pan poprosił o wermut; wypili i rozstali się z uściskiem dłoni. Zagadnałem kelnera, co tych dwóch ludzi może łączyć.

— Rzecz zwykła — odrzekł. — Ów pan w cylindrze jest posłem z tego okręgu do Rady Związku, a zamiatacz ów jest jego wy-

borcą. Poseł informował się u niego o stanie życia, zarobków...

Gdzieżby to u nas poseł z zamiataczem — chyba podczas dni wyborów.

Dalecyśmy, dalecy od demokracji. Azjatykiem jesteśmy jeszcze społeczeństwem w stosunku do zachodu.

Arystokracja nasza odcina się i zasklepia w swej próżni, z bezmierną pogardą patrząc na ludzi innej sfery. Mieszczaństwo znów małpuje niezgrabnie tamtą w jej nawykach i wadach, patrząc ze swej domniemanej wyższości na chłopą, jak na coś bardzo niższego. — A jak się rzecz ma z demokratyzmem wśród chłopów, powiem w następnym liście.

X. SOŁTYSI, KMIECIE A ŻMUDŹ.

Lud w masie, upodobnion stanem, wydaje się patrzącemu z boku jako spojna, różniąca się jeno typem ziem, jednolita warstwa. O tem, by w masie tej mogły zachodzić podobne uwarstwowienia hierarchiczne, jak w świecie fraków i żakietów, niewiele się powszechnie wie.— A społeczeństwo wiejskie, podobnie jak miejskie, posiada w swojej zwięzi swoją arystokrację rodową, czy to majątkową, dalej liczną klasę, dającą oblicze ziemi: średnio-zamożnych gospodarzy, jako też, przez tych i tamtych pogardzaną, chałupniczą lub zgoła bezdomną, od stołu pospólnego odsuwaną rzeszę, w żmudzie i nuzdzie żywot swój gniotącą, no, słowem: żmudź.

Weźmy z kraja ziemię najbliższą, Podhale. Z wierzchu widzi się jednaki naród: górale wszyscy. Ba! Lecz są wśród nich potomkowie honornych zbójnickich rodów, tego nie-

jako rycerstwa chłopskiego w tej ukrainie granicznej, którzy, pomni jastrzębich swych przodków, wysoko się ponad inszych pawią; — są stare rody sołtyskie, nieomal w każdej wsi, szlacheckiego swego wiedne pochodzenia, które, chowając w skrzyniach pergaminy z pieczęciami królów, przywileje, nadane ongi pradziadom ich, ponad inszych dumą rodową się wyznia; — jest tłum gazdów, bogatszych i płońszych, którzy podług majętności koso na się patrzą; są chłopi nowotarzańskie, z tradycją Miasta, z pewnem lekceważeniem traktujący znowu ludzi wsiowych; są bezgruntowi wreszcie chałupnicy, jako i biedź komornicza, od tamtych zależna.

Przypatrzyłem się nieraz tym i tamtym, i ich stosunkom wzajem siebie. Nie powiem, by się mi owi płońsi lepiej przedstawiali. Tradycja i ducha prostuje, wyżej nieść się mu każe.

Wracając raz koźmi zimą z Nowego Targu, spotkałem był po drodze znajomego sołtysa. Zaprosił mię do siebie. Domostwo jego było tuż, w środku wsi; bogatsze od innych, obszerniejsze, poznać zaraz, że sołtysowskie.

Wprowadził mię przez sień do izby dużej, t. zw. piekarni. Tu przędły len na kołowrotkach cztery służebne, a wyżej na podniesieniu przędła również na kołowrotku jego cór-

ka = jedynaczka, jak mię wyjaśnił, przedstawiając. Tuż pobok, osobno, w alkierzu, przezdła znów jego żona kądziel cieniutką na wrzesciono. Wszystko jak ma być, podług stopnia. Przeszliśmy do świetlicy. Prócz widzianych w izbach poprzód łyżników, kredensu barokowego i t. p., zaciekał mię stół inkrustowany, o którym z dumą opowiadał, wiele już pokoleń przetrwał. Po ugoszczeniu, pokazywał mi obejście swoje, z przechwałką zaznaczając różnicę tegoż od sąsiedzkich. Odprowadził mię na drogę, gdzie spotkaliśmy brata jego, jako też krewnego ich. Sołtys zaprosił nas dla zaznajomienia się do gospody pobok, na piwo z oszczypkiem.

— Musicie wiedzieć — wyjaśniał, gdyśmy tam usiedli—bez co ich obu miłuję. Brat mój, ten oto z rozwianemi włosy, jest mi jak ociec rodzony. Choć starszy rokami, nie ożenił się i jest przy mnie, żeby nie uszczuplać majątności, coby gawiedź nie miała uciechy, iż sołtysowo się rozpada. A ten drugi z frasobliwemi oczami — to wróg mój! Wróg kochany! Myśmy sie z sobą, wiece, bez dwadzieścia lat procesowali. Proces spadł na nas z ojców, o grunt ciotki, trza go było prowadzić. Ale my bez cały czas, jak proces trwał, razem z nim na jednym wozie na termin jeździli i razem=emy po terminach w mieście piwo pili! Dziwowała sie gawiedź...

— Hej, hej—przytakiwała biedota, w kącie gospody zebrana. — Prawdę sołtys prawią, tak było... — i przypochlebnie przyśmiechała się słowom przechwalnym sołtysa.

Jaskrawiej jeszcze, niż tu na Podhalu, występuje ta różnica warstw chłopskich w ziemiach sąsiednich, laskich. Tam bowiem większa rozbież w posiadaniu gruntu różnicę tę pogłębia.

W znanem mi zbliżka Szczyrzykiem mieli do niedawna bogatsi chłopi, t. zw. kmiecie, po sto, dwieście i więcej morgów — reszta chłopstwa po kilka, kilkanaście najwyżej morgów pola. Kilka było takich gospodarstw kmiecych we wsi, jakby kilka folwarków pańskich, na których pracowali biedni paru morgowi chłopi dookolni i chałupnicy, za umówioną roczną ornaryję. Pańszczyzna w inszej odmianie. Zależność też dotkliwa tych ostatnich od kmieciów-bogaczy uwidoczniła się wszędy: w powiecie, w parafji, w gminie.

I dziś nawet, po zmianie stosunków, po rozpadzie majoratów kmiecych przez działy rodzinne, jakoteż w wprowadzeniu innego systemu płac przez emigrację, po przemieszaniu zwyczajów, pojęć dziedzicznych, ów stosunek kmiecia-pana do niedawnego ornaryjnego poddańca w wielu wypadkach się ujawnia.

Opowiadał mi sekretarz rady powiatowej

(późniejszy wiceminister) taki wypadek z czasu jego urzędowania w powiecie:

Zjawia się u niego w biurze chłop dorodny, olbrzymiego rostu, w sukmanie bogato szytej, w pasie szerokim, suto nabijanym — i, dłoń za pas włożywszy, oczy z powagą przyglądając, a hardo głowę unosząc, zgóry, zwyż soka spyta:

— Czegoż sobie to ode mnie pan sekretarz życzy?

Był to znany kmieć bogaty, wójt jednej wsi od strony Szczyrzyna, na którego weszła skarga, że pobił radnego gminy na posiedzeniu. Wdrożono o to przeciw niemu dyscyplinarne dochodzenie.

— Panie wójcie — rzekł sekretarz — coś źle będzie z wami. Pobiliście ponoć radnego podczas posiedzenia...

Kmieć wziął jeszcze władniejszą postawę.

— Słuchajcież, panie sekretarzu, rzecz się tak ma... Dawniej kmiecie, zagrodnicy bogatsi radę wybierali. Kogo wybrali, ten radził. Przeciwów żadnych nie było. A teraz żmudź się do rady prze, powiada: prawo ma za sobą. Kto o takich prawach słyszał? Ale to sporo tego w gminie — przy ostatnich obiorach do rady wepchnęli paru swoich. A jeden z nich najbardziej pyskaty. Powiadam mu spokojnie: Jakeś wlaź tu, to siedź, słowem nie śmiej się odzywać. Ba, ale ten chce głos zabierać—ten

się mi śmie jeszcze przeciwić... Złość mnie wziena, bo jakże, trzepnąłech go w ten pysk... Niewytrzymałe to — skrwawił się. Toż to zaraz do doctora — położył się do łóżka i leży — choruje. Żal mi się go zrobiło po prawdzie, skoro mię złość ominęła... Posłałech mu ta przez żonę dwie flaszki wina na kurację. Ale to honoru nijakiego ni ma... wiadomo: zmudź... skarży się...

Więcej=by takich gościw można podać, szereg=by listów zajęły. Niedaleko ów kmieć się posunął od szlachcica XVI wieku.

I w okolicach, jak moja—gdzie, zdawało=by się: wszyscy równi, bieda ich zrównała — rodowi wyznaczają się choćby na weselach, choćby różnicą odkłonu wobec krewnych a pośledniejszej biedy.

Demokratyzm wsi naszej długo jeszcze ckiwą nutą na fujarce będzie.

XI. BARTEK NĘDZA A PARTJE POLITYCZNE.

Bartek Nędza (bo takie było iście jego miano) wyzmiatał ze sąsiedków do ostatniego ziarenka do zasiewu, ziemniaków do sadzenia od komornicy zborgował, i kiedy z pomocą Bożą i owej komornicy biednej skończył wiesnę, znalazł się z rodziną swoją, nad stan liczną, wobec zupełnego pustkowia w komorach.

Kręcił się koło domostwa, płoty poprawiał, marudził, a łamał sobie łeb nad sposobami, skąd gdzie jaki pieniądz wyrwać, by się z rodziną przez miesiące przednowku przeżywić.

Posłuchował, czy się gdzie poblisce jaki zarobek nie otworzy, aleć nic podobnego znikąd nie świtało. Kolej, którą miano od lat w okolicy robić i już coś trzy razy plany pod nią wytyczano, gdzieś w papierach ministerjalnych zaginęła. Gościniec, jaki miano przez wsie sąsiednie przeprowadzać, urwał się na samym wstępie — z jakich przyczyn, Bóg i rada powiatowa raczą wiedzieć. O budowa-

niu jakimś nic też nie słyhać było w okolicy. No, słowem: czas się śleobodny otworzył, ino gwizdać. Ku temu jednak mało kto miał wolę, a Bartek najmniej.—Jechać we świat?... — Bo i to pomyślał. — Ale o czym? Grajć cara na sól nima...

Nic nie mógł w głowie swojej zbawczego wynaleźć.

Aż ci doszły go niejasne słychy, iż zapomoga jakaś „ze rządu“ ma nadejść, czy nadeszła. — By się w tej materji coś pewniejszego dowiedzieć, zebrał się w jedno rano i poszedł do najbliższego miasteczka w powiecie, gdzie był sąd, składnica Kólek, urząd skarbowy i kościół parafjalny.

Naprzódy, jako wiedzący dowodnie, że, mimo rządu i opiekunów ziemskich, od Boga wszystko zależy, wstąpił do kościoła na mszę.

Gdy, po ukończeniu mszy świętej, ksiądz przechodził przez kościół, zauważywszy Bartka, bijącego się w piersi, kiwnął nań i zawezwał go za sobą do zakrystji.

Serce Bartkowi uderzyło z radosnej nadziei: że mu o zapomodze ksiądz oznajmi. Jakoż czempredziej podążył za księdzem i znalazł się tuż za nim w zakrystji. Pocałował go pokornie w rękę, czekając pomysłnej wieści.

— Wyście katolik? — spytał ksiądz.

— No dy jakże...

— I Polakiem jesteście?

— No dy tak mówią...

— Toście katolicko-narodowy.

— No dy jak ta Jegomość uwazują...

— Podpiszcie się — wskazał arkusz na stole.

— To niby na tę zapomogę?

— Na jaką zapomogę??... Chcecie być członkiem stronnictwa katolicko-narodowego, czy nie?

— Kiedy ja też, Jegomość, nie wiem, co to.

— To jest stronnictwo pod patronatem biskupim, które skupia ludzi dobrej woli, katolików i Polaków, do walki ze złem.

— Niech Bóg dopomaga ludziom, co na dobre chcą... — rzekł Bartek wymijająco.

— Więc przystajecie?

— Jak se tak Jegomość życzą...

— No to podpiszcie się.

— Kie ja też pisać nie umiem...

— Zróbcie krzyżyk.

Bartek ujął z pewnem wahaniem za pióro i na wskazanem miejscu naznaczył krzyż.

— Tu macie pouczającą gazetkę „Głos katolicki“...

— Kie ja też, proszę Jegomości, nieczytelny...

— To se każecie przeczytać takiemu, co umie. Bądźcie zdrowi.

— Z Panem Bogiem ostają...

Bartek wyszedł z zakrystji jak oszołomiony. „Czy ja też dobrze zrobił, czy źle?“ — myślał o tym krzyżyku. — „Ale jakże się księdzu opierać“...

Gazetkę schował do zanadrza i poszedł ku rynkowi. Popatrywał, gdzieby się mógł o tej zapomodze dowiedzieć.

Widząc, że do jednego lokalu wchodzą ludzie, wszedł i on za nimi. Zastał tam jakiegoś popanowatego, który rozmawiał z ludźmi i dużo coś dowodził. „Ten będzie wiedział“ — pomyślał se i nabliżył się ku stołowi.

— Wyście ludowiec? — spytał go ów pan.

— Czy ja też wiem...

— Widzicie, moi kochani—zwrócił się ów do obecnych — co to znaczy nieoświecenie polityczne. Każdy chłop, panie-dziejaszku, powinien być ludowcem i stać twardo przy swoim sztandarze. Inaczej, kto się nim zaopiekuje? Kto w czasie klęsk, nieurodzaju, przednowku postara się dlań u rządu o zapomogę?...

Bartek skwapliwie przerwał:

— To też już, panie, piszcie, zem ludowiec i że się podaję na dwa metry...

— Jakie metry, czego?

— No co już przyjdzie: żyto, jęczmień czy kukurzyca...

— Tu się, mój gospodarzu, nie sprowadza zboża; może w Kółku...

— A ja myślał...

— Macie tu gazetkę „Przyjaciół ludu“. Czytajcie i nakłaniajcie drugich.

Bartek, stropiony, wziął gazetkę i wyszedł z lokalu.

Przystąpił doń pan z naprzeciwka.

— Wyście ludowiec? — zagadnął.

Bartkowi błysła nadzieja: „ten może“...

— No dy jakże... ludowiec — przytaknął.

— Ale czyście prawdziwy ludowiec?

— No dyć prawdziwy.

— Bo tamto, to oszukaństwo. Macie tu „Sztandar chłopski“. Trzymajcie się go, a nie pobleǳicie.

— Bóg zapłać. Czy też nie wiecie, panie, ka sie tu zapisuje na ziarno? niby na tę zapomogę...

— Zapewne w składnicy. O — tam.

Bartek, podziękowawszy za wskazanie, skierował kroki w stronę Kółka. Minał się i wszedł do lokalu.

Lecz i tu nikt o zapomodze pojaśnić go nie umiał. Natomiast pan urzędujący zapytał go zgóry:

— Wyście, gospodarzu, narodowiec?

— Dyć tak coś ksiądz dowodził...

— To nic, co ksiądz dowodził. Czyście, pytam was, narodowy demokrata?

— ...

— Demokrata — jak nie wiecie — to tyle samo znaczy, co ludowiec.

Bartek się poskrobał w głowę.

— No, to ja widzę po was, panie, że musicie już być i ten domokrata...

I wyciągnął rękę po gazetkę, którą mu pan ów podał ze słowami:

— Macie tu „Ojczyznę“, jedyne prawdziwe pismo dla ludu. Czytajcie i podajcie sąsiadom. Z Panem Bogiem.

Bartek wyszedł na rynek. Spytywał się jeszcze tu i ówdzie, czy co o zapomodze „ze rządu“ nie wiedzą, ale nikt nie umiał dać mu wyjaśnienia. A z południa już słońko się schyliło. Rad nierad, Bartek Nędza zabrał się zpowrotem.

W uliczce przed sklepikiem spotkał szewca, który go zagadnął:

— Co to za gazety ociec niesiecie?

A przeczytawszy tytuły, wsiadł nań zgóry:

— Poczcie to kupowali? To wszystko nieprawdziwe. To ino na to drukują, coby was tumanić. Socjalna demokracja jest jedyną przyjaciółką ludu. Chłop powinien być socjalistą. Zaraz się o tem przekonacie...

Wskoczył do sklepu i za moment wypadł z drukiem w rękę.

— Macie tu gazetkę „Prawo ludu“. Ta was pouczy, jak walczyć o swoje prawo.

Bartek podziękował i poszedł ku wsi swojej.

Idąc, dumając po drodze, rozważał w myśli strapionej, jaki sposób wynaleźć, by przetrwać czas przednowku. Ten dzień, który miał mu przynieść spodziewaną pomoc, nie przyniósł mu nic, krom zawodu i tej pliki gazet.

— Będą miały dzieci w co elementarze oprawiać...

Wprawdzie dowiedział się przy tej okazji, że jest katolicko-narodowym, ludowcem, ludowcem prawdziwym, narodowym demokratą i socjalistą, lecz pozostał w istocie — jak był — Bartkiem Nędzą.

XII. CZARY.

Pewnego razu, w jesieni, dość późnym już wieczorem, gdy dom się do snu sposobił, a ja w izdebce swojej siedziałem przy biurku, wsuwa się do pokoju znajoma kobieta, żona knapa (t. j. tkacza) z bliskiego osiedla i, schylając mi się do kolan, cała zadyszana, mówi:
— Ratujcie, panie! Chłopa mojego chcą zabić.

Poprosiłem ją, aby usiadła, by się uspokoiła, i pytam o wyjaśnienia.

Z bezładnych jej słów, rwanych wzruszeniem, dowiedziałem się, co mi już w części było znane, że sąsiad ich, leśny, który oślepił przed niedawnym czasem, szukając rady na to nieszczęście wszędzie, „ino nie u Boga ani u ludzi dobrych“, posłał też żonę swoją do bacyznachora, daleko na okolicę sławnego, i on pono miał orzec, że leśny przeszedł czary; a ten, co go szarował, mieszka niedaleko, okna chałupy jego wychodzą na wychód słońka. Że zaś leśny

do knapa miał oddawna złość — i akurat nie-
szczęście chciało, że ich okna (niby knapów,
jak ich nazywają) wychodzą na wschód —
więc teraz nic, ino twierdzi, że knap go szca-
rował.

— A przecie sumiennie, panie, mówię
wam, jak na spowiedzi: mój chłop nic nie
wie. Kieby wiedział, toby się nam inaczej
działo, nie cierpieliby my biedy.

Widzę, że kobiecina wierzy. Trudno ją
nawracać — nie czuję zresztą apostołskiego
ku temu zapалу.

— Cóż ten prorok jej radził? — pytam.

— Radził jej, by nzbierała ziół z dzie-
więciu miedz, i to wczas rano, przed wy-
chodem słońka; coby naczepała wody
w dziewięci źródeł; coby go temi ziołami,
sypanemi na węgle jarzące, okadziła, tej
wody dała mu się napić; a potem, coby to
wszystko zgarnęła do garnka, o północy za-
niosła na granicę wsi i tam na miedzy gra-
nicznej zakopała.

— Zrobiła to?

— Jakże. Ino, skoro jej padło o północy
rzeczy te na granicę odnieść, bała się sama
iść. Obróciła się do kumotra Michała, coby
jej towarzyszył. Skoro tam zaszli, i ledwie
ten trzop pod miedzę wstusiła: zrobił się
straszny szum, coś jak ptaszysko wielgie ze-
rwało się z miedzy. Tedy ich, powiada, taki

strach obujął, że kopaczkę ostawiła — uciekali przez miedzezagony, ledwie nóg nie połamali. Opowiadał potem kumoter Michał, jak to było. Co jeszcze na dopłatek... Michałowa baba, kie on z leśną w nocy poszedł (a wiedziała, w jakim interesie), została ze strachem w izbie. Usnąć nijak ni mogła, czuła, że coś się niedobrego święci. Kie tak leży na pościeli z godzinę czy dwie, i miarkuje, że już północ będzie, że musieli ku granicy dojść — słyszy raptem łomotanie w izbie, potem huk, jakby kto ławę obalił. Baba całkiem ze strachu omgłała. Kie Michał wrócił, to ją małożywą zastał. — Wyjawilo sie rano, że to ciełę, które w izbie mieli, plątało sie i cebrzyk z ławy zrucilo — ale Michałowa z tego strachu dostała serca bicie, leży, i nie wiada, co z nią dalej będzie.

— A leśnemu polepszyło sie potem odczynaniu?

— Coby! Złe złemu nie pomoże. Leśny był zawdy — bo go znacie — niedobrym człowiekiem. Nawet ta ślepotą, to nieszczęście go nie naprawiło. A od czasu, jak baba jego wróciła od tego proroka, a bardziej jeszcze od tej nocy, kiedy odczyniała, to jakby djabel weń wszedł. Kiedyś (donoszą nam sąsiedzi, bo tam nie chodzimy) wyostrzył nóż i powiada: „Pójdę do tych czarowników (to niby do nas) i kogo napotkam w izbie, dziec-

ko nie dziecko, zakłuję". A teraz podjudził syna (dyć już parobek niemały), coby się na mojego przystrzegł i uśmiercił.

Zalała się łzami.

— Też, panie, z tem do was przychodzę. Mój chłop poszedł dziś ku kościołowi — wie-
dzą, że ma późno wrócić. Ten wziął se kół,
jak na zbój, i przystrzega się na niego w la-
sku. No oczywiście chce uśmiercić. Ostrzegli
mnie sąsiedzi. Co mam począć?

Wybuchła znowu szlochem.

— Hm — myślę — co tu robić? Władze
daleko, zbrodnia tuż. Jutro może być za późno.

— Idźcie — powiadam — naprzeciw chło-
pa swojego: niech dziś nie wraca, niech pod
kościołem zanocuje. A jutro ja sie w tę spra-
wę wdam.

— O mój panie! — łkała prośby, podzięk-
i poszła.

Nazajutrz było święto. Przesłałem do naj-
sędziwszego z kolegów moich w radzie gmin-
nej, starego przysiężnego, który powagą swo-
ją rozsądzał sprawy polowe: aby się do mnie
pofatygował w sprawie ważnej.

Przyszedł po sumie. Oręduję mu, jak i co;
jak baca-znachor orzekł, jak niewinnego kna-
pa posądzono, jaka się zbrodnia stroi...

— Tak baca orzekł? — zasepił się.

Widziałem, że on też wierzy.

— Musimy — powiadam — z urzędu wstą-

pić w tę rzecz, by zbrodni przeszkodzić. A sprawę bacy oddamy sądowi.

Pojrzał na mnie niepewnie. „Bacy sie nic nie stanie, bo on wie“ — pomyślał se. Lecz wyrażenie „z urzędu“ przekonało go.

— Musimy wstąpić — powtórzył.

Zebrałem się — poszliśmy.

Gdyśmy weszli do osiedla, gdzie leśny i knap mieszkali, poprosiłem przysiężnego, by wywołał z chałup ich sąsiadów.

Wstąpił do pierwszej izby zkraja, potem do drugiej, trzeciej, czwartej — wnet powychodzili chłopi na osiedle w trwożnym zaciekawieniu. Każdy miał coś tam na sumieniu — a tu „urząd“.

— Pójdziemy do leśnego — rzekłem.

Ruszyli za nami w różnych myślach, przeczuwając już, o co chodzi.

Wchodzimy do izby leśnego...

— Pochwalony!

— Na wieki. Witajcie! — odpowiada kobieta od nalepy, strwożonemi oczami patrząc na tyłu nas.

Leśny, siedzący na niskim stołku, poznał nas po głosie, podnosi się. Syn dźwignął się też z ławy. Proszą nas siadać.

— Przychodzimy z urzędu — mówię ostro, zatrzymując się przy drzwiach i nie przyjmując witań. — Ja oto i przysiężny. A sąsiedzi świadkowie — wskazuję stłoczonych

we drzwiach. — Co wy se to myślicie? — poczynam grzmieć. Co was sie to za mat ima: spokojnych ludzi napastować? Myślicie, że można tak letko człeka zabić?!

Porwali się z protestem.

— Cicho! Wiem wszystko. Wiem, że przez wasze głupstwo Michałowa może ze świata zejść. Wiem, jak sie wasz syn przysrzegał w nocy na knapa... Stary grzeszniku! — zwracam się do leśnego. — To tak syna terminujesz? Dość, że cię Bóg tem nieszczęściem dotknął, tą ślepotą, to drugie gorsze nieszczęście chcesz na dom swój sprowadzić?! To zamiast rady szukać u doktorów, u ludzi dobrych, u Boga, djabła sie o radę pytasz? Papięzów se nowych, oszustów jakichś wynajdujesz?

W tym sensie grzmiałem kazanie, aż i sąsiedzi potrwożyli się w sercach.

— Wiecie wy, co was czeka — kończę, obrócony do leśnego — jeśli was ten obłęd straszny, co wam rozum pomącił, nie opuści?... Oto mówię wam z urzędu: — podniosłem dłoń — syn pójdzie do kryminału, chałupę opieczętują, a was, stary, oddadzą pod kuratele!! A i tego waszego proroka kara niechybna dosięże...

Strach padł na izbę. Słowo „pod kuratele!“ padło jak grom.

Zona wybuchła płaczem. Leśny począł się

trząść — uniósł ręce błagalnie, belkocząc jakieś słowa skruchy. Żal mi się go zrobiło.

— Ostańcie z Bogiem. I niech wam Bóg myśli odmieni...

Wyszliśmy na osiedle. Pożegnałem się z przysiężnym i z osiedlowymi. Wiedziałem, że już mogę spokojnie odejść.

Wracając, myślę sobie: gdybym teraz np. z między źle stąpił, nogę zwichnął — rzecz wzięłaby fatalny obrót. Utwierdziłaby wiarę w moc „proroka“. Znaczyłoby się: jego pomsta mię dosięgła...

Tak się na szczęście nie stało.

XIII. O DUCHACH, ZNAKACH I ŚMIERCI.

U młynarza Białonia, pod zimę, gdy mróz zamknął roboty polne i leśne, a śniegi jeszcze nie spadły i dało przejść, radzi schodzili się sąsiedzi bliżsi i dalsi na długie posiadki wieczorowe. Izba była obszerna, ławek dość, łuczywa nigdy nie zbrakło. Stary też młynarz, do klekotu młyna zwyczajony, lubiał gwarę i sam miał co powiedzieć; a choćby i do północkska przemitrężył, na sen mu się nie zniesło.

We wieczór, o którym mowa, zeszło się też w młynarzowej izbie ludzi sporo. Kobiety poprzynosiły kądziele ze sobą i przędły, młynarz szyl kierpce przy świetle komina, dorzucając przytem drew do ognia, dziewczka opodal krążyła kapustę, a gazdowie, siedząc na ławach w półcieniu, kurzyli fajki. Dzieci, zbite w gromadkę w kącie szerokiej nalepy, grzały bosc nożęta przy ogniu. Bukowe łuczywo, przykładane do ogniska, niewiele dawało światła izbie. W powietrzu rdzawo drgającym unosił się czad, szczypiący oczy, pomie-

szany z dymem fajek — na poleniach powały, jako i w kątach oddalonych od pieca, mrok zsadziały się czernił.

W izbie, mimo wiechy ludzi, nie było gwaru, jak zwykle. Ktoś tam o coś potracił, ktoś zagadał, ktoś słowo odrzekł krótkie—i milczenie długie zapadało. Czas to był bowiem koło dni zadusznych, kiedy myśli ludzi starszych płaczą się koło wspominku o zmarłych i o kostniczym przymrozem odczuwanej śmierci. Gaździny, snujące kądziel, cofały się sekretnie, z furgotem wrzecion i nici, myślą napoły struchlałą ku dawno zmarłym latom—gazdowie sępieli w mroku, jak spróchniałe sędziwe pnie, dymiąc w milczeniu z fajek i martwo patrząc w ogień.

— Tak to, tak... — westchnęło się głęboko niektórym.

Tedy młynarz podniósł białą głowę z nad roboty, i przyrzucając drzew do ognia, począł:

— Kielo to, baczę, za moje pamięci ludzi sie ze wsi zabrało... Ani porachunku. Trzy pokolenia w moich oczach przeszły, a czwarte synów już żeni. — Cmentarz nieduży — co dwa-naście lat nawracają... Kielo to warstw — za jeden żywot krótki. Ozwyczajić już mógłby się człek—jak i ze śmiercią—a ona przecie wsze przeraźna, skryta i niewiadoma, choć sie człek czasem oko w oko z nią w życiu spotka...

— Spotkałech sie i ja z nią... — ozwał się kumotr z nad miedzy, który zamłodu świata dużo schodził.

Zwrócili wszyscy w stronę jego oczy, kobiety nawet wrzeczona wstrzymały, gdy, nakładając świeżą fajkę, zaczął:

— Odległe to już roki. Służyłech wtedy przy ułanach. Nasz eskadron stał kwaterą we wiosce jednej na Węgrach. Do najbliższego miasteczka było ze dwie mile drogi, gościńcem. We wiosce nudno było, ani gospody, ani karczmy, Madziarzy żyli sami sobie. Ułani, chcący sie zabawić, głosili sie o pozwolenie do miasta. Spokój był, komendant był dobry — dostawali; nieraz na pół dnia i więcej. Pojechał tedy i ja. Com w mieście zbawił, tom zbawił — dość, że już noc była późna, kiedym gościńcem powracał. Ujechał znikąd nie słychać. Ruszam dalej — turkot za sobą. Wstrzymuję konia, przystaję — nic z nikąd nie słychać. Ruszam dalej — turkot się przywraca. Jakby ktoś na trzęsącym wózku tuż za mną jechał. Staję znowu, obzieram sie — nika nic nie słychać. Ruszam — to samo: turkot aż uszy przewierca. I tak po kielkakroć. Co sie zatrzymam, to milknie — co ruszę, to sie przywraca. Tak mnie już aż do wsi, gdzie my stali, ten turkot odprowadził. Stracił sie koło domu zkraja, których mijał. Ni mógłech tego pojąć. Dopieroż rano dowia-

duję się, że ułan, który coś w godzinę za mną z miasta wracał, został na drodze zabity. Stał kwaterą w tym domu, przy którym turkot się stracił.

Przestał kumotr z nad miedzy — cicho było — jeno polana trzaskały. Któryś z gazdów uważył:

— To ona ta śmierć za wami jechała... A nie widzieliście jej?

— Nie, ino ten turkot...

— A mnie — podjęła jedna z przadek starszych — dało się mi ją widzieć... Bedzie to już temu kielka roków, jeszcze mój Józek był mały. Latem to było. Coś długo w noc robiłach, szyłach, czy coś, bo już nie baczę — i kiedych się już miała kłaść do łóżka, wyszłach pocoś na pole. Miesiączek z poza chmur przezierał, źroczo było. Pojrzę na trawnik sąsiada — i widzę: coś białego leży, jak chusta lniana. Pewnie, myślę, sąsiadka bieliznę z prania powieszała i coś na ziemię spadło. Zbliżam się, by to z ziemi podnieść — a to, ni mgła, ni welon, podnosi się samo i odpływa na powietrzu ku izbie sąsiada. Dziwno mi stało się w sercu, choć bojaźni nie czułach. Nazajutrz rano wpada sąsiadka ze szlochem, że jej dziecko w nocy się w łóżku udusiło.

— Ja zaś takie zdarzenie miała — druga z gaździn podjęła. — Ba, nie sama ja, ino z bratową niebożyczką (niech ją tam Bóg ma

w swej świętej opiece). Jeszcze była wtedy nie wydana. Okopowałyśmy same dwie ziemniaki w jednostroncu. Ku południowi to było. Gwarzymy se ta, co możemy — naraz stajemy obie zadziwione. — „Słyszysz ty?“ — „Dyć słyszę, powiada. Jasiek z Doliny śpiewa“... — „A powiadali, że je bardzo chory“... Obie słyszymy ten jego głos, tak nam dobrze znany, bo lubiał nadzwyczaj śpiewać. I to nutę, którą najczęściej śpiewował... Jeszcze stoimy na zagonach i mówimy o tem — jeszcze nie możemy wyjść z zadziwu — aż tu leci dziewczę z ich osiedla, że Jasiek w tej chwili skonał. No i wicie — dał śpiewem znak...

— To wam uwierzę — rzekła gaździna poważna, przez wszystkich chrzestną matką zwana.—Znaki są. Sama doświadczyłam tego tak dowodnie, że już dowodniej trudno.

— Opowiedzcież, chrzestna matko — prosily młodsze. I gazdowie się poprzysuwali.

— Znaliście brata mojego, Krzysztofa?

— Dy jakże. Niech mu tam Bóg świeci. Był to człek, jakich mało. Długie roki leśniał, nim to nieszczęście...

— Otoć tak było... — poczęła, a każdy czuł, że prawdę istną usłyszy. — Wracaliśmy wtedy z Kalwarji. A że noc mnie zapadła, gdych ku kościołu doszła, obróciłam się do przyjaciół dobrych, do stolarza Tomka, by zanocować.

Radzi bardzo, przyjęli mnie wieczerzą — a żech strudzona była z drogi, wnet mi na warsztacie w izbie dużej wygodnie posłali — sami poszli spać do bocznej izdebki. Usnąłach zaraz mocno. Naraz — nie wiem już, po jakim czasie — budzę się — czuję, że się warsztat wzdłuż ściany ze mną dźwiga. Nie dowierzam przecie temu i kładę pobok dłoń na ścianie — o je — czuję wyraźnie dłonią chropowate tarcie ściany — a potem opad warsztatu i mocny stuk o podłogę. Zaczem słyszę stąpanie czyjeś po izbie — chód mi dobrze znajomy. Potem trzask klamki i wyjście do pola. Aha — pomyślałach se — to pewnie Tomek kumoter, idąc z izdebki przez izbę chciał zaśpasować, pokazać, jaki je mocny, iż warsztat ze mną dźwignie. Choć to dziwny wydał mi się śpas. Ja mu ta powiem, jak wróci. Czekam chwilę — nic; drugą — nikt nie wraca. Wstałach, zeszlach z pościeli, sięgnęłach po zapalki na gzyms pieca, gdzie wiedziałach że były, skrzesiałach i zaglądnęłach do izdebki. Spali oboje i dzieci — nikt nie wychodził. Wróciłach więc na pościel, ale już nie mogłach usnąć. Coraz to większy niepokój jał mnie obejmować. Wstałach, ledwo brzask o szyby trącił, i poczęłach się zbierać. Powstali i oni — i zaraz jęli pod blachami palić, by śniadanie mi ustroić —

śniadania poczekać. Chciałach jak najprędzej być w domu. Całą mną trząsał niepokój, lęk prawie: że coś tam się stało. Zmrok jeszcze był, gdych wyszła, i cochę miała sił w nogach, nadażalałach spiesznie ku domowi. Wchodzę z biciem serca — a tu w progu prawie spotykam się z służącą bratowej, która mówi spłakana, żebych szła, że brata z lasu przed chwilą przywieźli...

— Dyć wiedno nam. Drzewo go zabiło.

— Poszedł ze synem, jeszcze noc trwała, podrzynać — i o świcie to się stało.

— A przecie doświadczony był, drugich ostrzeżał, jak z drzewem się zaobchodzić.

— Takie przeznaczenie padło.

— Już on to wam dał znak...

— Nie kto inszy. Zbaczyłach potem, że to był chód jego. O żebych była zaraz na to przyszła!

— Cóżbyście odmienili?

— Na gorące modły może Bógby odwrócił...

— A mnie znowu — przyszła do głosu Matuska, którą mało kto rad słuchał — duch się raz ukazał...

— Naprawdę? — ktoś zażartował.

— No zaiście. Było to tak. Siedziałach w izbie we wieczór — przedłach sama. Naraż słyseż trzask klamki — drzwi się uchylały i coś białego stanęło na progu...

W te razy — jakby na potwierdzenie jej słów — trzasnęła klamka u drzwi młynarszowych — drzwi się same otwarły, chłód ze sieni wionął i coś białego zjawilo się w progu...

Dzieci podwinęły nogi, przytuliły się do siebie i oczy rozwarte strachem skierowały we drzwi. To samo prądki pomierwiały. Gazdom też nijak się zrobiło.

Aż łuczywo podłożone buchnęło żywszym płomieniem, oświetlając białego psa w progu. Młynarz, zły, warknął:

— Dunaj! pódź tu! ty sielmo...

Pies zbliżył się, kręcąc ogonem, do pana. Śmiech ku powale wypadł.

— A to duch prawdziwy! Takiegoście i wy napewno widzieli — przytyczono stro-pionej Matusce.

Lecz niektóre prądki pozierały jeszcze niepewnie na psa: czy to iście Dunaj, czy coś insze pod jego postacią...

XIV. JASIONÓW.

Każda okolica miała lub ma jeszcze jakąś wieś pobocznie żyjącą — takiego wśród wsi, honorzących się oświatą, kopcieszka — którą na języki bierze i z której, przy braku szerszych zainteresowań, z dodatkiem lekceważenia pewnego, ku ucieście swej a wstydowniejszej, pokpiwa.

Tak np. w Nowotarskiem jest taką kopcieszka wsią Ratułów, albo przysiołek Gleczarów. — Cóż może wyjść z Ratułowa albo z Gleczarowa? Nic to, że tam zdarzają się samouczni majstrzy, co wszelaki sprzęt potrafią, ba, ciekawości uzdajać, jak nikto z chwalnych na okolicę szeroką; nic to, że stamtąd był on człek małego rostu, co krzyż na wieżach stawiał; wieś przez to do znacznej u ludzi nie przyszła. Już ją raz osądzili — i ostało.

Już jakby od początku, od założenia samego wsi, te nieszczęsne Pan Bóg upośledził,

i jako sietniacze siola wydał je na żarty ludziom. Zwyczajnie od gościńców utartych cofnięte, od dróg jarmarcznych cywilizacji oddalone, gdzieś za górami, między lasami schowane, na zabłąkane już i mylne skaza-
ne ze świata wieści, zawdy poostatku dowiadały się: co tam u ludzi znowiono, czem świat żyje. Trudno im było za światem nadążyć. A ludzie też, jak ludzie — nie bacząc na swoje wczora, wydrwiali za oczy onych nieświadomość.

Taką w mej okolicy poszturkiwaną wsią był — nazwijmy ją od jasiona pospolitego — Jasionów.

Co się nieformalnego zdarzyło, cudacznie coś ktoś wbrew zwyczajom zrobił, nie umiał się między ludźmi czy w kościele znaleźć, mówiono pobłaźliwie, co wszystko miało tłumaczyć:

— E, to ta z Jasionowa...

Jasionów też, dwie mile od kościoła parafjalnego oddalony, w roztokę głębłą wciśnięty, górami lesistemi od wsi najbliższych dzielony, nie chybko mógł do wymogów czasu i ludzi się zbliżyć. Jedna jedyna arterja, ducha wytrząsająca kamienista droga, łączyła go ze światem, z parafją. O dziedzi-
nach sąsiednich mówiło się — jak o czemś bardzo dalekiem i mało znanem: — „za lasem“. Żył se Jasionów w zamknięciu, jakby

sam był jeden, niewiele o resztę świata dbając.

Dochodziły wprawdzie do niego z jarmarków wieści, co ludzie poczynają używać, czem żyją, ale dużo mętne i niejasne. Nie spieszył się też Jasionów nowotne wprowadzać cuda — niech je insi naprzód wypróbują. To, co dotąd używał, pewniejsze się mu widziało — wieki i doświadczenie dziadów za tem stały. Już też wszędy w okolicy siarczane zapalki mieli, Jasionów używał jeszcze krzemienia i hubki. Pługi stalowe naokół zaprowadzono — Jasionów jeszcze drewnianemi orał. Blachy, słychno, po inszych wsiach do pieców powprowadzano — w Jasionowie jeszcze na nalepach pod kotłem palono. Podczas, gdy w parafji całej lamp już używano — Jasionów jeszcze, jak za ojców, łuczywem bukowem świecił. Lecz po mału, nieznacznie, poczęły i tam „nowotne mody“ przesiąkać. Ale, jak to na początku: dużo z tem było niedogód.

Raz kobieta z Jasionowa, przyszedłszy wcześniej na jutrznię, wstąpiła pod kościołem do gróbarzowej.

— Ciepło tu macie — grzała się. — Dobrze to z temi blachami. A ja chłopca nie mogę przewieźć, coby blachy sprawił. Powiada: wilgoć od nich w izbie. A lampę tę dawnoście kupili?

— Już z pół roku.

— Patrzcie — zdziwiła się. — A co jej też robicie, co się dotela jasno świeci? Bo ja już parę lamp sprawiła — i ni mogę na dobrą trafić. Dzień-dwa świeci, a potem ciemnieje.

— Bo może szkiełka nie czyścicie?

Kobieta się wypatrzyła:

— Haj? To się to czyści?...

Raz znowu ksiądz wikary zapowiedział z ambony, że będzie jeździł „za lnem“ po parafii; w ten a w ten dzień będzie w Jasionowie.

Byli w kościele ludzie z Jasionowa, słyszeli, co ksiądz powiedział — wnet się też po wsi rozeszło. W poruszeniu czekano dnia wyjątkowego.

Niektóre z gaździn bogatszych jęły się naradzać, czemby jegomością przyjąć.

— Juścić, taka osoba delikatna nie będzie jeść tego, co my zwyczajnie jemy. Trzebaby coś podumać inszego...

Słyszały zaś stąd i zowąd, że panowie a i księża herbatę i kawę lubią.

— To wiecie co, kumosiu — rzekła jedna do drugiej — przepomóżmy się na te rzeczy: ja mu ugotuję herbatę, wy kawę — będzie kontetny — i niech wie, że Jasionów nie taki znowu ostatni.

Jak uradziły, tak też i zrobiły. Wybrały się w jeden dzień do sklepu pod kościół. Jedna kupiła funt kawy, druga funt herbaty. Mało się jej tego jednak widziało, dokupiła jeszcze pół funta.

W dzień, kiedy jegomość miał się jawić, zabrały się do przygotowania. Gaździna, która herbatą miała księdza przyjąć, wsypała całe półtora funta do garnka, ugotowała jak kapustę i, kiedy jegomość przyszedł, wysypała na miskę, posoliła, położyła przed nim łyżkę i prosiła, by tej herbaty pozwolił. Ksiądz wymówił się jednak, że niegłodny i, dusząc śmiech, opuścił gościnną izbę.

Nie lepiej też wypadło drugiej gąździnie z tą kawą. Wiedziała ona, że kawa z mlekiem ma być. Wsypała więc kawę, jak była, do mleka, warzyła i warzyła—nic—kawa taka sama, twarda, nie mogła jej nijak ugotować. To już tak pewnie być musi — pomyślała. I kiedy ksiądz się zjawił, wylała razem na miskę, ostudziła i postawiła przed nim, prosząc, by jadł. Ksiądz wziął łyżkę, chlipnął mleka raz — drugi...

— Sięgajcie se też, Jegomość, do spodku— raczyła go — bo tam kawa na dnie.

Ksiądz podziękował jednak, mówiąc, że go już w sąsiedztwie herbatą uczęstowali.

Jasionów też znany był i z tego, że hrubych miewał gazdów. A im hrubszy gazda, wied-

no, tem więcej w chałupie zgizu. Stajnia statku mnogiego nie mogła pomieścić, zimą pospołu z ludźmi w izbie się chowało. Przyjść było do starego w Jasionowie wójta — w świetlicy owce, w sieni w zagrodzie cieleta, w piekarni po dwóch stronach krowy, nawozu pełno, środkiem po desce chwiejnej szło się ku nalepie — wyrki, wysoko z desek zbite w gęstwi zaduchu i dymu, były na spanie dla ludzi.

Raz chodził ksiądz po kolendzie po Jasionowie. I chodził z nim organista, prędki bardzo, ciekawy, który wszędy musiał być pierwszy. Przyszli w obejście takiego gazdy hrubego. Organista, nie czekając aże ksiądz do izby wejdzie, wpadł przed nim pierwszy. Nie zdążył Boga pochwalić — jak pojechał od progu po nawozie, legł na klepisku jak długi i wstuszył dłoń do gorącej bryjki, co się na misce na środku izby studziła. Zerwał się, poparzony, uskoczył w bok, a tu krowa go kopnęła. Widząc, że niema co popasać, wyrtnął się prosto do drzwi — tu łbem o niskie odrzwia uderł. Zamącony już, ma się w pole — aliści potknął się na progu wysokim — przepadł przezeń i wpadł do gnojnicy... Tak wartko się z kolendą uwiął. Ksiądz już nie próbował wchodzić.

Dziś już Jasionów cywilizowany. Sam śmieje się z dawnych swoich ciemnot, ba z innych jeszcze wsi pokpiwa. Wszystko sprawił w powolnym postępie czas-wychowawca.

XV. KTO JEST NA WSI BIEDNY?

Pytanie samo, wcale nie tak proste, przeciwi się swą pozorną paradoksalnością dwom przeważającym w materji tej o wsi opinjom, opartym zresztą, jak wszystkie komunały dotyczące wsi u nas, na legendzie. A i opinie te kłócą się ze sobą, ba całkiem nawet są sobie przeciwne, bowiem z dwóch sprzecznych rodzą się podłoża: irytacji mieszczańsko-zazdrosnej lub sentymentu ckliwo-szlacheckiego.

Dla mieszczaucha, który chłopa zna jedynie z targu i widzi go rozpartego wśród sterty plonów, jakie ziemia rodzi, wieś jest synonimem bogactwa wszelejakiiego; o tem, by bieda prawdziwa tam bytować mogła, nie ma, nie widząc jej ocznie, wyobrażenia; nie wierzy. „To jeno chłopskie chytne skargi, żale, aby więcej pod się dobra z miasta i państwa przygarnąć“. — Zaś znowu dla plato-

nicznych patryjotów wsi, znających lud jedynie z wydawnictw Macierzy i z poezji Kopnickiej, wieś jest łzawem jeziorem „nie-doli“, a każdy chłop, bronujący rolę, „biednym kmiotkiem“. Zauważyć tu trza jednak, iż brutalny brus lat wojny dużo tej szacownej śniedzi z myśli i uczuć owych panów starł. Ów „kmiotek“ zrealnił się też ich oczom, gdy począł bronować w sejmie. Mają doń o to pretensję, że im uczynił zawód.

W międzypolu tych dwu opinij jest gama bledszych, pośrednich. Oto np. dla inteligenta, który nakrótko w roku, w czasie urlopu, feryj, może wyrwać się na wieś „na świeże powietrze“ i drogo za nie płaci, każdy mieszkaniec wsi, nawet biedak, już jest bogaty przez to, że cały rok boży bezpłatnie ma świeże powietrze. Co jest też mniemaniem mylnem; bowiem chłop jeno przez lato chłapie owo powietrze świeże, całe zresztą jego cenności nie czując, a przez całe długie zimy bytuje w zatęchłej chacie, zatykając szczelnie szpary, by się do wnętrza nie wcisło.

Pomińmy jednak plotkę, legendę czy żart, uważając to jeno, jak się iście rzecz ma.

Zapewne — są wsi z natury bogate — są też biedne, jakby zgóry przez Boga skara-
ne — lecz naogół, w uwarstwowieniu majątkowem wsi, jak w każdej związanej z sobą społeczności, jest stopni sporo, są różnice,

są bogatsi i biedniejsi, lepsi i pośledniejsi, ba i zgoła wreszcie biedni.

Cóż tu sprawdzianem stopnia zamożności czy schodu nędzy?

Postrzeżenie samo? — Myli. Mapki grun-
towe? — Te martwe są, jak pustać, którą
wyrażają. Najlepszą miarą, jak wszędy, bę-
dzie miska. Sytość i głód — w tych ramach
wszystko się obraca.

To za podstawę niemylną przyjąwszy, łącno
w gąszczu osiedlowych zagmatwań dopytamy
się do istotnej biedy.

Kto naprzód we wsi jako bieda rzuca się
w oczy? Juści dziad, chodzący po prośbie.
Rzekniesz o nim do gazdy litośnie, a gazda
ci na to, gniewny na los, odpowie zgryźliwie:

— Ba! Coż takiemu?... Święty ma czas.
Chodzi se — dni wybiera — jak po konwisji.
Boga prosi, żeby ino ludzi w chałupie zastać,
coby po próżnicy nóg nie trudzić. Dadzą
mu — jak nie tu, to tam — i nawiąże, na-
zbiera, śleobodnoby tem familję wypasł. Po-
siedzisko przy ludziach ma — sam jest —
o nic sie nie strapiruje. A tu człek musi do-
brze łbem nakręcić, to stąd to zowąd naza-
biegać, żeby wszystko w chałupie obżywić.
A znowu odziać to jako tako, obuć — a po-
datki, a opłaty różne, a djabli wiedzą co —
nigdy głowy spokojnej do pościeli nie przy-

łóż. Jużby on sie — choć je dziad — nie chciał, wierzcie, z mojem miejscem mieniać.

Kto drugi postrzeżeniu zewnętrznemu podpada, jako bieda na wsi — to chałupnik bezrolny. Chata jego przy zagrodzie bogacza, to jak jaskółcze gniazdo przy osiedlu jastrzębiem. Zajrzeć jednak tu i tam... W izbie bogacza zgiz, brud, ścisk — kury, prosięta, cieląt parę (bo w stajni za pełno), dzieci umorusane, kurz od lat nieomiatany, bo przy zajęciach gospodarskich czasu niema nigdy na porządki; podczas gdy w izbie chałupnika czysto, dzieci umyte, piec i ściany wapnem obielone, ludzie tu, nie mając wciąż prac gospodarskich na głowie, mogą chwil trochę dzieciom w izbie poświęcić. To samo z warzą i jadłem. U gospodarza przedewszystkiem bydło trza napaść, owce, świny, potem najemnikom dać — ludzie domowi na ostatnim planie. Cóż z tego, że jest pełno w sąsiedkach, w komorze, kiedy niema czasu ustroić. Nawet niedziela zajęta. Przy zabieganiu o wiela, marny żywot: nędza bogacka.

Chałupnik wprowadzie skromnie ma, ale co ma, to żona mu godnie przystroi i poda. Niewiada więc, kto w rzeczy biedniejszy: chałupnik czy sąsiad = bogacz? — Biednym naprawdę — jak widzimy — chałupnik bezrolny nie jest.

Biedy istotnej trza gdzie indziej szukać. Kryje się ona w cieniu, w kątach zamożnych i niezamożnych chałup. Są to ci lub te, najczęściej te, zwyczajnie najstarsze z dzieci, więc najwięcej pracą na gruncie i koło młodszego rodzeństwa sterane, albo ułomne, którym wydać się zamaż nie udało, zaczem wołają czy zapomnieniem rodzica od dziedziczenia cofnięte i pozostałe na łasce brata albo siostry, z jakimś tam zagonem lub bez, z prawem garnka przy ogniu i kąta na barłóg w izbie. — Jeżeli w chałupie zgoda, brat dobry, bratowa ludzka, i jeśli biedota owa też nie przykra, to jeszcze żywot jej jest znosny; co mogą, to jej podadzą, do miski wspólnej zawołają, w razie choroby nawet się zaopiekują. Ale jeśli w domu wrogość, to Boże ratuj. O ten garnek przy ogniu, o opał, o kącik w piwnicy czy na strychu — nieustanne przeswary i kłótnie. Każda łyżka kością w gardle staje, łzami się soli. — Póki jeszcze zdrowie jakie takie onej biedocie służy, to robi temu owemu z sąsiadów, czy to przy wieśnie, przy żniwach, czy przy kopaniu; za to dostanie czasem zagon pod ziemniaki, ten jej da chwaści kapusty do zakiszenia, ów ziarna — jakoś się bieda popycha. Lecz gdy zdrowie się straci, a w domu wrogość zacięta — tedy już od nikogo nic; za darmo nikt nie da; trza się obyć suchym ziemniakiem

bez soli, jeżeli jest by ziemniak — i pozostaje przesypanie długich dni o głodzie. Mogłaby jeszcze iść żebrac, jeśli zdoła iść — lecz ta pozostała resztką honoru rodzinnego od tego ją wstrzymuje.

To jest, co się zowie: bieda.

XVI. EMIGRACJA.

Dawniej w okolicy mojej, gdy na roboty kto wyjeżdżał, to najdalej do Pesztu. Jechał zwyczajnie z wiosną, pracował tam przez lato w cegielni, a ku zimie z zarobionemi „dudkami“ powracał. Zarobki w Peszcie nie-
złe były, wielu się dosyć wspomogło, przy-
tem nic stamtąd szkodliwego, ni z obyczaju,
ni z nadpsutej gwary, do wsi nie przynosili.
Jakiś odsetek niewielki tych, co nie mieli
do czego, ani poco wracać, pozostawał tam,
godząc się na dobrze płatne roboty do mły-
nów.

Za czasem Peszt się urwał. Już też bowiem
ludzie we wsi zwiedzieli się o Ameryce —
i ten, ów śmielszy, a mogący wyłożyć na
„sifkartę“, puszczał się na los szczęścia za
ono morze dalekie — przytem jęli się po
wsiach uwijać różni agenci pokątni, nama-
wiający ludzi do robót rolnych do Prus
i obiecujący im świetne warunki płacy. Wa-

bieni obietnicami do robót, które łatwo mogli, jako z rolą obeznani, pojąć, mając przytem wszelkie ułatwienia w drodze i kredytowany, jakoby darmowy przejazd, głosili się masowo; całe kompanje ze wsi wybierały się z wiosną „na Saksy“. Nic to, że długo musieli oną drogę darmową odrabiać, że ich płacono i żywiono marnie, że ich kupami wpędzano do chlewnych baraków, że ich traktowano gorzej jak robocze bydło — pęd ku wiosnie „do Prus“ nie ustawał. Zwłaszcza młodzież nieletnia, rada zawdy uchylić się od ciężającej jej ojcowskiej ręki i przykaźnych matczynych oczu, zasmakowała sobie w tych sezonach pruskich, gdzie jej, poza czasem robót, nikt nie kontrolował. Wracali też do domów rozpustą chorzy, zepsuci, a dziewczęta nierzadko z brzemieniem.

Trwała ta epidemja pruska lat kilkanaście. Była to prawdziwa klęska dla wsi naszej, tak z punktu moralnego jak zdrowotnego, a zarazem haniebna wysługa wrogowi. Zarobione też tą stratą fenigi nic nie sprawiły we wsi — wsiakły w błoto, i djabeł z nich miał korzyść.

Inaczej rzecz się miała z wychodźstwem do Ameryki. Zachętą główną do wyjazdu, prócz rozsyłanych reklam interesowanych linii okrętowych, były listy pierwszych ze wsi emigrantów, donoszące o wysokości za-

robków, a więcej jeszcze przysyłane rodzinom dolary lub przywożone przez powracających. Był to dla umysłów, wzwyżczajonych do lichej płacy w miejscu, zarobek-marzenie. To też kto miał jeno przed kłopotem myśli jakie zadanie pieniężne, którego by cało-życiową pracą w miejscu nie podolał ziścić, jał przemyśliwać nocami o wyjeździe „za morze”. Byli to więc w pierwszym rzędzie ci z młodych gazdów, którzy przejęli świeżo gazdowanie ze skrzepłych dłoni ojców, a nie mieli skąd wziąć pieniędzy na położone w testamencie spłaty dla rodzeństwa. Także młodszy synowie gazdowscy, nieżonaci, którzy dziedziczenia nie mogli się spodziewać, a część pieniężna, jakaby im z gruntu podług niskiego szacunku przypadła, za nikła była, aby z tem żywot jakiś począć. Również gazdowie średni, przez wydawanie młodszych siostr lub żeńbę braci podupadli, niemogący sobie mimo orki zacieklej nijak dać rady. Inni, w kasach i we wsi zadłużeni, wiecznie tem skłopotani, marzący też, by kiedyś dzień bez długów pożyć. No, różnych różne braki popychały — a było takich wielu. I dziewczęta, które we wsi wydać się nie mogły, myślały o Ameryce. Tam, słyszały, każda się wyda odrazu, ledwo nogą na lądzie stanie.

Więc się wybierali, po dwóch, po trzech

dla śmiałości — że to gdzieś na kraniec świata, i dni tyle przez morze — niektórym, którzy tam już mieli krewnych, ci ułatwiali przejazd, przysyłając im w listach „sifkarty“. Co raz więcej narodu do tej nadziei Ameryki się kwapiło.

Aleć nie letko one dolary cenne przychodziły. Trudem mozolnym, pracą ciężką pod ziemią, w kopalniach, trza je było zdobywać. Myśl o domu, czekające tam na te dolary konieczności zdwajały jednak siły.

Trzy kategorie wychodźców „za morze“ dałoby się rozróżnić. Tych, co po dwóch, trzech latach pobytu, zarobiwszy na owe konieczności paręset dolarów, wracali do kraju. Tych, co mając się kim zastawić w domu, a chcąc z większym wrócić trzosem, zostawali tam lat kilkanaście. Wreszcie tych, co z różnych przyczyn na stałe w Ameryce pozostali.

Marzeniem pracujących tam czas dłuższy było otworzyć salon (wyszynk), by prędszy i łatwiejszy mieć zarobek; wielu też do tej szczęśliwości przyszło. Niektórzy z dłużej tam bawiących ponabywali domy (house), z których czynsz daje im podstawę życia.

Wychodźcy też nasi w Ameryce starali się trzymać ze swoich stron razem. W Chicago np. jest cała dzielnica przez Podhalan prawie zamieszкана.

Zróbmy teraz bilans wychodźstwa do Ameryki: jakie zyski przyniosło wsi naszej i jakie straty?

Do zysków, i to niemałych, trza porachować: dopływ pieniędzy do kraju — podtrzymanie i rozwinięcie gospodarstw — rozszerzenie pojęć u chłopą naszego o ludziach i o świecie, obaczenie naoczne, że świat nie koszycek — przypatrzenie się, jak żyje kraj unormowanej swobody — nabranie poczucia godności i wartości ludzkiej. Tam też chłop nasz przyklonił się do gazet i książki — tam dowiedział się o Polsce.

Straty też, całę nietekie, dadzą się uważyc. Za nie wszystkimi tam powodzenie szło. Jest takich wielu, którzy zrazu pisali, przysyłali, potem zamilkli: ani nie wracają, ani nic nie dosyłają. Pozostałe w domu żony, radząc sobie jakoś przy pomocy nadsyłanych im dolarów — gdy te urwały się, ostały całkiem bezradne. Lata mijają, młodość uchoździ... gdy żona dowiaduje się przez listy innych, że tam mąż o dom już nie dba, nie myśli wracać, że tam ma poboczną żonę — tedy i ona czuje się w sumieniu wolną, rozwiązaną ze ślubowania — i dla ślebody kryjomej otwiera dom. A gazdostwo podupada. — Wielu, którzy tam na stałe ostali, nabyli domy, samochody, czują się już obywatelami Stanów, dzieci na Amerykanów kształ-

cą. Cóż się dziwić robotnikowi prostemu, jeżeli Józef Conrad...—Wracający zaś do kraju po długim pobycie, prócz nieustannie wtrącanych do gwary „Yes“, „All right“ i t. p., to już ludzie sterani. Wszyscy to w rzeczy inwalidzi. Wrócili jeszcze na ojczyznę umrzeć, ale z nich już w gazdostwie niewiele pociechy. Wyssała im siły Ameryka. Krwawo zaprawdę te dolary zdobyte. I refleksja się smutna zastanowi: czy warte straconego zdrowia. — W chwilach szczerości, gdy chwalba minęła, przyznają się też, jak tam ciężko było.

— Powiem wam — mówił mi jeden z takich inwalidów — tam ino business, dudki. Człek pracujący za maszynę stoi. Ino sie kości mijają. Jakby tu człek tak pracował, jako tam, w tej Ameryce, toby sie na kamieniu szczerem chleba dorobił.

Trudno też znaleźć wagę dowodną, by stwierdzić: czy więcej strat, czy zysków Ameryka wsi naszej przyniosła. Lecz widzi mi się, że zyski przeważają.

XVII. ZA ZIEMIĄ.

Ruch parcelacyjny, wykup dworów zaczął się na terenie Małopolski od lat już kilkadziesiąt — gdy z jednej strony niełatwość o robotnika, trudne warunki gospodarowania na większym kawałku, nieszczęścia różne, spłaty rodzinne lub też poprostu lekkomyślność zmuszały właściciela do sprzedaży części albo całości majątku, a z drugiej strony pęd chłopów za ziemią — zwłaszcza górą, który na drapie swojej ojcowistej, pazurami tę ziemię skalną orząc, nie mógł żyć — stwarzał ochotnych nabywców.

Jakoż te sprawy się przeprowadzały? Otóż mniej więcej tak... Nadeszła do wsi — nie wiada jak, którędy — nowina, że tam a tam, o mil kilka, kilkanaście, dwór mają sprzedać. Temu, owemu ślina na to przyszła. Już się nie dziadom, ba tym, co się lepiej mieli, co o dworze, pojrzawszy po swym majątku, mogli w łakomstwie pomyśleć. Tedy narady, zmawiania się. Stracić, nie stracić — trzeba obejrzeć. Zwyczajnie dwóch, nie więcej, zmó-

wiło się naprzód, pojechali. Wzwyczajnym do skrawków, parcelek porozrzucanych, na których nikły owiesek się rodzi, łany dworskie bez miedz, jak jeziora pszenicą, żytem się chwiejące, wydały się zaiście glebą raję. Obejrząwszy wszystko dokumentnie, uważwszy, ile familij może się na tem pomieścić, a obrąwszy już zgóry dla siebie łany, jak im się na oko zdało, najurodzajniejsze, wracali do wsi z rozchwałą: tak a tak, pola takie, sama pszenica się rodzi — i jęli namawiać, kogo miarkowali, jeże łacwo mu się ruszyć, aby się do nich przyłączył. Tedy powstawał we wsi ruch, wysprzedaż parcel, przyłasków — jeden drugiego zazdrością pociągał. Wnet znalazła się potrzebna ilość nabywców, którzy zadatki złożyli. Tedy „plenipotenci“ owi pierwsi dobili targu z Bankiem parcelacyjnym, albo też wprost z właścicielem — i falanga szczęśliwców na nowe sadyby ze wsi wyemigrowała. Można powiedzieć otwarcie: szczęście ich było duże, lecz, jak każde szczęście, krótkotrwałe, bowiem ograniczone czasem: od sprzedaży swego gruntu do przesiedlenia — gdy to wizje nowego życia we dworze śniły im się po nocach. Gdy się znaleźli na miejscu w onym dworze-raję, wizje prysły odrazu — okazała się smutna, któż wie, czy nie cięższa od opuszczonej, rzeczywistość. Naprzód zaczęły

się między spółnikami kłótnie o działą. Każdy chciał za lepszą część podług miarkowania chwycić, każdy sądził, że drugi lepsze pola i łąki odzierzył. Potem o inwentarz, o stajnie, o mieszkania. W zajadce już wzajemnej od wstępu żyjący, skazani na wspólne we dworze gnieźdzenie, na wspólne często kuchnie, wspólną studnię, do takiej dochodzili wzajem nienawiści, że dnia bez piekła nie było. Dopieroż jak poczęły spadać ciężary rat niespłaconych i t. p. Tedy nienawiść ona wszystkich zwracała się ku pierwszym wywiadowcom, ku tym „plenipotentom“, co ich — w mniemaniu ich — za lepsze sami kąski ułapiwszy, podstępnie oszukali. Uprzykrzony też zato żywot im czynili; tak iż wielu ze zgryzu przedwcześnie pomarło. Pozostali zaś, siejąc ową marzoną pszenicę, która im w hasen nie padła, jak ta ziemia ciężka zszarzeli — i trwają ot, bo nie mają się gdzie ruszyć. Przesiedliwszy się (najczęściej górale do lachów), stroju swego się wyzbyli, w miejscowy etnizm nie weszli, stali się nijacy. Dzieci ich bezrasowe jeszcze w sietniactwo one głębiej idą.

Jakież zysk?... Kilkadziesiąt stylowych dworków na baraki stajenne przemienionych lub na pruskie chałupy rozebranych, kilkadziesiąt kilkowiekowych parków wyrąbanych — łąny na parcele pokrajane. Przy-

było trochę bezproduktywnie trociniących żywot zagrodników — bezrolnych nie ubyło.

Gdy Polska się otwarła—zaczęło się przesiedlanie, posuwanie się na lepszą grzędę, na wielką skalę.

W dwa kierunki ów ruch się rozszczepił: w Poznańskie i na wschód.

Do Poznańskiego ciągnęło ludzi to, że tam majątki po Niemcach zagospodarzone — domy, stajnie murowane — inwentarz przy gospodarstwie: przyjść mogą do gotowego. Na wschód zaś pociągało, prócz apelu „patrijotów“, iż ziemia tam urodzajna i tania: za niewielki tu swój skrawek, mógł tam ktoś ten kupujący do wielu morgów dojść.

Jakoż poszło tym w Poznańskim?... Przeważnie źle. Poszli tam głównie ci płoni gazdowie, co i tu nie umieli koło ziemi chodzić — co im się zdało, gdy gotowe wszystko zobaczyli, że tam znajdą bez trudu gołąbki. Tu dziadujący po staremu na swych zjałowionych skrawkach, przyszli tam do gospodarstwa unormowanego, opartego na rachunku, wkładach i maszynach. Za trudna to dla nich była akademja. Nie mogąc pojąć systemu, poczęli po swojemu gospodarzyć, t. zn. niszczyć i jałować to, co wysoce zakulturzone zostali. Pogardzani przez miejscowych „działy-Galicjaki“ wnet też do dziadostwa przyszli; małoktóry, słyhać, coby się odzierzył.

A tym na wschodzie?... Rozmaicie. Wprawdzie pociągnęli tam zdolniejsi i energiczniejsi, nie obawiając się trudu stawiania budynków, sprawiania inwentarza i t. d.; lecz trafili na warunki miejscowe przykrzejsze. Jeśli Poznaniacy odnieśli się do przychodźców wrogo, tem bardziej — nie dziwota — ludność obca, ruska, która w przychodźcach polskich mogła widzieć i polityczny najazd na swój teren. To też w miesiącach sabotażu wiele stodół przychodźców spłonęło, wiele im poniszczono inwentarza, zboża i zasiewu. Przetrwali tu stoicznie, żyją, a—gdzie się da — z miejscową ludnością wchodzą w kontakt pewien. Mówił mi chłop z mojej wsi, nabywca majątku dość sporego pod Horodenką:

— Panie, tam lud dobry, lepszy jak u nas. A że na nas się dąsa — nie dziwota. Na dworskiem miał paszę za robotę, opał. A jak my przyszli, to ustało. Sami dajemy se radę, robotnika nam nie trza, las my podzielili. Ów niema gdzie krowy wywieść, i do lasu go nie puszczą. Jeszcze dobrze, że je tak cierpliwy. Powiedzcie, panie: jakby na ten przykład ten tu dwór, nie pytając sie nas, przedano Rusinom—jakby tu przyszli i zaczęli ku gańbie naszej gospodarzyć:—jakby naród nasz tutejszy do nich się odniósł?...

XVIII. BOŻEK I JEGO ZAGRODA.

Mam ją przed oczyma, tę dziwną zagrodę, jako i jej właściciela, tak niewinnie przezwanego, Bożka. — Zagroda ta obejmuje dwaście morgów w jednej parceli, w tem mórge lasu; położona zaś na połogiem zboczu, jak na schylonej dłoni. Domostwo stoi na środku zagrody, samojednie, jak samojednikiem pośród ludzi jest jego właściciel. Miał on dom w osiedlu dużem i grunt parcelami rozrzucony w roli, do której dzisiejsza zagroda jego jako spółka osiedlonych gazdów należała. Że jednak, acz Bożkiem zwany, uprzykrzony był w społeczeństwie, przeto sąsiedzi udumali wypchać go dalej z osiedla. — Juścić bezprawnie toby się nie dało. Rada w radę, znający jego łakomość ziemi i samojednictwo, zaofiarowali mu za jego parcelę zamianę: oną oddalną, w końcu roli położoną spółkę. Zgodził się rad, bo dużo tego więcej było, niż w kawałkach czytano: nikt mu zawadzał nie bę-

dzie. Oni znowu radzi byli, że go takim nie-trudnym sposobem od spółectwa odparcelo-wali.

Objął Bożek odcięty skraw ziemi i okop-cował go dokoła, aby go nikto w granicach nie ruszał. Nastrosza się, gdy mówią: Boż-kowa zagroda. Jest teraz sam na mapie — nikt mu nie gawędzi. Osiedle pobudował na kawałku najpuściejszym: stodołę i dom. Ba, domem trudnoby to nazwać; ni to szopa, ow-czarnia, ni cygańska kuca; koleby większe bywają. Wnętrze prawie zajmuje piec nalep-ny i wyrek, i tego klepiska skrawek, w ostrą zimę zamarzającego. I w tej kucy siedmioro ich gniotło się przez lata-zimy, nim dzieci starsze, dorósłszy, nie uchyliły się z domu. — Zato stodoła duża, okazała. I stajnia też trzy razy od izby większa, gdzie w zaduchu sied-mioro bydła się mieści. Widać, patrząc na ten „dom“ i na stodołę, że człowiek tu żadnych duszno-człowieczych potrzeb nie zna, że jest jeno przydatkiem do obsługi bydła.

A Bożek sam? Akurat, jak ta jego kuca. Małego rostu, krępy, zrzadka myty i ciasny— do zaczadzenia. Nigdy tam w to kretowisko wewnętrzne światło nie wpadło. — Wieku jest nieokreślonego; może mieć równie siedem-dziesiąt, jak pięćdziesiąt lat. Jak go zapamię-tano, taki do dzisiejsz dnia — Bożek i Bożek. Aż przykro się robi na myśl, że może żyć wiecz-

nie. Ma się wrażenie, że jest niepotrzebny, ba, że czemuś o wiele ważniejszemu sobą zastępuje. — W stosunku do sąsiadów nieużyty, nikt się niczem nigdy odeń nie skrzepi. Przyznać trza, że i sam niechętnie o coś do kogoś się zwraca, w mniemaniu, że i drugi podobny jak on. Najradziej samby sobie w swej zagrodzie żył, patrząc z za płotu z uciechą ukrytą na trud czy kłopot sąsiada. Choć milczkowatego jest usposobienia, gwaru ma dość, gdy o kimś mowa się zapocznie. A zawdy przytem rzecz obniży, zawdy o niskość motywów posądzi, oczerni, świadomie najpotworniejszy domysł o kimś rzuci—i wraca milczkiem z uciechą niską do swej nory. O nauczycielu, księdzu i wogóle o wystających głową ponad pospolitą rzeszę zwykłą z przycinkiem abo szydnie mówić, to posądzić ich o sprawy takie lub owakie, aby ich tylko w oczach słuchaczy poniżyć. Władze, rząd, wójcia, posłowie, to w jego opinji zazwyczaj sami złodzieje; nie ma przytem najmniejszego pojęcia o tem, kto i jak, w jakim sposobie rządzi. — Cóż zresztą dziwić się tej nieufności i niechęci niskiej do ludzi obcych, kiedy do własnych dzieci nie ma przywiązania. Nagodził ich Pan Bóg, więc są — ale o tyle je uznaje, o ile z nich korzyść jakąś w pomocy gospodarczej ciągnie. Dorasta zaś które, i o żeńbie, o własnem gospodarze-

niu poczyna natrącać, tedy Bożek tak cyrkuje, aby je z chałupy popchnąć, aby sie ta uwiesiło gdzie przy boskiej pomocy u ludzi i nie zagrażało oderwaniem kawałka pola. Tak więc jest córka jedna w Ameryce, druga w Krakowie w służbie, syn jeden na robotach we Wielkopolsce; części ich, przypadające im z gruntu, uważa Bożek jako ojciec-
opiekun już za swoje, i nad tem teraz prze-
myśluje, jakby i tych resztę, co w domu są, gdzieś tak bez kosztu powieszać, a coby sam na zagrodzie nieuszczuplonej pozostał.

Ktośby mógł pomyśleć przecie, że Bożek ów, wszystkim tak nieużyczliwy i nawet dzieciom własnym dobra zazdroszczący, przynajmniej koło tej zagrody, tak samolubnie kurczowo dzierzzonej, starobliwością zabiega. Że nie mając dla ludzi serca ni przyjaźni, przynajmniej coś z tych uczuć, jeśli je ma, ziemi rodzącej oddaje. Ba, gdybyż choć to... Wprawdzie strzeże on ten swojej zagrody, pilnuje z gorliwością, by kto trawki nie zgiał; bydlę czyjeś tam wpadnie — zaraz po sędziów polowych; psa, przebiegającego przez zagony, kamieniem okulawi; przejechać przez pole swe nikomu nie dozwoli; oczy go bołą, gdy kto nawet po tłoku przechodzi... Lecz przypatrzeć się, jak na tej zagrodzie swojej gospodarzy! Młaki niepospuszczane — kamienie niewyzbierane — większa połowa odłogiem

się chwaści. Przeorze kawałek tu, to znowu drugi o staję — tu lub tam ryc ziemię próbuje — wszystko bez ładu i planu. Na wiosnę wjedzie pługiem do najgorszej drapy, pruje ziemię porośłą smreczkami, gdzieby wnet las się zajął — a kawałek równiny w środku pól na ugor ostawi. Nawozem z choiny leśnej popryśnie pod ziemniaki — to też urosną jak te ptasie jaja. Na ziemniaczysku pustem wsieje ziarno, które znów osty zatłumią. Poza tem owies w ugorach. Cały plon zagrody. Przyjdą zbiórki, to mierzwę pół-oschniętą wwali do stodoły. Zatechłą potem słomę musi być gryźć.—Wokoło zabudowań ni łączki, ni sadu; szkoda, powiada, na to pola. Na otwartym wygonie stoi stodoła i kuca, chałupą zwana. Wokół zagroda zugorniała, na pastwisko nawet niezdatna.

Gdyby zagrodę ową posłać na wystawę, wzbudziłaby zapewne wiele sentymentu, jako zagroda „biednego kmiotka“ naszego. Już i tak Bożek bożkiem prawie jest dla tych naiwnych chłopskich patrjotów, dla których każdy kmiotek—gałgan czy matolek—jest nieetykalnem „tabu“. Nic to, że Bożek jest poprostu gniołek, niegodzien ziemi orać, którą psuje.

Gdyby tę dwunasto-morgową zagrodę posiadał ktoś miłujący ziemię i umiejący ją uprawiać, ileżby z niej mógł wydobyć! Iluż to pragnie, ludzi wartnych, mórg bodaj mieć,

aby cieszyć się w nim pracą. Tym to kret Bożek zastępuje. Zajmuje, ze szkoda o całe człowieczeństwo od siebie godniejszych, parcel na ziemskim globusie. Zajmuje go właściwie bezprawnie. Bo nie rozumie wartości posiadanej ziemi, ani swojego na niej obowiązku. Co mu lato przyniesie, to z bydłoty przez zimę skruszy i strocini. Co komu z tego za pożytek?

A Bożków takich jest tysiące.

Powinno się ich—jako nikomu nieużytecznych, jeno zachwaszczających sobą ziemię — ze zagród wywłaszczyć! A zagrody oddać tym, co ich są godni.

XIX. WSPÓŁZYCIE LUDZI NA WSI.

Przed kościołem w parafji po sumie, gdzie zwyczajnie niejako giełda się odbywa, gromadka ciekawych otoczyła chałupinę niedużego, zwanego po imieniu osiedla „z nad skały“, który się w ich obliczności, parokrotnie już rzecz dla nowodosuniętych powtarzając, skarżył:

— Tak mie, wiecie, tak mie haw kumoter sąsiad wyrychtował... Przychodzi do mnie i powiada: „Mam hań w potoku drzewko ścięte, chciałbych je odwieźć, coby jaki grajcar zmanić — ale z potoka do urwiska bystro — próbowałemch wołmi swoimi wyciągnąć, nie da rady. O mój kumotrze — prosi — bądźcie też tak dobry, deście mi konia do wołów założyć. Ja wam to stokroć odwdzięczę“. — „Aleć bez wszystkiego — mówię — weźcie se konia, jak wam trza, załóżcie, przecie to sąsiedzka rzecz: jeden drugiemu usłużyć“. No i wziął konia, założył i odwiódł

z podziękowaniem. Dobrze. Aż ja po jakąś potrzeb zachodzę do swoich krzaków—i widzę: pniak się świeci, drzewo ścięte świeżo—ślakuję: tu, tędy na potok spychane—wreszcie i świadek się znalazł, który widział, jak kumotr ów to drzewo na mojem ścinał. To dość, że drzewo wbrew z mojego wziął, jeszcze po konia przyszedł, coby mu założyć. Widzieliście?

Słuchający poczęli pskać na to:

— Co za śluder! No, patrzcie...

— Dość wziąć, to jeszcze tak podejść...

— I to sąsiad, kumoter...

— A jakże.

I lutowali słowami chłopinę. A ten i ów z zazdrością pomyślał: że też to on nie przyszedł pierwszy na ten pomysł...

Współzycie na wsi, napozór proste i szczerze, jest u większości na fluktach obłudy oparte, którą różne warunki narostem lat i wpływ jarmarcznej cywilizacji wytworzyły. Powiem też: im więcej cywilizowana wieś, tem więcej onej obłudy w stosunkach i oszukaństwa. Do cygaństwa trzeba pewnej już dozy wykszolenia, którego pomocnicą jest źle przejęta lub też podana oświata. To też współzycie w społeczności miejskiej o sto jest gorsze i cięższe. Na wsi, jako na widnej, otwartej przestrzeni dużą wagę kontrolną ma i opinia. Jaskrawią się do przestępstwa

rzeczy, któreby w cieniu miasta uszły za normalne. Dla skrywania ich przeto przed zaotwartą przykro opinią, służy nieśmiałym doświadczony, choć zdradzający się zgrzebny płótnem, parasol obłudy.

Słyszałem nieraz gazdów starych, ze zgorzzeniem patrzących na dzisiejsze cygańskie stosunki i z pochwałą wspominających dawne współzycie sąsiedzkie.

— Ludzie byli se, można rzec, jak bracia. Ba, co dziś bracia. Miłowali się i szanowali, choć ich ta ksiądz ku temu nie nukał. W robotach się też wspomagali, jak prawdziwie somsiedzi. Ów miał woły, to zaorał, zwiózł z pola temu, co ich nie miał — a ten znowu, jak widział u tamtego robotę pilną, czy to kośbę czy młockę, szedł bez proszenia, pomagał. Ten temu to, ten owo — jeden drugiego rad skrzepił. Biedny też turbacji nie miał, bo go bogatsi wspomogli. A to wszystko za „Bóg zapłać“ — nikt piniądzmi pomocy nie płacił. Budował się kto naprzykład, to się zmówili sąsiedzi, wyjechało z dwadzieścia fur—i drzewo mu w jeden dzień na budowę zwieźli. Nikt za to nicby nie przyjął — telo, że ich ów gospodarz poczęstunkiem jakim uszanował. Klótni nie było ni zajadek — zaszło tam coś między tym a owym, to się po sąsiedzku dogadali. Bezpieczność też była wszędy, człek się czuł pewny, jak między

rodziną. A dziś — patrzcie: nikt nikomu za darmo palcem nie pomoże — za każdy postępek złapać — kupiectwo ino, proceśnicstwo, zajadki o byle co, o miedzę, o skibę — przytem podejścia chytre, oszukaństwa — człek sie musi strzedz jak liska, coby na podstęp nie stąpić — żyć sie między takim narodem odniehciewa.

Ba, ale zapomnieli też gazdowie starzy, że dawniej jeden gazda hruby, dwóch lub trzech najwyżej było w obszernem osiedlu, nikt nikomu nie zawadzał, ziemi mieli dość, przestronno — a dziś w osiedlu takim po ośmiu, dwunastu — ścisk się uczynił, zagryz, jako w tych warunkach wyżyć — to też jeden drugiego spycha z miedzy, skibę sąsiada ku swojemu pólku przyoruje, a gdzie się da, to chytrnością coś gdzieś doraźnie zarywa. Stąd nieufność wzajemna, podstępny—współżycie niby pozornie przyjazne, przy utajonym wrogiem pogotowiu. Wiadomo: bieda nie jest wydawczynią cnoty; pod jej dociskiem wszelka stylowość się paczy, charaktery, nawet dość tęgie, marnieją. W tych też warunkach trudnych, pogmatwanych, jakie dzisiejsze życie z sobą niesie, chłop pobłąkany — zauważył już Witkiewicz — nie widzi często innej rady, jak „jednego dnia przykłamać, drugiego wyprosić“. Dowód to zresztą dość wysokiej cywilizacji.

Skoro o współżyciu mowa, trudno najważniejszą rzecz pominąć, która je psuje i barwi: różnicę dusz. Tuby się mały przykład przydał...

W opinji ludzi z miasta chłop — no to chłop; mądry lub głupi, zły lub dobry, lecz w masie jednaki. Mówiąc o chłopach na wsi, mówić o gamie dusz — za żart okpiśny wezmą. Nikt tego dotąd nie mówił. A jednak... socjologja musi do tych elementarnych skonstatowań wrócić, na nich się, jako na podstawie oprzeć, jeżeli ma coś na prawdzie zbudować. Bez tego błąkać się będzie w majakach, logizować na takiej nierzeczywistości, na takim fantomie złudnym, jak człowiek w ogóle. — W rzeczy, w postępie naturalnym szybszego lub wolniejszego rostu, wytworzyły się na wsi, jak i w mieście, różne typy psychiczne. Gama ich wprawdzie węższa jest niż w mieście, gdzie pomocniczość nauki ułatwia rozwój typów wyższych, ale przecie dość szeroka: od matołka aż do filozofa. Typy te — można powiedzieć: rasy różne psychiczne — niewyodrębnione, nie skupione podług pokrewieństwa, żyją pomieszane z sobą. Stąd piekło.

Trafia się wprawdzie często w osiedlu temowem jakiś łakomy z natury, niezgodliwy kłótnik, który wszystkim naokół do żywego doje — ale cóż powiedzieć o dwóch sąsia-

dach, których żadne ekonomiczne przyczyny nie kłóca, z których każdy osobno człek dobry, a nienawidzą się jak śmiertelne wrogi. Różnica typów ich duchowych, różnica ras a priori tę nienawiść stwarza. A podobieństwo zasię ciągnie podobnych ku sobie.

Jeden z owych nienawidzących się spotyka się z przyjacielem, z którym, że mieszka ją daleko od siebie, widuje się jeno przy kościele lub na jarmarku. Piją razem, radzi z siebie, ściskają się i świadczą se wzajem.

— Życie mi mierznie — zwierza się ów, mający wroga sąsiada.—Telo mi zatruł świat, co mnie i słonko nie cieszy. Kiebyś ty, bracie, z nim sie na miejsce pomieniał, kiebyś ty był koło mnie abo ja przy tobie — to to byłaby radość! Jużby mi nic nie trza było.

Cóż dopiero, gdy się trafi, że dwaj tacy, o rasach dusz zgóry sobie wrogich, muszą mieścić się w jednym domu, pod jednym numerem. Mieszkają — przez sień — naprzeciw. Przez tę jedną sień wspólną wynoszą cebrzyki do stajen, albo idą z konwiami po wodę. Po kilkanaście razy na dzień muszą się spotykać.

Mówiła mi z płaczem jedna wdowa, która w takich akurat mieszkała warunkach:

— Wiecie, panie, że kiebych mogła, kieby nie te dzieci drobne, tobych cyganowi tę

izbę oddała ze wszystkim, a samabych poszła w świat, byle ino tych oczów wrogich codzien nie spotykać. To już nad siły, panie, i nieraz mnie kusi śmierć sobie zrobić. Ino te dzieci trzymają...

Nie zmylę rzeczy, jeśli powiem: nie bieda, nie ciemnota, jest najgorszą dla chłopa niedołą. Największe piekło na wsi, jako i w mieście, wynika ze współżycia różnych ras duchowych z sobą.

XX. CZYTELNIK I ANALFABETA.

Muszę się na wstępie zastrzec — że to kropki nad *i* trzeba i w kaligrafji stawiać — iż nie przychodzę tu bynajmniej z pochwałą analfabetyzmu, ani występować chcę, broń Boże, przeciw czytelnictwu na wsi, lecz podać pragnę jedynie parę skonstatowań na dowód różnicy dusz, w liście ostatnim podkreślonej. A to dla zbliżenia się cośniewielu ku prawdzie, tak doznaku przez znajomość rzeczy przesłoniętej.

Stwierdzić trzeba: Rozwój duszy niekoniecznie musi się nakrywać z nabywaniem wiadomości (nie mówię: wiedzy), choć te, jakokij o mroku, ułatwiają świadomie śmielsze posunięcia. W gamie szerokiej dusz — od *simii*, *antropoidy*, matołka, aż do metafizycznie myślących lub odczuwających — są przeciętne (tych najwięcej), które jakoby w rozwoju stanęły. Dla tych oświata, wykształcenie, to skonsumowanie pewnej ilo-

ści formuł czy tytułów, bez żadnego dla ducha pożytku. Natomiast w gamie onej są specjalnie *podatne rozwojowi*, które bez pomocniczych szczudeł, bez „oświaty“, jeno za naturalnym, można rzec: *przyrodzonym pędem* — jak ono drzewo, roślina — do *wysokiego* dochodzą *wyrostu*.

Bywają zatem obojga filozofji doktorzy, którymby trzeba, chcąc się z nimi porozumieć, powybijać naprzód z głowy kolki nabytych formuł, i wtedy ostaje próżnia — — natomiast są analfabeci, z którymi rozkosz pomówić; mniej umiejący się może wypowiedzieć, lecz głęboko i z rozumieniem czują.

Przykładów na to można nawieść wiele.

Przed laty byłem w jakiejś sprawie w miasteczku powiatowem. Spotkałem się tam z napół znajomym prawnikiem, człowiekiem — jak się to mówi — wysoce wykształconym, którego zarozumiałość i tępota wielce mię osmęciły; a bezpośrednio potem zaznajomiłem się przypadkowo z biednym krawczyną, nieuczynym, z którego to spotkania wyniosłem radość rzetelną. — Był ów człeczyna wyznawcą Stojalowskiego, w czasie, gdy ten był prześladowanym jeszcze apostołem. Przyłgnąwszy ufnością do mnie, zaprosił mię do swego mieszkania, gdzie ze czcią wskazywał mi komodę nakrytą biało i obraz

nad nią, przed którym, nocujący u jego małżoŃci, ks. Stojałowski miał mszę św. Takich uczniów oddanych musieli mieć pierwsi apostołowie. — Wyszliśmy wieczór na szosę. Była pełnia, niebo gwiazdziste, widna i ciepła noc. Spacerując, mówiliśmy o pierwszych uczniach Chrystusa, o gminach św. Pawła, o zamysłach Juljana Apostaty, o zwrotnicy Rzymie, o nowem świetle Kopernika, o światłach-gwiazdach, o wieczności — o wszystkim, co głębia nocy gwiazdzistej nadniosła. I rozmowę tę dotąd we wdzięcznem sercu wspominam.

Jaskrawiej to jeszcze unaoczną fakty niżej podane.

Było to również przed laty, na początku mej, t. zw. literackiej karjery. Bawiłem wówczas, jak zwykle przez większą część roku, w Porębie, w domu ojcowskim, starym.

Jednej niedzieli, z południa — coś tam robiłem w izdebce — dano mi znać, że przyszedł do mnie gazda młody z sąsiedniej wsi, pożyczyć książek.

— Toć to przemiły gość! Po książki — i to z drugiej wsi. Prosićże co duchu!

Wszedł młody człek, trzydziesto może paroletni, znany mi z wyglądu, z twarzy i oczu nijaki, jak to mówią: nieposolony. Przemagam jednak wrażenie, uprzejmie proszę go siadać.

— Chciałbym co do czytania — mówi.

— Hm — zastanawiam się. — Coby mu tu dać? Biblioteka postudencka mieściła się cała na jednej ławie. Poezje, powieści, kilka historycznych książek... Nie widzę nic odpowiedniego. Natrafiam wreszcie na wydawnictwo małych, czerwonych książeczek „Latarni“: o gruźlicy na wsi p. t. „Wróg ludu“ i „O ustawie wyborczej do sejmu“. To — myślę — będzie. Podaję mu.

— Tego nie będę czytał — mówi.

— Czemu? — zdziwiłem się.

— Bo to socjalistyczne.

— To nic, że okładki czerwone — nic tam o socjalizmie niema.

— Kie jaby co inszego... wolał...

Widzę, że człek przygotowany przez ko- goś, poczynam z nim dla wymiarkowania mówić. Tedy poczyną się chwalić, że ma sam czytelnię u siebie — panie ze Lwowa mu przysłały — czytał to, owo, Syberję Kennana, wymienia tytułów sporo — gazety też mu przysyłają — „Pracę“...

— Bo ja, proszę pana, nienawidzę Niemców...

— A gdzież tu tych Niemców macie?

Widzę stąd, stamtąd ponabywał — narzucone, nieswoje powtarza. To, co mówi, jest jakby ponad nim, a on jakby maszyną drewnianą, recytującą. Pocóż mu te wiadomości?

On w rozwoju stanął. Mógłby jeszcze — ten czytany czytelnik — tysiąc książek przeczytać — nic mu nie dadzą.

Im dłużej z nim mówię, tem czuję wyraźniej, jak mi dusza powoli ucieka w pięty. Żadnego zaczepienia — jeno przykrość współobecności. Tedy pytam:

— Cóż więc sobie życzyście?

— Jaby chciał „Tygodnik Ilustrowany“.

Dałem mu ów Tygodnik i pożegnałem go, nie mając wcale ochoty na przyszłość nim się zajmować. Niech to tam już cierpliwy czas załatwia.

Tegoż lata pod jesieńostałem w domu sam. — Matka wyjechała do brata, do Krakowa. Na polu wiatr i deszcz. Siedziałem wieczorem w izdebce swej, słuchając świstu wiatru w konarach rozłożystej jabłoni nad dachem. Obca nawet twarz człowieka w tem pustkowiu odludnem byłaby zjawą radosną.

Tedy jakiś gromot w sieni — uchylają się drzwi — wchodzi z „pochwałą Boga“ stary radny z pod lasu. Serdecznie się witamy. Proszę go ku światłu do stołu. Złożył pańszczarek (koszyk ręczny) na ziemi. „Zbiera jajka na mszę świętą (bo grajczary niewszędy są) na uproszenie pogody (bo słońca już drugi tydzień — ziemniaków nie da wykopać)“. Stary to zwyczaj, obowiązek, do którego naj-

starszy radny się poczuwa. Czasem bywa, że nim uzbiera, zanieś — to już deszcz minie, posucha nastanie — i zamiast „na pogodę“ — „na deszcz“ trza odmienić.

Po wymianie zdań o tem, o owem, — po rozpytaniu o zdrowie — kiedy już ciepło go uszczęśliwiło:

— Cóż ta piszecie, panie? — wskazał na stół.

Przeczytałem ustęp napisany. Wiersze. Widzę po oczach, że go to zajmuje — choć je zgoła nieczytelny, analfabeta.

Tedy nie wiem, skąd mi do głowy przyszło... sięgnąłem po książeczkę: „Psalmy przyszłości“ Krasieńskiego. Począłem czytać... „Psalm miłości“...

Cały się przemienił w uwagę. Oczy zawisły u warg moich.

Czytam więc dalej: „Do autora Trzech Psalmów“ Słowackiego. Znów „Psalm żalu“...

— Przeciw piekłu podnieść kord!
 Bić szatanów czarny ród!
 Lecz nie nęcić polski lud,
 By niósł szlachcie polskiej mord.

.

— Ten, kto ojcu powie: raka —
 Ten przeklęty. Więc się bój!
 Polski lud — to ojciec twój.

.

— Bogdajbyś wieszczu był wieścił
prawdziwie... i t. d.

...grzmiało w izbie. Widziałem, jakie na nim
czyni to wrażenie. W momentach o napięciu
wysokiem, drżał cały.

Gdy skończyłem, długo milczał, oczyma
załzawionemi gdzieś przed się daleko pa-
trząc — wreszcie począł, wzruszeniem rwaną
mową:

— Wiecie... jak to czytacie... bo ja nie
wiem nic... ja nie uczny... Opowiadali nam
dziadowie starzy, że były drzewiej takie wiel-
goludy, co se z wierchu na drugi wierch sie-
kierki podawali. To mi sie widzi... jak to
czytacie... że *dwa takie wielgoludy na dwóch
przeciwnych wierchach stoją i tak sie bez
powietrze ze sobą przegadują...*

Nie wiem, czy który z historyków lite-
ratury, z krytyków, określiłby tak plastycz-
nie wiernem porównaniem *wysoki nastrój
onej klótni.*

XXI. NIECO O OŚWIACIE.

Był czas, po klęsce ostatniej powstania — gdy obaczono dowodnie, iż niema gadki o niepodległości, jeżeli lud jej w masie całej, jako swego dążenia, nie podejmie — kiedy to na gwałt rzucono się do oświecania ludu... Oświata była owem nietykalnem tabu, którego nikt nie śmiał świętokradczo, pod zagrożeniem wyklęcia, urazić, ba, nikt nie śmiał jego umówionej wagi niedoceniać. Mógł się tu demokratyzm z konserwatyzmem różnić co do tendencji i metod onego oświecania: wagi oświaty samej nikt nie kwestjonował.

Powstały towarzystwa o różnych szyldach i barwach, mające za cel jedyny oświatę pozaoficjalną, oświatę ludu: jak np. w Małopolsce zachodniej, przez demokratów założone Towarzystwo Szkoły Ludowej i konserwatywne Tow. Oświaty Ludu. Zaczem poszła ofiarność społeczeństwa, wyrażająca

się w składkach rocznych, gęściej w groszowych datkach. Wprawdzie swoiste o tem mieli zdanie sędziwi staruszkowie, zbierający one datki.

Dwóch takich staruszków, znanych dawnemu Krakowowi, w jednakich konfederatkach i czamarach, a konkurujących ze sobą w zawodzie — bo jeden miał puszkę z napisem T. S. L., a drugi zasię T. O. L. — weszło razu jednego do Hawelki. Obeszli — jeden stroną prawą, drugi lewą — stoliki restauracyjne, pełne gości, i spotkali się, wychodzący, w bramie. (Nie byli sobie wrodzy, mimo odmiennych szyldów puszek; nieraz razem, kiedy szczęście dopisało i groszy coś mimo puszeki do kieszeni wpadło, u Urbana popili). Tedy jeden staruszek do drugiego:

— Cóżżeś zebrał?

— Nic — odrzeczę. — A ty?

— Też to samo — potrząsnął puszką próżną.

— A bo, widzisz — powiada tamten tajemniczo — tu są dwie partje wrogie: jedna, co nic nie daje na Szkołę Ludową, i druga, co nic znowu nie daje na Oświatę Ludu. Dwie partje.

Ale to byli — u końca zawodu swego — pesymiści. Owszem, datki ofiarne wpływały, jak widzimy choćby z wydawnictw rozlicznych, które onego czasu zaczęły się rodzić.

Powstały pisemka: „Dzwonki“—„Chatki“—„Snopy“ (jak dalekośmy od tych sielankowych czasów!), jęły się ukazywać książeczki „Macierzy“, o swoistym, lukrecjowo = oświatowym smaku, pisane umyślnie z tendencją chwalebłą — „dla ludu“. Wydawnictwa te i tym podobne, przeważnie rozdawane darmo — poza hojnością złudzenia, jakie dawały wydawcom = oświecicielom, iż nader ważną pracę pełnią — miały tę jeszcze zaletę, że ich nikt nie czytał. A zajął się ktoś z ciekawości do nich, to je z litosną pobłażliwością odłożył, jako obrażająco przystępnie wykładane bajki, dzieciom mądrzejszym za naiwne.

Od tej ckliwo pachnącej śmigusowej wody rzetelną żywicznością odcinała się działalność oświatowa w b. Kongresówce K. Prószyńskiego (Promyka), który tysiące chłopów nauczył poprostu czytać, i co światlejszego tam jest na wsi, z jego wyszło szkółki; jako też praca uświadamiająca w b. Galicji i Śląsku Cieszyńskim M. Wysłouchowej, która przez „Zorzę“ swą i bezpośrednio przez listy wielu obywateli niewiednych Polsce przyswoiła. W dziedzinie zaś gospodarczej nie drobną rolę odegrał „Poradnik kółek rolniczych“. Praktyczną szkołą samo = poradności były też kółka jako i kasy Reiffeisena na wsi.

Poza tem działalność różnych oświatowców i oświecicielek, mających więcej zbożnego za-

pału, niż rozumienia rzeczy samej, nie usta-
wała. Słowem odczytowem, pismem, zakła-
kładaniem Macierzowych czyteln, zwłaszcza
w promieniach miast, siedzib głównych zarzą-
dów towarzystw, starano się „ciemną“ duszę
chłopską podszewką czerwono = białą, na
wierzch odwrócić. Pojęły to wnet chytre, cho-
ciaż matołkowane podmiejskie wójciki i, aby
paniom z miast sprawić rozrzewnienie a so-
bie honor, jawiły się strojno w pawich piór-
kach na każdą narodową uroczystość. Wy-
tworzył się też nawet typ tych obchodowych
chłopskich patryjotów (Paradebauer).

Ogółem lud rozróżniał, w tej nawiewanej
mu na głowy sieczce oświatowej, plewy od
ziarna. Ale cóż — plewy, letsze, ostawały
na skołtunionych łbach (pozór oświaty) —
ziarna, cięższe, spadały na ziemię. Siewba,
rzec można, po drogach. Choćby o treści
ważkiej — jakże czepiać się mogły głowy
chłopskiej rzeczy, dalekie od realizmu jego
życia lub obojętne zgoła. Cóż go np. mogła
obchodzić sprawa Łokietka?

Chłop widział jawnie: panowie i panie
z miasta chcą go uszczęśliwić, chcą go oświe-
cić. Czynią to bez interesu, ze stratą czasu
drogiego. Niekiedy nawet był im wdzięczny
za to. Lecz dziwił się, że taką wagę osobliwą
do tej oświaty jego (miast siebie w niektó-
rych rzeczach oświecić) przywiązują. Jak

mógł też, od tego szczęścia oświecenia się uchylał. Książki, owszem, niechże se będą — ale ciekawiej w życie pojrzeć — bo one mu też niewiele, albo i nic, ze życia niosły.

Przypomina mi się tu zdarzenie, jakie spotkało oświatowe panie z zarządu koła T. S. L. w Zakopanem. Oto upatrzyły sobie światlejszego wójta w jednej wsi na Podhalu, złożyły biblioteczkę i zawiozły ją do niego.

— Tak a tak — mówią — wiemy, żeście światły człek, panie wójcie, przywiozłyśmy tu książeczki i oddajemy je pod waszą opiekę; sami już uważycie, co komu dać.

— Dziękuję pięknie za zaufanie — powiada. — Juz się panie nie bójcie, juz ja się tem zaopiekunuję; wiem, co książki wartają; będą u mnie bezpieczne, jak w skrzyni.

W jakiś czas potem, w rok czy później, przyjeżdżają one panie z zarządu do wójta na lustrację.

— Cóż z naszemi książkami? — pytają.

— Są, są — powiada — dobrze schowane, w zamknięciu. Szafkę kazałem zrobić (to juz mój koszt), bo to na ławie proch na nie obsiadał. A wiem, co książka warce. Prose się przejrzeć — odemknął kluczem szafkę. — Tak, jak panie je przywiezły, nienaruszone. Nikto ich tu nie rusał.

— A pożyczaliście komu?

— Broń Boże. Naród ksiązek nie umie sadować — ciśnie katędy — dzieciska podrą, zniszcą; a to przecie nie elementarze. Tak, jak je panie złożyły, tak są, całke cyste; w schozowaniu były, bezpieczne.

Panie trochę się stropiły.—A my myślały...

Niedobrze czasem i myśleć.

Lecz to historie przeszłe. Niepodległość, która „oświaty“ minionej była celem, stała się oto, pomimo niej, faktem. Czas już, by przyjrzeć się zblizka onemu t a b u, zrewizdować swój stosunek do oświaty, ją samą poddać rewizji.

Chodzi wciąż o lud. Bardzo dobrze. W równej mierze winno chodzić o wszystkie warstwy Rzeczypospolitej; ba, o każdą jednostkę, każdego członka. „Jeśli poszerzycie dusze swoje — poszerzycie granice Ojczyzny“. Któraż warstwa jest najwęższa duchem? Osądek trudny. Jakiemż prawem jedna czuje się predestynowaną, by uczyć drugą? Że wie np. do jakiego morza Dunaj wpada — a tamta nie wie. To nie jest wcale jeszcze uprawnienie.

Weźmy teraz pod uwagę gamę dusz, jako sprawdzian nieomylny. Wiemy, że alfabet może być w rozwoju ducha dalej posunięty, niż doktor filozofji obojga z kolkami w głowie. Wiemy, że wielu inteligentów z rodu, nieukształconych, stoi wyżej

przeciętnej w rozwoju. Cóż się okazuje? Oto niektórzy pół-inteligent, o s w i a t o w i e c czy demagog płytki, na niższym stopniu będący, „oświecając“ lud, o b n i ż a, ściąga tych nie raz, co są wyżej odeń. Toż i z książkami, przez płytkich autorów gwoli „oświaty“ pisanemi.

Czas skończyć z tą pogłupiałą „oświatą ludu“.

Niech oświecający oświeca przedewszystkiem siebie. Niech każdy stara się poszerzyć swą duszę — posunąć się możliwie najdalej w stopniach rozwoju. Niech dąży ku coraz to doskonalszemu samemu sobie. To przykazanie pierwsze.

A lud? — Ludowi nie przeszkadzać jeno w pędzie rozwoju. Usunąć kłody wszystkie z przed nóg, co tamują. A pęd naturalny ku wyrostowi, który w każdej istocie tkwi, sam sobie znajdzie już drogę.

XXII. CZAS = WYCHOWAWCA.

Jeszcze przed czterdziestu laty — gdy już wszędy pług żelazny dawno wyrugował sochę — używano w mojej okolicy górskiej pługów drewnianych. U ojca mego jeszcze pług taki zapamiętałem. Nie był on (powiem dla wyjaśnienia ludzi miejskich) całkiem do klina drewniany, i o tyle różnił się od piastowskiego, że miał już żelazne trzósło i stopę (niby lemiesz) w żelazny kerpiec obutą; stopa ta była jednak z drzewa wyciesana, jako też bok był prostą z drzewa deską. Do takiego pługu, by nim orać, niezbędny był i styk, t. j. kośćur o łopatce na końcu żelaznej, którym zapłużnik wciąż musiał się, zwłaszcza gdy na mokrze orał, posługiwać, odkrobując ziemię, przylepiającą się do deski pługu. Takim pługiem orać, zwłaszcza w uboczy, był to iście krzyż Pański, nie śpiewanie. Skowronek tu był kpiarzem. Ziemia wiozła się, garniona deską, i zapłużnik miał

pracę niemałą, by, jedną ręką trzymając pług, drugą ziemię istykiem odgarniać. A dopiero u końca zagona, przy zawracaniu... Skóra na ramionach od dźwigania nóg pługa popuszczala.

Przyszła nakoniec do wsi wieść o pługach żelaznych: że letko — mówi — orzą... „Bajtki!“ — ten ów się obruszył — „Jako to może być, coby żelazo było lekcejsze od drzewa? To ino zydy, fabryki tak skłą, coby głupiego osiudzić“. Aliści ktoś ciekawszy sprowadził pług taki. Przypatrzył się mu kowal — jął próbować robić na podobę. Już kilka takich zmanił. „O — je — powiadają — orze!... nawet nieźle. I dużo lekcy idzie. Bok je wygięty, toz to skiby pod się bierę, przewraca i kładzie, tak jakby nozem placek krajał.“ — „Ba, ale — mówią drudzy, a tych więcej — placku z takiej orki nie dockas. Od pługa żelaznego ziem święta rdzewieje; przeorz ją takim pługiem raz, drugi, to ją zjałowis tak, co ziarnka nie wyda“. — Naród też, zestrachany, nie bardzo się do nowości spieszył. Tracił zdrowie, jak dotąd, przy pługach drewnianych. Aż wytłumaczył ono głupstwo czas...

Podobnie było z piecami. Od dziada-pradziada palili pośród poprzystawianych garnków na nalepie — nad ogniem wisiał na kuli kocioł czarny, w którym grzała się woda dla użytku (zimą głównie dla bydła)—dym szedł

prosto na izbę i okiennicą w powale uchodził na strych. — Ktoś wprowadził, widziany kiedyś, piec z blachami. Przyjrzał się temu drugi, trzeci — przewiedli baby — spróbowali. „O je — powiadają — dy to ujdzie. Dymu sie cłek ani mrozu, kie trza było zimą drzwi otwierać, nie naje — w izbie ciepło — na blachę garnek przystawis, w ty minucie wre — no jednem słowem: wygoda“. — „Baj to“ — przeczą, do ojcowskich wygód wzwyczajeni — „a kaz kociel postawić? Ka drwa, ka ten susyc, jak dymu pod powałą nima? A do tego piec z blachami wilgoć trzyma w chałupie...“ — I krztusili się jeszcze długo w dymie — aż czas ich przekonał.

Z wielu rzeczami tak było. Wiemy np. nawozy sztuczne. Wieleż to gwary po wsi szło, kiedy jakiś ryzykant światowy spróbowował pierwszy zużli czy superfosfatu. A to: że nawóz sztuczny rolę psuje, śniedź do kłosów sprowadza a okopowe jarzyny sparszywia — to znów, że bydło z paszy (trawy czy koni-czu), na onym nawozie wyrosłej się truje. „Gnój — słyszało się — od Boga rolnikowi dany, i ziemia święta doń już wzwyczajona, a jakimiś štucnemi wymysłami się obraza“. Nakońcu wreszcie ostatni argument przeciw: koszt nieopłacalny. — Czas se ze wszystkim dał radę. I dziś chłop, jak i ziemia, łakną nawozu sztucznego. Cóż, kie go brak.

I w dziedzinach inszych na wsi, nie jeno dotyczących wprost roli czy pieca, czas w postępie koniecznym w lat sekundzie milowy uczynił krok.

Baczę, co to np. było za czasu chłopięstwa mego z urokami... Temu, owemu — słyszało się co chwila — urok się dostał. Dostawał się zwyczajnie od złych oczu, choć mógł się dostać i z niewiadomego. Tak podpadł urokowi człek, jako i bydło. Urok, w czas nieodczyniony, mógł sprowadzić katastrofę: chorobę, kalectwo, śmierć nawet. Tygodnia, ba, dnia nie było, by się nie widziało lecących z kłopotem owym do „odczyniaczy“. — Minał niedługi czas — i o urokach nie słychno. Ostały jeno w powiedzeniach, np.: gdy się kogoś, pokazując mu „statek“, do stajni, chlewu abo owczarni wprowadza, wypada, by prócz zwykłego „szczęść Boże“ dodawał jeszcze „bez uroku“. (Zawdyć bo zły czyha, choć się uwadze zataja).

Ktoś, apostolsko nastrojon, chcąc słowem odczytowem one wrodzone, zaśniedziałe pojęcia rugować, niejednaby duszę wypluł, jako się ówdzie zdarzało — na popróźnicy. Minie czasu ułamek — przewieje wiatr nowy ze świata — i letko spełni.

Wiadomo starszym wykształconym synom chłopskim, zwłaszcza tym z gór, z Podhala, jak to u początków ich drogi ambicyjnej

było. — Jak ktoś odważywszy się syna (bo o córkach gadki być nie mogło) dać do szkół — to juścić nie na co inszego, ino „na księdza“. Tak rodzina sądziła, tak cała wieś. Byłóż wej, było — jeśli chłopiec o rogatszej duszy onej opinii zgodnej nie posłuchał! Musiał przejść przez tragedję, która nieraz życie mu złamała. A choćby siłą własną wyszedł, jak się to mówi, na ludzi — w opinii wsi się „zmarnił“. I choćby rodzice sami, jak się to wyjątkowo przydarzało, nie zagrządzali mu drogi „do świata“ — wieś tej pobłażliwości nie aprobowwała. — Sam to miałem szczęsną sposobność doświadczyć, przed laty przeszło dwudziestu.

Bawiłem wonczas coś przez pół roku w Genewie. Po długiej niebytności wracałem z utęsknieniem pod ojczyste Gronie. Przyjechawszy już w nocy do Mszany, wynająłem pod stacją furkę i puściłem się drogą w stronę Niedźwiedzia. Noc była ciemna, że „oko wykol“. Ujechawszy kawałek ku olszynom, słyszę na drodze krzypotę. Zatrzymuję furmana i pytam:

— Kto tam krzypie?

— Ja, ja — przybliża się do wozu chłop stary, jak widzę po wygłosie, bo wrzeczy widzieć go nie mogę.

— Gdzie idziecie?

— Do Podobina. (Wioska tuż pod Niedźwiedziem, do tejże parafji należąca.)

— Siądźcie, to was podwoję.

— O niech wam Bóg stokrotnie... — gramoli się chłopina ku furmanowi.

— Siadajcie tu koło mnie — podaję mu w mroku rękę. — Będzie wam wygodniej — i pogwarzymy.

Przelazł ku mnie na siedzisko. Ruszamy.

— Skąd-ście, panie, przebaccie, bo was mam znać, a pociemku trudno...

— Z Poręby...

— Hm... to możecie leśnicy ze dwora?... (Przyszło mu jednak zaraz na uwagę, że pan leśniczy najętą furkąby nie jechał, ba konie by poń przyszły — przeto odwrócił) abo profesor ze szkoły?

— Nie — odrzekłem krótko, nie mając woli wyjaśniać, by się coś więcej dowiedzieć.

I nie czekając na indagowanie, zacząłem zaraz:

— Cóż tu u was ciekawego?

— E nic ta takiego.

— Nikt tu nie umarł? nie chory?

— Nie słyhać o tem, dzięki Bogu.

— A coż tam w Porębie? (Zachodzę okolicznością).

— E dy ta i z Poręby nic nowego nie słychno. Dawno-ście tu nie byli, panie?

— Dawno... A hań, „pod Groniami“ (serce mi bije), nie wiecie, jako się mają?

— E o kogoż się pytacie? — chłop się zakrztusił.

— O tych, co to do szkół...

— Panie! Skoda i gadać...

Zadrzałem.

— Czyby hań kto był chory?...

— Coby!... Ale ta matka se tyz wystroiła...

— Cóż takiego? — pytam z niepokojem, nie rozumiejąc jeszcze, o co chodzi.

— Ba, dy wiecie, jakeście stąd, boście musieli słyseć... Co się nazabiegała, natrudziła — i na co jej to wyszło?

— Na cóż jej wyszło? — pytam już wesoło; zaczynam wreszcie pojmować.

— Ba, dy wiecie, co z synów ma za pocieche... Ten starszy — miasto iść na księdza, jakby se familja i parafja zycyła, potoczył się na profesora... Dy tu widzimy we wsi, co taki profesor ma. A ten młodszy...

— Cóż ten młodszy?

— O tym skoda wam i gadać. To lofer! panie. Światami ino płuzy... Po gazetach jakichsi pisuje...

Nie mogłem wstrzymać śmiechu.

— Tak, tak, mój panie... lofer... lofer...

— Ale to już Podobin... Hou! — wstrzymałem furmana.

Pomogłem gaździe zleźć z wozu. Zlaziwszy, począł mi dziękować i coś przy fajce majstrować.

— Nie macie tyz, panie, patycka

— Służę.

Przychyłony, skrzesalem zapałkę — podałem mu. Płomyk oświecił twarz jego i moją. Poznałem go, i on mnie poznał. Nigdy nie zabaczę tej twarzy o długich włosach, złękłej, zdumionej.

— Panie! — wyjąkał — przebaczcie. Kiebych się był nazdał...

— Nic się nie trapie — pocieszyłem go. — Wdzięchen wam jestem, wierzcie, żeście mi dali usłyszeć prawdę o sobie. To się tak rzadko trafia....

.

Dziśby się już ta opinja typowo=parafjalna — nie mówiący już o sobie, ale o młodszych kolegach „zmarnionych“ — nie powtórzyła. Dziś chłop posyła syna „do szkół“, niekoniecznie „na księdza“. Bez tragedji domowych i wsiowych idą synowie chłopscy na prawo, filozofję, technikę, górnictwo, weterynarję, jak również — z własnej wygody czy woli—na teologję. Nikt ich o to nie gańbi. Ba, co większa, poczynają chlōpi i córki swe

posyłać do szkół; do wydziałowych, do handlowych lub seminarjów nauczycielskich. Horrendum. Ileżby to trza było płuc na popróżnicy...

Sprawił to w postępie swoim czas wychowawca.

XXIII. INTELIGENCJA Z LUDU.

Z racji, jakie w jednym z listów poprzednich podkreśliłem, największy procent kształconych w szkołach synów chłopskich udawał się do seminarjów duchownych „na księży“. Lecz spory odsetek ich kończył też filozofję, pewna część prawo, a t. zw. wykołajeni z gimnazjów szli do kolei, szkół handlowych lub seminarjów nauczycielskich. Zczasem coraz więcej synów wsi potaczało się ku zawodom świeckim — i dziś na każdym prawie polu widzi się ich, nieraz w zastępie licznym, pracujących; a jednostki z pośród nich zdolniejsze wybiły się nawet na stanowiska przewodnie.

Jakże ta inteligencja chłopska wyznaczyła się na płaszczyźnie życia? Co swoistego prócz pracy do kultury narodowej wniosła? Jakie dodatnie czy ujemne cechy?

Witkiewicz w uwagach swych, sprawdzonych życiem (Po latach), odnoszących się

jednak głównie do Podhala, między innemi powiada, że wyszłe stąd pierwsze pokolenie inteligencji chłopskiej, zgoła lepszych przymiotów ojców swych nie rozwinęło, lecz wniosło i spotęgowało jeszcze w sobie ich instynkty niższe — łapczywość, chytrość podstępna, łakomstwo, bezceremonjalność w drodze szybkiej do zdobycia „dudków“ — wytwarzając ujemny społecznie typ, podobny do tak zwanych w Rosji „kułaków“. Miał tu zapewne na myśli jednostki owe, które w nadto przyspieszonym tempie, z lekceważącym pominięciem idealnych naokół wartości, wymijając inteligentnie paragrafy, do pomnożenia majątku dążyły.

Zaiście — jak przemądrze podkreślił Witkiewicz — jeżeli rozwój pojęć nie idzie w parze z rozwojem równoczesnym uczuć, które charakter kształtują: to wykształcenie daje tylko udoskonaloną broń w rękę, zyskującą zwyczajnie przewagę w walce instynktów pierwotnych o posiadanie. I tacy, których jeno owe to instynkty niższe — zazdrość, chciwość, chęć nasycenia się, władzy — z chałupy, dusznem powietrzem zatrutej, do szkół, do nauki pchnęły — a lata szkolenia się nie zanieciły w ich duszach celów wyższych, nie zagasiły w nich pierwotnego głodu — tacy,

dorwawszy się po wysiłkach długich „do korytka“, chcą się naraz za wszystek czas łaknienia nasycić.

Lecz czyż to dotyczy tylko synów chłop- skich? I czy powietrze chałupy tu winno, że takie jednostki ze wsi się zdarzają?

Znałem chałupę jedną o wcale miłej atmo- sferze. Gospodarz światły, sam czytelny, po- sylał syna do szkół. Mówił mi:

— Bo wiecie, panie, ktośby mógł pomy- śleć, że ja na to chłopca do szkół posłał, coby mieć ś niego na starość skrzepotę. Uchowaj Boże, ani mi to w myśli nie powstało. I nie oto mi idzie, coby ostał księdzem, lidzimierem, sędzią, cy tam cem: ino oto, coby mu drogę wyprosić; coby, nabrawszy większego rozumu, stał się Bogu i ludziom miłsy, coby ućciwie umiał żyć: bo w tem przecie cała mądrość le- zy. Tu, jak wiecie, na wsi — zyje się ta jak moze, bo oświecenia nima.

No i nakładał na syna; co miesiąc do oddal- nego miasta woził mu z domu, co mógł; na książki, na ubranie pieniędzy dosyłał; pote- rał się nawet na majątku, woły robocze mu- siał na te wkłady przedać — ale ochotnie to czynił, mając cel ony przed oczyma.

Syn skończył filozofję, został profesorem. Niekiedy latem w czasie wakacyj do chałupy ojcowskiej zaglądał. Stamtąd też w czasie wojny powołano go do wojska. Dostał się

do niewoli i lat kilka, w warunkach zresztą dosyć znośnych, w głębokiej Rosji przebył. Powróciwszy z niewoli, zażądał od ojca zwrotu rzeczy (ubrania starego, prześcieradeł i czegoś tam jeszcze), jakie był w domu ostawił. A gdy ojciec odpowiedział, że trudno mu to będzie zwrócić, bo się to zdarło — tedy ojca pozwał do sądu o odszkodowanie za zniszczenie tych łachmanów.

Do takiego wej oświecenia synek kształcony doszedł.

Wspomnieć też trzeba, dla pełności cieni, o synach wsi, wstydzających się swego pochodzenia chłopskiego, swych ojców. Jeden na przykład z ojcem swoim, który przyjeżdżał z pieniędzmi dla niego i wiktuałami z domu, spotykał się w umówionem miejscu na przedmieściu, aby go z nim, broń Boże, w mieście nie widziano. Drugi znów, gdy szedł z ojcem przez ulicę, to parę kroków przed nim albo za nim, aby zaś nie pomyślano, że z ojcem chłopem idzie.

Lecz dość już o tem. Co się wyżej przytoczyło, to na szczęście wyjątki. Moznaby dla przeciwwagi wymienić szereg postaci świetlnych, wyszłych z ludu, charakterów kryształnych.

Na szkodę nieurobionych dusz młodocianych chłopskich wyszło trafiające się mecenasostwo oświatowe, opiekuństwo pań czy

panów różnych, którzy z motywów szlacheckich, rzadziej z giestu, dopomagali przechwalonym najczęściej pochołotom do zdobycia wykształcenia i dostania się w t. zw. sfery wyższe. Tacy szczęśliwi pupilkowie, przyzwyczajając się do darmowego chleba, wysług, przychlebstwa i cyganienia swoich opiekunów, wzrastali pospół z nabytym darem onych właściwości i, idąc wyżej w życie, szukali zawdy jakichś opiekuńskich pleców. Takich też i im podobnych właściwością było, jako i jest, wysługiwanie się, już od progów uniwersytetu, prawym czy lewym, lecz rządzącym albo wpływowym partjom.

Większość jednak przemożna kształcających się synów chłopskich, przebijając się z trudnością jak przez kolczastą gęstwienę lasu ku jasnej polanie wiedzy, ucząc się w najcięższych często warunkach mieszkaniowych i „wiktowych“, nieraz dosłownie przymierając głodem, zarazem w tej walce, z mrocznymi siłami o światło, hartowała dusze swoje — i którzy zmożę tę z przeciwnościami wszelkimi zwycięsko przeszli, wynieśli zdobycz bezcenną; ukształcone walką charaktery. — Nie mówię tu, by bieda była warunkiem wyrostu. Dość ostaje poza nią do przewalczenia. Wiedno: głód ciała jak i duchowi nie służy. Wielu też słabszych padło lub się załamało, wielu zdrowiem nadpsutem przejście zapłaciło.

Ogółem, inteligencja chłopska, dostawszy się tak czy owak po stopniach szkół — według mniemania swego, z padołu wsi — na płaskowyż szerszej działalności, wniosła z sobą zaciętość i tężyznę chłopską, jako też świeżość inicjatywną młodego na nowem polu pokolenia. Lecz do panteonu kultury narodowej, prócz wyjątków kilku, kilkunastu, nic swoistego nie wniosła. Żeniąc się najczęściej z mieszczańkami i za zaszczyt sobie to wielki poczytując, przejmowała też mieszczański konwenans, a ze wsią rodną, z jej kulturą zatracala kontakt i przecinała łączące ją z macierzą-ziemią korzenie.

Jeszcze pierwsze pokolenie inteligentów, wyszłych z ludu, mając w pamięci niezgasłej przeżycia chłopięce na wsi — na pastwisku przy bydle, przy robotach na roli, na łące czy w lesie — wzruszeniem i sentymentem ku tym latom dziecięcym, ku tym miejscom i wspomnieniom wraca. Lecz dzieci ich, dzieci wychowane w mieście, co najwyżej wieś przez próżność wakacyjnych miesięcy widząc, już nie mają tego bezpośredniego, osobisto — choćby — wspomnieniowego do pejzażu wsi stosunku, już są o to podwalinowe uczucie uboższe, duszami w bezimiennem powietrzu wiszące, niemające bliższej ojczyzny, nijakie.

Tak to jest z tą inteligencją... A teraz

jeszcze, jak na wszystkich, uderza na często podatniejsze w niej podłoże fala materialnego egoizmu powojenego. Trza hartu w sobie, by się jej skałą przeciwstawić.

Wiele na przyszłość optymizmu dają faktyczne objawy, iż młodsza generacja inteligencji chłopskiej stara się uświadomić w sobie, zdaje się widzieć odpowiedzialność szczególną, jaka na niej ciąży. Budzi się w niej chęć nawrotu do wsi, nawiązania z jej życiem bliższego kontaktu. Zjazdy doroczne Podhalan były porywającym przykładem. Tworzą się, słychać, ogniska synów chłopskich na uniwersytetach, skupienia młodzieży podług ziem, etnicznie odrębnych — poczyna się t. zw. ruch regionalny.

Jeśli inteligencja z ludu, której jest coraz większy dopływ, nie da się partjom różnym na wysługi, jeśli zrozumie, że przykazaniem jej winno być: dźwiganie w górę tych ziem, z których wyszła, przywracanie im ich fizjognomij etnicznie odrębnych, przynoszenie ziemi swej co najlepszego z góry a branie z niej z jej kultury, co wartościowego, czyli tworzenie jedności wspólnej kulturalnej chłopca i inteligenta — jeśli to zadanie spełni — to da, miemam, fundamentalne podstawy prawdziwie demokratycznej Rzeczypospolitej.

XXIV. CO SPRAWIŁA WOJNA NA WSI?

Napozór nic. Jak zaorano rowy i fosy strzeleckie, jak zasypano doły i wyrwy granatów, i ziemia, gwałtem pohańbiona, przyjęła dawne, radne, kmietowe oblicze, — tak, zdawałoby się, i szczyrby, w siłach i duszach ludzkich wojną poczynione, wyrównały się i zgoiły, żywicą czasu zalane.

Wszystko wróciło niby do normy zwyczajnej.

Kto jednak znał wieś przedwojenną, a dziś się jej przyjrzy głębszem okiem, to ogromne odrazu postrzeże różnice.

Ludzie niby ci sami, lecz jakże w rzeczy inni!

Naprzódy rzuca się w oczy, jako dająca się łącznie zauważyć, ogólna przyosłabłość chłopów, zaczem różne ich niedomagania fizyczne. — Oto ten i ów, dawniej przy robocie pierwszy, ledwie z mozołem chlubę mianoną partaczy. Ten na nogę utyka — tamten ma rękę bez władzy. Owemu kula koło

pluca przeszła — wyleczył się, lecz choroba została — krwią krzypie. Innego reumatyzm, zapowiedź słoty pewnej, drze po kościach — podarek z błot Wołynia. Ów ma odmrożone nogi — z czasu, gdy, zasłaniając sobą „kraje korony św. Stefana“, stał bez butów w śnieżyicy karpackiej. Tamten, chłop dawniej na schwał, wygląda jak szara ziemia, z sił opadł, ledwo, że około roli łązi — zżarła go sroga niewola. Są z okrutnymi bliznami, wyniesionymi z Karpat, ze Serbji, z nad pamiętnej na zawsze Piawy, gdzie „für Kaiser und Vaterland“ kompanjami ginęli. Są i z pamiątką z pod Verdun. — Niema człeka zdrowego, który z wojny tej wyszedł. Każdemu coś chybia. Każdy jeno ułamek chłopca. Inwalidzi. — A starzy — ci, co w chałupach ostawszy, gospodarstwa za tamtych przyzierałi, jeszcze przed rokiem tacy rzeźcy, bezmała porówni w giescie z młodymi gazdami — dziś cisi jacyś, zgaszeni, ku spokojności grobu zszarzałemi twarzami i popiołem oczu obróceni.

Lecz większą znacznie, niż we zdrowiu ciało, sprawiła wojna klęskę w duszach, w charakterach. Widoczna to każdemu, kto wśród ludu żyje, że naród ninie stał się dużo gorszy. Starsi, poważni ludzie — gdy podpórki tradycyjne one, na jakich się przez życie nieśli, im wyrwano — w sumieniach zgałga-

nieli, a większość tych, co we wojnie w terminach rozmaitych byli, to wyzwoleni czeladnicy gwałtu. Wiadomo: zło dobra nie uczy. A wojna ostatnia, to iście akademja szatana, ogniowemi przykładami analfabetom wykładana. Taki Bogu ducha winny Wojtek, Marcin czy Kuba, w mundur odziany i na ten lub owy front siłą wyższą rzucony, nie wchodził — rzecz prosta — w zakryte dlań tajnie strategji, nie miał nawet bielmem patriotycznej nienawiści pijanych oczu, lecz widział wsi i miasta palone, kłutych bezbronných ludzi, rabowany w południe dobytek spokojnego „wroga“ — i pomieszało mu się wszystko w głowie. Co zbrodnią było — nie jest. Za co sądzili — nagradzają. Nabrał tedy odwagi. Zwierz, dotąd zagrożem prawa przyduszony, w nim się ocknął. Począł rabować, kłuć, palić... Wrócił do wsi. Trochę mu i wstydno było, jak chłopięce swe obaczył miejsca, jak siebie z dawnym porównał. Okazji jednak, wesel, zajadek sąsiedzkich nie brak... Wojennych „bohaterskich“ sposobów spróbował — znów za to karzą... Drugi raz w głowie zmącony — na niczem nie stojąc, bo co miał, to runęło — do odrody już niezdatny — tak oto trwa... Piekłu, ni niebu z niego już pożytku — z huty wojny na rodną ziem wyrzucony żużel.

W innym wojna wyzwoliła złodziejskie in-

stynkta — w innym zgasła światło. Najmniej szkody zrzuciła zabitym.

A młodzież dorastająca, osłuchawszy się o „bohaterskich“ czynach sąsiadów, ojców lub braci, w zarozumiałości młodej wyżej się nad nich koguci. Sprośna wojeńska gwara, zaczepki nieobyczajne, bijatyki krwawe... Co z tej dziczy młodej wyrośnie — trwożność bierze.

Potrąciłem o gwarę. Zaiste, jedną z największą szkód, jaką wsi wojna przyniosła, to stek wyrazów brudnych, które się niemal w każde zdanie jak niewinny przypowiednik wtrąca. A młodzież łatwiej sobie te jędrne słowa przyswaja, niż szkolne tam brzęczenie.

Niema też okolicy, gdzieby nie zdarzyły się tragedje domowo=małżeńskie z przyczyny wojny. Głośniejsze nawet do pism podawano. Oto np, mąż w niewoli — donosił zrazu o sobie, potem przestał się odzywać — słuch o nim zaginął. A tu żona w domu sama, dzieciśka drobne — nie może sobie nijak bez męskiej pomocy z gospodarstwem dać rady. Przytem naciskają ją sąsiedzi: „Ni macie co czekać nadaremno. Musicie się wydać. Trza chłopą“. Nadeszła też wieść okolna, że mąż w niewoli pomarł. Rada nierada, zgodziła się wreszcie na wydanie. Wesele się akurat odbywa, gdy mąż=nieboszczyk się zjawia... Indziej znów chłop nieszczęsny, lata

długie w niewoli przebywszy i z trudem niesłychanym a utęsknieniem wielkiem do rodnej wsi wróciwszy, zastaje w domu przychówek niespodziewany: syna lub córkę lub nawet dwoje naraz. Juścić piekło.

Dla rzetelności prawdy przyznać trzeba, że i pewne dodatnie zyski wojna wsi przyniosła. Zwłaszcza w dziedzinie, w której szatan uczciwie belfruje, w dziedzinie umysłowej. Przerzucani o setki mil z frontu na front, z zachodu na wschód, z południa na północ, pędzeni jako jeńcy w nieznane, dalekie łądy dyszcza, w skwary italskie, w śniegi Syberji, ludzie nauczyli się naocznie więcej geografji, niżby im lata szkół dały; poznali słyszane kraje, ludzi różnych, różne obyczaje, inne sposoby życia, gospodarstwa — rozszerzył się im świat... Trafiają się też z pośród poważniejszych, którym ciężkie przejścia niewoli, cudowne wprost z trudnych opresyj ocalenia lub długie medytacje w czyścowym łóżku szpitalnem serce i umysły pogłębiły — iż dużo mądrzej teraz rzeczy sądzą. Lecz, naturalnie, zło o wiele te zyski przeważa.

Zaznaczyć jeszcze należy, iż powracający w tych latach z Rosji, dawni austrjaccy jeńcy, jak i za czasów polskich zabrani, to już wiatrem niedobrym zatrute jednostki, na pół zbolszewiczone. Swąd ten, którym ich dusze nasiąkły, może z postępem czasu w atmosfere

rze rodzinnej wyparuje — lecz Boże zachowaj okazji... Tęsknią oni w skrytości do tych widzianych wolności na wywrót; w unormowanej, zastanej wsi duszno im się zdaje. Wiatr od wschodu im pachnie.

— — — — —

Toby wszystko niby było, co z powojennej wsi uwadze podpada. Lecz oto staje jeszcze jedno, kto wie, czy nie najważniejsze.

Oto jakiś przygniot jest w naturze — jakby powietrze ciążyło — zesmętniał pejzaż wsi, jakby się o wiek zestarzał — na wszystkim siadło sposepnienie.

Mówi mi jeden z gazdów poważniejszych: — Powiedzcie, panie, co to jest?... Człek chodzi, krząta się niby, załatwia co uważa — a nic nie robi z ochotą, jak dawniej. Przyjdą żniwa, koszenie... Dawniej to aż pachniała człękowi robota. Huczwała wieś. A teraz ani śpiewu, ani ochoty nijakiej — odrabia się wszystko jak z musu, jak pańszczyznę. Czyby to temu, że dudków brak?... Aleć i dawniej przed wojną niejednego brak było — a człek głowy nie zwieszał — weselił go świat. A teraz jakby coś człeka przysiadło... Co na to, panie, powiecie?

— To wam na pocieszenie powiem, że nie ino wam tak ciężko. Kogo znam — nawet

i uczonych z miasta — każdy ten przygniot odczuwa, każdy się z tego bliskim spowiada. Odeszła radość od ludzi — sęp ich zżera.

— A co-by za przyczyna tego?

— Ha-no — zbrodnia się spełniła...

— O wojnie powiadacie?

— Juści.

Zastanowił się chwilę.

— Być to i może... Wiecie — słusznie wy może prawicie. Baczę, opowiadał mi ujek niezboszczyk: W osiedlu sąsiednim, w chałupie z brzegu nad potokiem stała się zbrodnia. Macocha z pasierbem, męża jej a jego ojca, zwąchawszy się, zabili... Zabrali ich — chałupę opieczętowali. Już się żadne nie wróciło — chałupa pustką stała. Bojno było — powiada — koło niej przejść. Jak szło które z osiedla do potoka z konewką po wodę, to drugiego wołało ze sobą — bało się samo iść. — Zbrodnia ta — jak zmora zaciążyła na osiedlu. I nie zelżał jej przygniot, aż pokolenie to wymarło, co pamiętało żywo ono zajście.

Tak, tak — nie zelży przygniot, pokaż pokolenie to wojenne, które winno pośrednio spełnić zbrodni, nie wymrze...

nieznanne 23/VI 1917.

SPIS RZECZY.

I. Lud w masie. — Uwagi Witkiewicza. —	
Lud a państwo	5
II. Wieś a miasto	18
Konwenans wsiowy	24
IV. Lingwista w kraju Żulów	30
V. Górale, lachy i cepry	37
VI. Witkiewicz: Po latach	43
VII. Zakopane dawniej a dziś	49
VIII. O polityce Podhala	57
IX. Czyśmy demokraci?	69
X. Sołtysi, kmiecie a żmudź	77
XI. Bartek Nędza a partje polityczne.	83
XII. Czary	90
XIII. O duchach, znakach i śmierci	97
XIV. Jasionów	105
XV. Kto jest na wsi biedny?	112
XVI. Emigracja	118
XVII. Za ziemią	124
XVIII. Bożek i jego zagroda	129

XIX.	Współzycie ludzi na wsi	135
XX.	Czytelnik i analfabeta	142
XXI.	Nieco o oświacie	149
XXII.	Czas = wychowawca	156
XXIII.	Inteligencja z ludu	165
XXIV.	Co sprawiła wojna na wsi	172

WŁADYSŁAW ORKAN

LISTY ZE WSI

Tom II



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA—KRAKÓW—LUBLIN—ŁÓDŹ
PARYŻ—POZNAŃ—WILNO—ZAKOPANE

Tłocznia
WŁ. ŁAZARSKIEGO
u Warszawie

SKŁAD GŁÓWNY:
„THE POLISH BOOK IMPORTING CO., INC“ — NEW YORK
1 9 2 7

I. CZEM WIEŚ ŻYJE?

Patrzę na błąń przestrzenną rozwiniętego pejzażu wsi polskiej i widzę jedno: bezustannie mozolący się trud, jakoby miljonowy kręt ruchliwych mrówczych, zależny od nakazu idących koleją i nawracających wciąż tym samym trybem krótkich kwadransów na zegarze niebios: wiecznie przemiennych pór roku.

Ledwo śnieg polży w końcu marca, i wiatr ciepły zawionie, gdy, musem chwil narzucając, poczynają się wiosenne prace, jak: opatrywanie sadów, wywożenie na pola nawozów, strojenie bron i pługów, zaczem — gdy ziemię słońce osuszy — oranie, sianie, sadzenie kapusty, naprawa płotów, ruszanie, okopywanie ziemniaków...

Ani sprostować się czasu — i lato za razem. Insze koleją roboty: plewienie łąk, zasiewów, koszenie łąk, koniczyn — zaczem już żniwa, naprzód żytnie, pszeniczne, potem jęczmienne, orkiszne, po końcu

w sierpniu (w górach i wrzesnia załapia) owsiane.

I już jesień. Znowu oranie, zasiewy ozi-
min, poczem kopanie ziemniaków, strojenie
opału, ścieli, międlenie lnów — i zima już,
wiodąca z sobą znowu swoje prace.

Zależnie od okolic, różne są następstwa
i rodzaje prac zkolei rzeczy, lecz kolej owa
idzie niewstrzymanie — Bożą ręką raz
pchnięte w ruch, a owo umysł człeczny tajem-
nicą swą w otchłań ciągnące, perpetuum
mobile.

Pojmany w one tryby koła konieczności,
naród chłopski w przywięzi do powszednie-
go tartaku, mielącego na trociny życie, po-
słuszny następstwu chwil, zazębiających
o siebie, nie ma czasu sprościć pleców, by się
obejrzeć po widoku ziemi, popatrzeć na
światło nieba — chyba tyle, by wróżbę na ju-
tro widzieć: — czy będzie deszcz, czy pogo-
da. W tych dwu słowach mieści się główny
kłopot i nadzieja wieśniaka.

Myśl, robotami przez pory roku nasuwa-
nemi zajęta, koło tychże się jeno obraca. Te
też są tematem rozmów przy spotkaniu. Na
wiosnę: „Czyście już posiali?“ Latem: „Jak
tam żniwa?“ Jesienią: „Czyście wykopali?
Jak ziemniaki?“ — i wciąż to samo wkoło.

Monotonję pracy, którejby jednostajności
powszedniej znużenie przez dłuższy czas

udźwignąć nie mogło, ożywia przecie rozma-
itość zajęć, zależnie od pór roku, niekiedy
nawet i przyjemnych, jak żniwa czasu po-
gody, sianokosy..

Różne też w porach różnych bywa natę-
żenie trudu. Jednak gospodarzenie na roli
wymaga ciągłej, całodziennej pilności i za-
biegania. Ośmio- czy nawet dwunasto-go-
dzinny dzień pracy jest dla gospodarza wie-
ścią z próżnujących krajów. Jedynie pod-
czas zimy, po młócce, chłop może czasu mieć
trochę: pójść na gawędę do sąsiada, poku-
rzyć fajkę bez odrywki i wyspać się dowoli.
Lecz wiosną, a zwłaszcza podczas żniw, je-
sienią, chłop musi pracować 16 do 18-tu go-
dzin na dobę — i to mu jeszcze nieraz czasu
chybia, by konieczne przy gospodarce po-
usuwać. — To też w kości i umysł, z młodu
ochotne i żywe, wchodzi po czasie niedługim
trwale, kamienne zmęczenie: iż nic się za-
iście nie chce. Życie staje się mazołem, tra-
ci barwę — w żyłach i myślach przyziem-
nych jedyna chęć odpoczynku .

Momentami jasnemi, wyznaczającemi się
barwą odmienną wśród szarych dni, niejako
milowemi słupami wytchnienia w nużącym
gościńcu czasu, są niedziele i święta, czasem
i jarmarki. Są oderwaniem się od ciągłości
trudu, poezja w tej monotonji — tem, czem
dla ludzi miejskich teatr albo kino — zara-

zem giełdą nowin z okolicy i z dalsza, ze świata. Wyrrywają też niekiedy umysł z jednostajności codziennych przeżyć wypadki zaszłe we wsi, zwłaszcza w familji, jako też zdarzenia radosne lub smutne: pogrzeb, wesele, chrzciny. Poza tem nie się w ciasność przejętych kłopotem głów jako interes żywotny nie dostaje.

Wieści ze świata, z kraju, wiadomości polityczne — zastępuje plotka. Rodzi się ze mgły doniesień, trwa uporczywie czas jakiś i wreszcie jak mgła się rozwiewa, ustępując innej. Często też podobna plotka — a im więcej fantastyczna, tem do przyjęcia łatwiejsza — jest powodem różnych obaw i niespokojnych nocy.

Przychodzi do mnie chłop z troską widoczną. Na pytanie, co mu dolega, powiada:

— Trapię się, panie, ani spać nie mogę, bo mam syna jedynaka, jedyną w domu skrzespotę, i pewnie mi go na wojnę zabiorą.

— O wojnie gadki niema. Skąd wam to przyszło?

— Gadali ludzie, co z miasta przyszli z jarmarku, że tam prawili jacyś, jako rzecz istną niby, że wojnę się prowadzi.

— Gdzie? z kim?

— Na jakiejś wyspie, prawili, przy morzu. A z kim, to wam już nie powiem, bo mi to wyszło z pamięci. Francuz, mówią, ni może

dać rady i ma wołać wojska naszego na pomoc. Jeszcze, prawią, nima roku, jak to się poczęło.

— Aha, to wojna w Maroku. — Tłumaczę chłopu rzecz całą.

— No dyć wy musicie, panie, lepiej wiedzieć, bo czytacie gazety...

Zdaje się wątpienie=wiarę mieć na wadze.

Jeszcze raz przedkładał mu, jak mogę najzrozumialej, że rzecz ta nas nie dotyczy, że obaw żadnych o jedynaka swego mieć nie może i t. d.

Odszedł dużo spokojniejszy, lecz przyduszone słowami mojemi zarzewie obaw do znaku nie zgasło. „Kto wie na pewno, co z której strony spaść może?...“

O ważnych zdarzeniach w sejmie, o zmianach w rządzie i t. p. wieś w większości albo wcale nie wie, albo dowiaduje się przez echa dalekie. Aktualność spraw tych dla wsi nie istnieje; gdy przychodzi o nich wieść mętna, spóźniona, są już odsunięte w czas przeszły, w pozarealność, jak ostatnie wiadomości, słyszane z gazet z przed roku. — Spodziewanie jednak poprawy losu skądś zgóry i to od poszczególnych osób (Witos, Grabski czy inny) wciąż się po wsiach, wbrew zawodom, tłucze. Do nazwisk członków rządu, tu — tam zasłyszanych, przyczepia wieś, zupełnie bez powodu, nadzieje lepszego jutra; około

niektórych imion wprost fantastyczne w zapadłych okolicach powstają legendy — by wniwecz wnet się rozwiać, jak powstały, innym podobnym ustępując miejsca. Np.:

Któreś z pism lwowskich doniosło, że Thugut wśród Huculów niezwykłą cieszy się popularnością. Skąd, z jakiej przyczyny? Nigdy tam, zdaje się, nie był. Zaciekawiony korespondent „Dila“ pojechał zbadać rzecz na miejscu. Stanąwszy w którejś wsi huculskiej, w Worochcie czy Woronience, poczyną z ludźmi o Thugucie...

— Tuhut! Ho! Tuhut!... — przewracają oczy tajemniczo.

— No szczoż sej Tuhut?

— Wy ne znajete, chto win je?... — Patrzą nań chwilę — i szeptem: — Kronprinc Rudolf!

Tak więc tam Thugut na Rudolfa (legendę nadziei ciemnych) zaawansował.

Wszystko z regjonów pozamglistych rządu, sejmu czy innych przywierzchnich czynników dochodzi do wsi, jak się rzekło, bałamutnem i spóźnionem echem. Wieś też nie ma poczucia współtworzenia życia, historii. Coś tam w górze poza nią się robi — lecz co i jak, nie wie — czeka jeno w obawie, nadśłuchuje, czy co na nią ciężarem nie spadnie.

Z dziedziny politycznej, przez jarmarki

wyborcze i zwykłe, przez dochodzące ze rzadka gazety, opacznie albo z wiarą przesadną (choć tylko odświętną) czytane, przecie coś niecoś do świadomości głuchej wsi przesiąka. Zato z postępu nauki, literatury nic już wsi nie jest wiadome. Niekiedy ktoś tam w kalendarzu przeczyta o Mickiewiczu, Kraszewskim lub Sienkiewiczu, przeczyta nawet powiastkę ciekawą, opis historyczny, lecz uważa to wszystko za rzeczy egzotyczno-niedzielne, w powagę kłopotu dni powszednich niczem nie wchodzące.

Niejeden pisarz ma szczęsne złudzenie, że pisze dla narodu, że naród go czyta albo słyszy. Pisze oto dla paruset, może dla paru tysięcy (którychby sala Sokoła zmieściła) — a kilkanaście milionów, t. j. w masie naród, nie wie zgoła o jego istnieniu, i prace jego najwspanialsze ani ich ziębią, ani grzeją.

Są to — jak dotąd — sprawy nazewnątrz życia wsi. Od wewnątrz zasię patrzącemu smętnie jej żywot się przedstawia: gdzie jedno, coby mogło w monotonji zajęć i kłopotów weselem często nasycać oczy i serca — piękno pejzażu, wiecznie zmienne — uchodzi z uwagi bytujących po wsze dni w pośrodku niego.

Pejzaż naokół sobie kwitnie, nasiąka barwami, zmiera i znów się odradza. A wieś ludzka żyje swym kłopotem.

II. LUDZIE WSI I MIASTA.

Charakterystyczne jest, że gdy ludzie miasta czyli t. zw. sfery wyższe zetkną się w masie z ludem pierwotnie uczciwym, to, zrazu nim zachwycone, po jakimś czasie zaczynają żabiozgodnym chórem utyskiwać i narzekać na jego zepsucie. Przykładem: Zakopane, Szczawnica, Rabka i t. d.

Cóż się stało? Cóż ten lud, zrazu przesadnie chwalony, tak raptem przeodmieniło? Nie zastanowiąż się „sfery wyższe“, co to za przyczyna, że pierwotność wsi w zetknięciu z kulturą miejską się psowa? I jaka w rzeczy ta kultura, co takie skutki przynosi?

Oto miasto powierzchnią cywilizacji, można rzec: naśmieciami dusz spotyka się tu ze zdziwioną, a przytem podpatrującą ciekawością ludu. Rozbiera się z pozorów czcigodnych, niby z sukien wobec lekceważonej natury, bezwstydnie i bezceremonjalnie jak np. wobec drzew na łące lub na otwartej plaży. Mniemaćby można, że nic prócz niewstydy ciała i bezmyślności letniskowej,

przy zarozumiałości śmiesznej, do okazania nie ma. Kultura istotna sfer tych pozostała w domu — jak znów kultura wsi wstydliwie się wobec śmiechu skrywa — jeśli gdzie się spotkają, to się mijają, wzajem dla się ślepe — a naprzeciw wychodzą: z jednej strony tandetność cywilizacji, a z drugiej łatwo chłonna, pojętna ciekawość. Nie lud to zepsuł się sam — zepsuły go w zetknięciu one „sfery wyższe“.

Jaskrawym przykładem tej istotnej klęski może być, łatwo wszędy sprawdzeniu dostępny, lud podmiejski. Zatracił on lub zatracił, jak pod Krakowem, swój strój świetny, w który Wyspiański króla Piastowicza odział, a przejmuje z targu miasta tandetne odzienie; zaczem poczyną naśladować miejskie niby wzięcie się i obyczaje ze wszystkim lichem, co łatwo w oczy podpada, tracąc kulturę swą wiekową i jej przymioty cenne. Gubi się lud o fizjognomji własnej, w rasie i w typie wyraźny, a wytwarza się jakaś podmiejska społeczność, w strojach i duszach nijaka.

Oto jak miasto „wyższością“ swą na lud najbliższy oddziałało. — U tych też ludzi miejskich, którzy przejęty surogat cywilizacji wraz ze wszystkimi ujemnymi cechy mniemają za istotną treść i wartość miasta, rodzi się, w odplacie jakby, lekceważenie i po-

garda dla prawdziwej w tem mieście kultury.

Tyle o oddziaływaniu miasta na wieś. Teraz o tych dwóch rzeczywistościach w odezwaniu od siebie.

Są ludzie, w mieście urodzeni i wychowani, którzy nie widzą nic poza rogatkami. Coś tam jest — jakiś tam świat, zrzadka zamieszkały, który ich jednak niewiele obchodzi. Słyszą z gazet, czytają o jakichś biednych czy bogatych chłopach, o jakichś tam zabójstwach, jakichś ruchach, lecz tak, jakby o Persji czy Turkiestanie czytali. Legendy różne o tej tam dalekiej wsi przyjmują chłodno na słowo; w ich to zainteresowania śródmiejskie nie wkracza. Wieś jeno widzą — i to pośrednio przez żonę, służącą — pod kątem drogości sprzedawanych na targu: nabiału, drobiu, jagód, jarzyn. Widzą wrogość wsi odnośnie do swej kieszeni. W dyskursach polityczno-kawiarnianych mówią przeto o partjach chłopskich, jako o jakiejś chytrej, wrogiej sile, idącej ławą na zagubę miast.

Ludzie zaś wsi (mowa wciąż o chłopach) miasto uważają w zazdrości swej za miejsce zabaw beztroskich albo też, w oburzeniu, za Sodomę wieczną i Gomorę. O pracy, jaka się w głębi jego dokonywa, nie mają zgoła pojęcia. — Taki człek wsiowy, znalazłszy

się w mieście dużem, chodzi jak otumaniony. Ruch uliczny, turkot dorożek, ryk znie-
nacka samochodów, działają nań przerażająco,
jak zamach nieustanny. Patrzącemu na ony
ruch, pośpiech, zgłupiałemu, nie wiedzącemu,
gdzie przed zewsząd zagrażającym niebez-
pieczeństwem, w jaką ujść zachronę, wydaje
się, że dzień ostateczny nadszedł, i wszystko
w obłędzie jakimś gdzieś bez kierunku pędzi.
Jedyną tedy jego żądzą: wyrwać się z tej sza-
lonej oblęzi i odnaleźć się na bożym świecie
w ciszy, w spokoju, we wsi.

Mieszczanin z krwi i z przywyku, bawią-
cy przypadkiem na wsi, nie wie znów, co z
sobą począć. Jest jak pstrąg z wody na brzeg
wyrzucony; bez atmosfery żywotnej, bez ru-
chu, widzi się mu, że w martwość popada.
Pejzaż wsi jest dlań rzeczą pustą, nieczytel-
ną, o wiele mniej zajmującą, niż kulisy tea-
tru. Cichość działa nań, na ducha jego, czu-
jącego się jedynie wirująco w ruchu, jak
trutka nasenna; gorzej, bo ostawia świadom-
ność bezczynności — w próżni. Nic się nie
dzieje wokół — czas jakoby zleniwiał i sta-
nął. — Nie umiając sam ze sobą bez zewnętr-
znych pobudzeń żyć, popada w gniotącą nu-
dę. Aby się z jej przycisku wyrwać, zaczy-
na się czemś interesować, zagadywać gaździ-
nę o to, o owo, np.:

— Czy ta krówka dużo daje mleka?

— To bycek, z przeproszeniem — odpowiada, wstydząc się za nieświadomość pana miejskiego, kobieta.

Nielepiej idzie z innymi pytaniami, np.:

— Ile też, gospodarzu, z tego żyta omlóćcie cie korcy?

— To jęczmień, panie, żyto już zebrane.

— Aha... a tamto zielone to ozimina?

— Nie to owies — odpowiada gazda poobłąźliwie — zwyczajnie z wiesną się go siewa..

Człek miejski, człek niby uczony, budzi na wsi pożalowanie litosne. Wyczerpawszy wnet trud zainteresowań, gnany nudą, ucieka do swej ojczyzny, do miasta.

Człowiek wsi, żyjący pośrodku przyrody, widzący na każdym kroku cuda Boże a człowieczą wobec klęsk bezradność, z religijną odnoszący się czcią i trwogą do wszelkich niecodziennych zjawisk i żywiołów, musi być ogółem lepszy niż człek miasta, a w swe siły człowiecze nieufny. Wszelki postęp techniki, ludzkim umysłem zdobyty, zadziwia go, zaciekawia, lecz podobnie jak śmiałość grzechu — trwoży. Widzi w tem nieczystą siłę, pychę, przez szatana podszeptaną, by Bogu w dziełach dorównać. Z ostrożną też zachowawczością odnosi się do tych nowych, przez rozum ludzki wykonanych cudów.

A człowiek zasię miasta, wyrosły pośród

ciasnych dziedzińców i murów, ponad któremi, głowę do góry zadarłszy, może jeno jak ponad ścianami kulis dojrzeć niekiedy jasny skrawek nieba — nie bojący się burz wobec gromochronów, gdy grad jest dlań ciekawym spektaklem — ma przez ciąg żywota swego jedynie z ludźmi do czynienia, którzy mu przesłaniają sobą jakąś tam, w szkołach na modelach pokazywaną, przyrodę. Widzi też na każdym kroku dzieła człowieczych wysiłków. Stąd rodzi się w nim przesada człowieka, homo-centriczny światopogląd, zarozumiałość zrozumiała mrówki, stojącej na zadnich nogach. Miast naiwnych radości wioskowych przy „nudnej“ orce, sianokosach, żniwach, ma swoje miejskie uciechy w kawiarniach, w variété, w kinach. I sztukę też pojmuje swoiście, do swoich poglądów miejskich, wzruszeń stosowaną. — Oazy, schrony dla myśli i ducha (jako dawniej klasztory), to pracownie uczonych; lecz i w nich rodzi się niekiedy zarozumiałość.

Dużoby, dużo było mówić w tem porównaniu przeciwstawnem. Każdy może uwagi te spostrzeżeniami swemi uzupełnić. Kwestja to wciąż otwarta, i zdaje się — przy dzieziczności uczuć, pojęć, jako też odcinaniu się wzajem wsi-miasta od siebie — jeszcze na przyszłość pogłębiać.

Rośnie mur niezrozumienia pomiędzy miastem a wsią. Kursują między temi dwoma, można rzec, światami, w wyłączni żyjącymi, legendy fałszywe, które niezrozumienie wzajemne i obcość potęgują, do wrogości je niecąc. Gorszy — powiedzmy — jest stosunek między miastem a wsią, niż nieraz między dwoma sąsiadującymi z sobą narodami. Tyleż, a może mniej — na podstawie legend bałamutnych — wzajem o sobie wiedzą.

Gdyby wieś zdołała pojąć, co z kultury rzetelnej w mieście się wytwarza, a miasto znów przyjrzało się bliżej życiu bożemu wsi — gdyby z onego poznania zrodził się szacunek wzajem, chęć wymiany swych dóbr — to kto wie... może...

Przed Szkołą przyszłości leży ogromne zadanie.

III. RASA I BEZRASOWOŚĆ.

O wsi wogóle, tak o ludziach, jak o inwentarzu, przywykło się myśleć najzawodniejszą metodą: statystycznie. Mając na uwadze jeno masę chłopską, jako tyło i tylomiljonową cyfrę, niby jednako szare, niezróżnicowane stado, myśl powszechna błąka się fatalnie, bowiem pomija to, co jest gruntem rachuby niemylnej, a dla kombinacyj rozwojowych najważniejsze: rasę.

Jakże oną rasowość w tej pospolitej rzeczy, niby w zagaju równoletnim, odróżnić? jak wyznaczyć? — Wyznacza się ona sama — gdyśmy do lasu ogół przyrównali — i różni się od mizernej jałowcowatości reszty bujniejszą ławą wyrostu, lepszym o sto gatunkiem, o wiele szlachetniejszym typem. Co z gruntu danego wprost, jako dumny włast tej gleby, strzeliście wyrośnięte — co kulturą wieków, tradycją we właściwość osobliwą, w podobieństwo wyłączne ukształcone — co w swoistej wartości przez insze

niezastąpione — co, jednym słowem, etnicznie wyraźne —: to właśnie jest urodne, rasowe. Natomiast wszystko, co jest glebie obce, nalotne lub nadwleczone, jakby przypadkowo, gdzie nie trza, posiane, z tętnią ziemi, z jej przeszłością niczem niespojone, przez zmieszanie z sietniactwem w ciele i w duchu skarłałe, — to też jest w typie nijakim marne, bezrasowe. Uzewnętrznia się to, sprawdzeniu ocznemu łatwe, jak na otwartej każdemu po wsze dni wystawie. Powiedzieć można bez uchyby, gdy o chłopstwie mowa: jaki kształt ciała, strój — taki i kościec ducha, charakter.

O rasie chłopskiej wogóle, a jeszcze jednolitej — traktować byłoby fałszem. Natomiast mówić można z uzasadnieniem dowodnym o tej to, a tej rasie, na danej ziemi wyrosłej. Na mapie etnograficznej, pod tym kątem jeszcze nienarysowanej, wyznaczyć dadzą się wyraźnie odrębne etniczne typy: Krakowiaków, Podhalan, Sądeczan, Lublińian, Łowiczan, Książaków, Ślązaków i t. d., których cechy rasowe na czoło ziem wybijają. A między tymi, jako i naokół miast, pasy, przez ludność niewyraźną, nijaką w typie zajęte. Im bogatsza tradycja ziemi i wyrosłych z niej cech odrębnych więcej, tem też tkwiąca na niej rasa w przymioty bogat-

sza i rozwojowym możliwościami podatniejsza.

Weźmy np. Krakowiaków. Któż w Polsce nie zna im właściwego dowcipu w przyśpiewkach, na weselach, chrzcinach i t. p. improwizowanych, ich gestu, temperamentu, ich stroju iście królewskiego, który niestety zanika. A Podhalanie? Przez typ swój smrekowy, przez cechy swoiste, właśnie przez rasowość, widni stali się w Polsce. „Jest to rasa — powiada Witkiewicz — obdarzona takimi przymiotami intelektualnymi, które jej nadają cechy genialności, rasa zdolna do przyjęcia o wiele wyższego typu stosunków społecznych i warunków życia, niż te, które przy dzisiejszym ustroju społeczeństwa i dzisiejszych pojęciach o zadaniach życia dostępne są dla mas ludowych“.

Pomiędzy temi dwoma zdecydowanie wyrażnemi etnicznie typami jest pas szeroki, neutralny, który zajmują ludzie bez wyrazu, słabi, sietnakowaci, nic nie umiejący, najwyżej kamienie tłuc na gościńcu, w odzieniu półlachmannem, wiszącym na tem, jak na strachu w kapuście — ni górale, ni lachy, w duszy jak w ciele nijacy. Zmieszanie na pograniczu, stracenie przynależności do określonej rasy taką półludność wydało. Cyfry to jeno, mylące sumą w statystyce, bo do niczego, nawet do wojska niezdatne.

Godnem też zastanowienia (co już w liście poprzednim pisałem), że gdzie kultura miejska styka się ze wsią bezpośrednio, psuje się rasa chłopska i niszczeje. Również przez emigrację, wojsko, ścierają się subtelniejsze właściwości rasy, kaleczy się język rdzenny, ginie swoisty strój. Przez szablony szkoły powszechnej, nieopartej na różnicach ziem, także przez niewłaściwie pojętą oświatę, przez wciskającą się zewsząd na wieś jarmarczną cywilizację zaguba idzie odrębnościom rasy. Nietylko nie widać doceniania tej wartości niezastąpionej w sumie bogactwa narodu, jaką jest rasa, lecz przeciwnie, bezmyślną i zaciekłą tendencją do niwelacji, brania wszystkiego pod jeden strychulec, upodabniania i zszarzania.

Boleje też nad tem (w uwagach swych: „Po 20 latach“) nieoceniony Stanisław Witkiewicz, widząc ten proces powszechny niwelacyjny, któremu nic i nikt nie przeciwdziała. „Czy ludzie kiedy — mówi — dojdą do tego, że roztoczą opiekę nad rasami ludzkimi, jak ją roztoczyli nad rasami zwierząt? Czy dojdą do tego, żeby wychowanie rasy ludzkiej oparło się, z jednej strony, na tych zasadach biologicznych, na których oparto wychowanie ras zwierzęcych, z drugiej na zasadach, wysnutych ze społecznych przeznaczeń ludzkości, przeznaczeń, których speł-

nienie jest ostatecznym kresem celów wychowawczych. Jak dotąd, rasa ludzka jest poniewierana i niszczona przez wszelkie czynniki, mogące wpływać na jej byt i rozwój. — Opiekować się wolno tylko starzyzną i strzępami ludzkości, fundować i prowadzić składy zniszczonych istnień ludzkich, strzępów dusz i łachmanów ciała“.

Mając na myśli szablon wychowawczy, takie przytacza porównanie:

„Ile razy widzę ogrodnika, pochylonego nad grzędami, obsypującego jedną roślinę, podlewającego drugą, podcinającego coś w trzeciej, wynoszącego inną na słońce lub chowającego jeszcze inną w cieniu, i ciągle, stale, do nieskończoności zmieniającego indywidualne warunki rozwoju dla każdego indywiduum roślinnego, a przynajmniej dla każdej grupy osobników sobie podobnych—tyle razy z przykrością myślę o tem, co się robi z istotą ludzką, jak się ją hoduje, jak przysposabia do zdobywania warunków istnienia i do spełniania wyższych zadań bytu“.

„Rasa ludzka hoduje się bez przystosowania środków hodowli do celów życia, bez uwzględnienia różnic ras poszczególnych, grup jednakich indywiduów, już nie mówiąc o tem, że nikt nie bierze w rachubę szczególnych cech i właściwości indywiduów pojedyn-“

czych. Dla rasy ludzkiej są jednakie formy dla wszystkich jednostek, formy jak na bułki lub leguminy, w których się musi wypiec najdoskonalszy, według wyobrażeń, chleb ludzki“.

„Gdyby hodowca roślin — przyrównywał dalej — zmuszał palmy, róże, fiołki i ananasy rósć i rozwijać się w warunkach kultury, potrzebnej dla sybirskiej rzepy, sądzę, że wszyscy uznaliby go za warjata — nie mniej, hodowla ras ludzkich odbywa się w ten właśnie sposób. Podczas kiedy w hodowli zwierząt domowych stosuje się najtroskliwiej obmyślany i ściśle do celów życia przystosowany sposób postępowania, z ciągłym uwzględnieniem właściwości i przeznaczenia danych osobników, w hodowli ludzi niema o takiej staranności mowy“.

I z właściwą sobie dosadnością kończy: „Nikt nie ściga się na perszeronach, ani na koniach piwowskich, jak nie zaprzęga do wozu z ciężarem pełnej krwi wyścigowca i nie używa do kręcenia kieratów arabskich źrebców. Wszyscy wiedzą, że byłby to nonsens, że byłoby to niszczeniem ras, niszczeniem ich poszczególnych przymiotów, przez które są właśnie pożyteczne — ale z ludźmi takich ceremonij się nie robi. — Hodowla czerwonego bydła jest popierana usilnie przez społeczeństwo, ale gdzie kto słyszał,

żeby ludzie zaopiekowali się rasą ludzi, żeby, uznawszy pewne jej przymioty za szczególnie dla zbiorowego bytu pożyteczne, starali się je utrzymać i zapewnić im możliwość najswobodniejszego rozwoju i najzupełniejszego przejawienia się w czynie“.

Różnice? rasy? kultywowanie onych odrębności? Ktoś (polityk lub ekonomista) uważać to wszystko może, jak się mi już słyszeć dało, za poetyckie czy etnograficzne sentymenty. Zapewne, myślącemu o „człowieku wogóle“ socjologowi przeszkadzają te „drobiazgi“. Chętnieby on chciał widzieć zniwelowanie ogólne, by mu to nie psuło na statystyce opartych koncepcyj i nie podcinało utopji szczęścia koszarowego w przyszłości.

A jednak, mimo pogardliwego odnoszenia się ludzi „trzeźwych“ do tych „sentymentów“, są one — choćby jako stwierdzenia — bardziej pozytywne dla zamierzeń przyszłościowych, niż ich statystyka.

Bo jeśli o budowę chodzi: trudno na miałkim piasku bezrasowości budować. Jeśli o twórczość: z piasku też bicza nie ukręci. Jeśli o rozwój: to w rasie jeno tkwią warunki i podatności rozwojowe — podczas gdy niejakość nijaką zawdy ostanie.

Zrozumiano to gdzie indziej — i przywrót wartości odrębnych typów rasowych (regjo-

nalizm) zatacza przeciw niwelacyjnej mi-
liźnie coraz szersze kręgi. I u nas ostatnio
wagę tych spraw, lekce dotychczas cenio-
nych, zdaje się coraz więcej ludzi myślą-
cych rozumieć.

IV. RÓD I RODZINA.

Związ rodowy, który ongiś, w początku tworzenia się skupień plemiennie-słowiańskich był podstawą organizacji państwa, z biegiem czasu rozluźnił się, stracił swoją nakaźną siłę i powagę i w dzisiejszem społeczno-politycznem życiu nie gra żadnej prawie roli, chyba jako protekcyjny, mniej chlubny obyczaj, dający się zauważyć w pozaołtarzowych przedstawieniach rządu, czy w zacieniach bankowo-operacyjnych, czy widniej w zarządach gmin.

W życiu prywatnem zachowała się do dziś solidarność rodu, choć uderza w nią rozpręż czasu w sferze arystokracji. (Związki i zjazdy rodowe Chłapowskich, Mycielskich i t. d., wspomaganie członków zubożałych rodu, zapisy testamentowe). — Mieszczanstwo u nas napływowe rodami nie stało — i, choć się wyzłociły niektóre w historii miast, medyceuszostwo ich było wyjątkowe; czas je też szybko w niwelacyjnym procesie pogrążył.

Na wsi, w pozornie jednolitej masie, wyznaczają się jeszcze w życiu spoidła rodowe, chociaż przez postęp czasu, przez zmieszanie, dużo połącznione. Rodowych od ludzi pośledniego pochodzenia wyróżnia pewne wzięcie się, gest śmiały, podufałość widoczna, postawa, choćby majątkiem byli onym równi, ba, nawet od tamtych niżsi. Rody zaś między sobą różnią się jawnemi, można rzecz wrodzonymi cechami charakteru, które taki lub inszy odrębny ukształciły typ; czas go zmienia, rysy jego osobliwe ściiera, przyciosuje, gładzi, niby oselkę podatną życiu-kosie, ale nie gubi doznaku.

Są rody prymne, honorne, są też pośledniejszej sławy. Zwyczajnie ich tradycją jest osiedlenie we wsi pierwsze. Tu byli, nim insi przyszli. Od ich imion też zazwyczaj osiedli nazwa. — Zniwelowanie ekonomiczne, warunki jednakie życia, pomieszały ich z falą napływową, toną razem w niedostatku, ale się ponad nią niesą: nie idą łacwo na dno.

W rodzie już związ się zerwał, obcy są sobie w powszedniości życia, nawet wrodzy, gdy majątkowe jakie zajdą spory — ale solidarność rodu objawia się od czasu do czasu, w odświeżnych niejako sprawach.

Gdy chodzi o przysporzenie rodowi majątku, poważania, tedy wszyscy członko-

wie — bliżsi, dalsi — odnajdują się we wspólnej pokwapie. Zdarzy się np. miejsce dobre, grunt odpowiedni, gospodarstwo duże, gdzieby córkę dać albo syna ożenić warthało, tedy wszyscy solidarnie — ciotki, strykwie, ujki — pomagają, aby kogoś ze swego rodu tam wrazić. W razie też zatargu, kłótni, gdy znajdzie się ktoś z rodu w jakiejś opresji, cały ród solidarnie, mimo niesnasek wewnątrz, za nim staje. — To wyczerpałoby manifestacje osłabłego już mocno poczucia spójni, jedności rodowej.

Z natury rzeczy, spoistszą jest od rodu rodzina — famelja, jak na Podhalu mówią. Stanowią ją objęci ścianami domu: ojcowie, dzieci, wnuki, czasem ciotka niewydana, stryk, lub ujek nieżonaty, na dożywociu w domu poostali.

Żywot rodzin — jak się tak rozejrzeć po wsi — wcale nie jest wesoły. Ekonomiczne to głównie przyczyny — niedostatek, bieda, i z nich wstały głód ziemi, łakomstwo — nie dadzą się długo szczęściu, ba, spokojowi normalnemu w rodzinie zagrzać. Jeszcze, jak rodzice młodzi i wzajem sobie ustępliwi, dzieci nie podorastały, a dziadków ani krewnych na opiece niema, to w domu względna gązduje spokojność, często i śmiech beztroski zagości. Lecz niech jeno posunie się czas, ojców przepracowanych wiek przychyli,

syn się ożeni lub córka się do domu wyda, tedy niezgoda przykra pocznie się w rodzinie, dotąd po bożemu żyjącej, podnosić.

„Dziecko potela dobre, pokiela sie nie ożeni lub wyda“ — powiada przysłowie ojców. „Syn żonaty lub córka wydana, to już wrogi“ — gorzko rodzicom wymawiają młodzi.

— Józus dziecko najlepsze — mówi matka-wdowa. — Koło gospodarstwa zabiega, pracuje, we wszystkim porady słucha, słowa marnego nie powie. Dam mu grunt, niech się żeni. Ja se głowę ulekczę. Dośćech sie już w życiu natrudziła. —

O je, Józus się ożenił — miesiąc, dwa dobrze — po jakimś czasie matka płacze.

— Tak a tak — mówi — ze mną postępuje, słowa dobrego mi nie da; powiem co, przystawię sie za temi młodszemi, to gniewu, klątw coniemiarą; wnetby mnie z nami z chałupy wygnali.

Jakiż powód tej raptownej zmiany? Zapewne majątkowe zawiści tu wchodzą, gdy dzieciom młodszym wypłat ostawiony, gdy matka wzięła za dużą wymowę, nie pisała w całości gruntu i t. d. Lecz są i insze przyczyny. — Oto obcy człek, niepili, zięć lub synowa, w dom wchodzi. Kwestja naprzód charakterów. Porna np. synowa naprzeciw pornej teściowej — odrazu starcie, piekło. A potem kwestja władzy, rządów w gospodar-

stwie. Ojciec lub matka przyzwyczajeni byli, ba, za prawo swoje święte uważali, by ich decyzja w większych czy drobnych sprawach stanowiła; a tu młodzi chcą stanowić, rządzić, po swojemu. — Synowa też lub zięć, dla majątku, a nie z innych jakichś uczuć do domu weszli, nie czują, rzecz prosta, zgóry przywiązania do nowych ojców. A matka, ojciec zawistnie znów patrzą na tych obcych, niepilich, co na ich tu krwawicę jak na swoje panoszyć się przyszli. Synowa, by się na czemś w swej obcości oprzeć, przerabia męża, zięć żonę — przychodzi do starć z ojcami. A przyczyn codziennych drobnych moc, które wzajemną nieufność, przedrażnienie do nienawiści potęgują. Gdyby usunąć pole tarcia: jedną izbę latem-zimą, jeden pospólny piec, jedną stodołę i stajnię, jeden schowek w piwnicy, w komorze — to możeby piekła w domu wyjąć przez to usunięcie najuraźliwszy ząb. Lecz jakże tu poradzić. Fatalizm rodzin: skupienie — że się razem dusić muszą — w miłości czy nienawiści.

Gruntowe sprawy przecie, zapisy, przedślubne główny mają wpływ na nastrój w domu. I one też powodują stosunek dalszy — taki czy owaki — dzieci do ojców. — Zapiśże wszystek majątek, a sobie nic nie zabie zarząd z tą klauzulą, że gdy syn będzie

nieposłuszny, krzywdzący ojca lub wrogi, to może zapis na inne dziecko swe przenieść — tedy ma jeszcze jako tako spokojne dożycie: liczą się syn i synowa z wiszącą groźbą. Ostawi sobie matka kawałek lub dwa gruntu, t. zw. wymowę, to już gorzej. Jak zgoda, zbierają wspólnie, jedzą razem. Lecz w razie nienawiści, odłączają się od stołu i na lepy młodzi — matka ostaje sama „na wymowie“. Cóż na tym kawałku pola — z temi oto trzęsącemi się dwoma rękami — poradzić?... A już fatalnie dla ojca czy matki, gdy synowi czy córce przed ślubem, rachując na ich wdzięczne dziecińskie serce, zapisze wszystko majątek, a sobie nic nie zastrzeże, nawet kąta w izbie. Nierzadko, gdy ich żalność wcześniej nie podetnie, czeka ich kij żebraczy.

Wina gałgańskich dzieci — lecz wina i ojców. Złe wychowanie złem się docześnie odpłaca. — (Ojciec oto dał dziadkowi kij i wypchnął go z chałupy. Widzi to synek mały, siedzący na progu; wziął nóż, gałąź i ostrużę z niej kijek, by ojcu znów dać, jak dorosnie).

Bywają rodziny, jakby histerją objęte, bez ważnych przyczyn swarliwe. Przejść mimo takiej chałupy, wiecznie tam wre, jak w garnku. Jedynie w razie napaści sąsiada zgoda raptowna nastaje: wszyscy solidarnie wybu-

chają nań, jak z gniazda osy. Solidarność zapomniana tu się cudownie wyjawia.

Ród zatracił swój walor dawny i znaczenie. Nie rosną w cieniu jego wysokiej powagi dumne i bujające wgórę latorośle. Nie pozierają z dufnością po sobie czołami — nie czują się w krwi żywicznej młodym rodem lasem.

A cóż godnego wyrośnie w zaduchu rodzin?...

V. MIŁOŚĆ I MAŁŻEŃSTWA.

Dziedzina erotyczna na wsi daleko mniej miejsca w zabiegach ludzkich zajmuje, niż w społeczności miejskiej, i o całą prostotę niezepsutych wątpliwem oświeceniem dusz wyżej stoi od tego, co w miastach tym urodzonym, a po stokroć nadużytym i wykalanym w błocie wyrazem „miłość“ określać się zwykło. Praca i natura w harmoniji zgodnej regulują na wsi popędy płci i święcą je moralnością celu. Wszystko dzieje się tu poprostu, naciskiem rzeczy, koniecznie, jak w „Błogosławieństwie ziemi“ Hamsuna Knuta, tej opowieści zaiste biblijnej o pierwotnie moralnem, surowem i prostem życiu.

Miłość na wsi (jaka jest i choć jej niewiele) przejawia się w naturalny sposób. — Gdy chłopcy podrosną na dufnych w siebie parobków, poczynają przybierać rycersko-kogucie pozy, poczynają się barwnie wobec dziewcząt pawić i zalecać się onym różnemi przymioty; te zaś, kiedy im wiosna siedem-

nasta minie, poczynają się częściej w zwierciadłach przezierać, więcej czasu uważnego na strojenie się obracać, a parobków śmiechem zwodnym i oczami wabić. Przy pascniu, i przy robotach, w czasie żniw, sianokosów, rozlegają się, dzwonią po lasach, po polach oświadczynami skrytymi natężone głosy — śpiewają młodzi ku sobie, jak ptacy. Jest to wiosna ich, czas zalecanek, wyboru. Któraś któremuś spodoba się bardziej, tedy atak zalecań się wzmagą. Krew młoda, niby sok żywiczny, wrząca upałem do rozmnoży, przychodzi tajnie z pomocą. Za popędem krwi, mroczącej rozum, dźwiga się pociąg wszystko — przewyciężny — w miłośnej nienawiści rzuca się dwoje ku sobie.

Tak bywa lub inaczej. Lecz zawdy prostolinijnie, podług bożej nieodpartej woli. Idealizowanie w stosunkach tych (iście niejako ptasich) rzadko się znachodzi. Lecz jeśli jest — a jest czasem — to zaprawdę warte powieści bogatej. Sam znam kilka takich, pełnych wzruszeniowych momentów, historyj. Naturalnie, że owi idealisci wsiowi są to predestynowani nieszczęśliwcy, nierzadko przez rozsądne nadto otoczenie, jako pogłupawi i przeto żartów jedynie godni, osądzeni. Trudno też te wyjątki, o poetyczną oprawę proszące, w liście, traktującym o ogóle młodzieży wiejskiej, przytaczać.

Rozumie się, że podobanie się sobie niekoniecznie musi prowadzić do bliższej (jak to mówią) styczności dwojga młodych. Nawet w przeważnej części na podobaniu się kończy, po których to wiosnach, mile wspomnianych, ostaje żal i smęt nieraz w sercu do późna w życiu; albo je też kłopoty życiowe dość prędko zgaszą. Nie sprzyjają bliższemu zetknięciu się młodych naprzód warunki, dalekie od własnowolnego rządzania się pozaocznie czasem, potem opinja domu, osiedla, wsi, która wszędowidnie ciąży nad prowadzeniem się gospodarskich córek, równie, choć z przymknięciem oka, i nad postępami pobocznymi synów gazdowskich. Dość też często zdarzają się chłopcy o latach sporych, którzy do czasu ożenku (jeśli przez wojsko nie przeszli) nic z praktyki o stosunkach płciowych nie wiedzą. Bywa znów, i to nierzadko, że gazdowski syn zamiłuje się w dziewczynie biednej (która często przez miłość o gazdostwie marzy), ma z nią dziecko lub nawet kilkoro, w myśli i jej ufaniu, że się z nią — gdy przeszkody, jakie się znachodzą, padną — ożeni.

Z tych stosunków przedślubnych rzadko jednak małżeństwa się klecą. Małżeństwo zawiera się pod innym kątem: majątku. Takie ta bzdury, jak lubienie kogoś, a nawet i dziecko, przy takim ważnym interesie, jak

ożenek, nie są brane w rachubę. Rachuje się: kielo synowa gruntu albo stówek, albo bydła rogatego w posagu wniesie, z jakiej famielji i rodu pochodzi, czy ściśliwa, zdrowa i robotna — to jest, co się widzi i zmierz, realne — a reszta to ta już rzecz Pana Boga. Choćby np. taki, wyżej przytoczony, syn gazdowski chciał się ożenić z kochanką, z którą miał dzieci — niech będzie, by najlepsza — ojcowie, jeśli nie widzą majątku, nie zezwalają. Nanic zacinanie się i upór gorączki wobec pobłażliwego doświadczenia starych. Nastreczą coś, jakiś grunt bogaty, młodą dziewczynę z pieniędzmi, widoki — i upartość młodego, jak jej nie złamią, przepiją.

Warte zauważenia, że gdy młody chłopak straci (jak to mówią) głowę dla starszej znacznie od siebie, zwłaszcza wdowy, to ta, choćby nie miała majątku, do ołtarza go — nawet wbrew rodzicielskiej woli — doprowadzi.

Trafi się także, że pociąg zmysłów czy serca zejdzie się razem z dobrym interesem; lecz to jest terno, które szczęśliwcom się zdarza; i tu jest jeszcze wątpliwość, która na dnie pożycia niedowierzaniem osiada: czy interes nie był pierwszy z tych trojga. Często pobierają się młodzi za naciskiem rodziców, wbrew upośobaniu, a najczęściej

bez zastanowy, obojętnie. I mniej się ważą przy tem — jeśli tylko o osobę przyszłej żony chodzi — niż np. przy wyciąganiu kartki z losem, która przyszłość przepowiada, u jarmarcznego wróżbity.

Jak takie małżeństwa żyją? By słowem krótkim orzec prawdę: różnie. Ogółem jednak dość dobrze, lepiej, niż dzieci z ojcami. Juścić o miłości przy takiej kontraktowej spółce mówić trudno. Znoszą się przecie wzajem, nierzadko pogodniej, niż „dobrane“ małżeństwa inteligenckie. Nie wymagają jedno od drugiego wiele, prócz pracy i zapobiegliwości, nie mając czasu analizować się wzajem i swego do się stosunku, rozważać „różnic indywidualnych“ i t. p. świdrygałków. Które mocniejsze, weźmie górę nad drugim — które mądrzejsze, przewiedzie. Nadmienić trzeba, iż siła fizyczna nie gra tu, jakby się wydawać mogło, przeważnej roli. A tak rzekomo częste na wsi „pranie“ baby przez chłopą odbywa się raczej w mózgu kalendarzowych układaczy „ludowych“ bajek.

Małżeństwa więc, klecone nieszczęśliwie, dość jeszcze żyją znośnie. Praca ich zbliża — wyrabia się wspólność interesów. Zczasem też, zwłaszcza, gdy „dzieci Bóg nagodzi“, wytwarza się wzajemne, spoistsze od miłości kruchej — przywiązanie. Charakterystycz-

ne jest, że najwięcej dzieci w małżeństwach takich rodzi się w jesieni. Ciekawe byłoby dla poszukiwaczy rzadkich tematów studjum: jak ważne zadanie spełniają -- mróz i pierzyna.

VI. NIECO O SZKOLE.

Nieraz daje się słyszeć ludzi starszych, mówiących niby ze żalem:

— Kieby mie byli do skoły posyłali, nie byłbych dziś taki głupi.

Nie bywa to prawie nigdy wyznanie szczere, ba zwyczajna przechwała, którą tak trzeba rozumieć:

— Kiebych był do skoły chodził, tobych był nie telo jesce mądry, co dziś — a dziś, jako widzicie, nic mi w rozumie nie brakuje.

W rzeczy, skoły dawniej na wsi, we właściwym znaczeniu, nie było. Ot trafił się ktoś, co umiał czytać, rzadziej pisać—i ten podczas zimowych miesięcy, bo latem mowy o tem być nie mogło, młodzież z pobliska poduczał. — Taka np. „skoła“ była u mojej Matki, w przysiołku Poręby, na Zagrońniu, która dzieci z pobliskich, rozrzuconych po potokach chałup drukowanego „ślabizować“ i czytać uczyła. — Większa skoła, prawie już w porównaniu z tamtą akademja,

była przy kościele parafjalnym, gdzie sam pan organista czytać, pisać, może i rachować uczył.

W okolicy zaś, o ile mi wiadno, był jeden jedyny „zawodowy“ nauczyciel, ba, „prefesor“ — a to w sławnej, schowanej poza lasami gminie, Jasionowie. Jaki on zawód w rzeczy miał, niewiada. Przyszedł „skądśi ze świata — powiada, że je ucony, nawet pisanie zna“ — juści go zatrzymali we wsi, coby dzieci uczył. — Schodziły się do jednej w środku wsi chałupy — i uczył je, co umiał. Za to dostawał kąt w izbie, i żywili go okółką, z pod numeru. To było zimą. Latem zaś był śleobodny. Dzieci, wiadomo, miały co innego do roboty — nikt też w ony czas o „prefesora“ nie dbał. Mógł se robić, co żywnie chciał — chodzić na grzyby, na borówki — nikt mu nie przeszkadzał.

Po takich kursach zimowych mógł umieć kto-ten przystarszy sylabizować rządki drukowane, trzymać książkę w kościele nie do góry nogami, a przy wyjątkowej pilności nawet na modlitewniku czytać.

Szacunek też w onczas dla słowa drukowanego był wielki — nie łatwo bowiem do tej tajemnicy, jako widzimy, dojść było. Dziś to już spowszedniało; czytanie, ba, pisanie nie jest tak trudną do nabycia sztuką.

Pierwszą szkołę we wsi mej rodnej otwo-

rzono, gdy ja, mając akurat lat osiem, zacząłem do niej „uczęszczać“. Uczyła nas prawdziwa nauczycielka, słuchana lub nie-słuchana przez nas „pani“. Na zawdy zostały mi w pamięci i we wdzięcznym sercu opowiadane nam przez nią legendy: o Wandzie, Krakusie i t. d. — Przenoszona do innych wsi okolicznych, ucząc w chałupach ciasnych, zakurzonych, zdarła przedwcześnie pełne świętego ognia piersi; umarła na suchoty.

Dziś osobne budynki szkolne zasiały kraj. Gęściej jednak spotyka się je koło miast, koło gościńców, kolei — natomiast w okolicach, jak wyżej wspomniana, we wielu jeszcze wsiach dusić się musi nauczyciel z dziećmi w ciasnej chałupie chłopskiej. — Jak bądź, niema dziś prawie wsi (mówię o Małopolsce zachodniej), gdzieby szkoły nie było.

Jakże lud stosunkuje się do szkoły obecnej? — Naogół obojętnie, a w części niechętnie. Pomijam rzadkie objawy współpracy ze szkołą, jako też wrogość jawną, którą gdzie niegdzie się widzi.

Jakaż przyczyna tej obojętności? — Oto nieuznawanie wagi szkoły tylo lub tylo klasowej.

Poznał nieomal każdy, będąc przy wojsku, na robotach, na własnej, jak to mówią, skórze, co znaczy nie umieć czytać lub pisać: to

też zastoi o to, nieraz bardzo, by dziecko jego (a zwłaszcza syn) pisać i czytać umiało. Lecz na tem wymagania jego od szkoły się kończą. Resztę uważa (klasy jakieś) za marnowanie czasu. Posyła dzieci, bo kazują, ale stosunkuje się do tej — nad program swój — nauki lekceważąco=obojętnie.

Co zaś do niechęci — widnej w okolicach, gdzie szkoła niedawno trwająca nie weszła jeszcze w krew — to powód jej leży (nie zmyl się) w tem, iż każą im dzieci posyłać do szkoły nietylko zimą — na coby może przystali — ale i wiosną, jesienią, kiedy roboty są w polu. Uważają to za ciężar i uznać tego w rozumach nie mogą.

Gorycz ich konserwatywna w rozmaitych wyrzekaniach, to wspomnieniach się wylewa. — „Dawniej — mówią — nie było szkoły ni przymusu, a ludzie niegłupszy byli. Trafił się światowy jaki, to dzieci bez zimę ucył -- chowali go z koleje — i było. Bez nijakiego kosztu. Nikto się tyz nauki latem nie napierał — bo przecie robota po pacierzu piersa. Sam Panbóg mówi: „Módl się i pracuj“ — a nie powiada: „uc się“. Ucyć się tyz nie zawadzi, ale przy casie. A tu choć roboty pilne — i cłek ledwo dziecka się docekał, coby mu coś dospomogło —: ni mają na to uwagi“.

Do nauczyciela zgłaszają się zewsząd o

wypisanie ze szkoły, o zwolnienie. Nauczyciel tu i owdzie, jak widzi warunki ciężkie, patrzy przez palce. Ale gdy zamiast stu lub dwustu zapisanych dzieci pojawia się w szkole po pięcioro, siedmioro — jak bywa — wtedy podaje ociągających się: przychodzą grzywny. Dopiero żale, pomstowania, które się głównie przeciw nauczycielowi, jako widnemu w miejscu, obracają.

— Coż takiemu! Ma ładne posiedzisko, — opalą go, ogrzeją, — penksya mu co miesiąc idzie — o nic sie nie strapiruje. A tu cłek i t. d.“

— To to ma być nauka? to szkoła? Ciężary ino wymyślają, coby nas do reśty zgnać. Pańskie to ino wymysły... i t. d.

Bywają istnie warunki trudne dla szkoły, jak i dla wsi. Oto np. w górskiej, rozwleczonej daleko po groniach, po załomach gminie — we środku szkoła. Z oddalonych, z końca wsi osiedli zimą dziećka nieurada przez zaspy posyłać. Zima starszych zawiera w chałupach — cóż dopiero dzieci. A wiosną znów jako i jesienią roboty w ciężkich klimatycznych warunkach gonione—: trudują się starzy, młodzi, dzieci, do ostatniego potu. Tym szkoła istnie zbytek — jak spoczynek.

Wyjątkowe to jednak warunki. Ogółem możliwość lepsza, niżli chęci.

A nauczycielstwo? — W warunkach tych robi, co może. Mogłoby zapewne więcej, mogłoby wiele. Lecz z kogoż się w sumie składa? Z części zapewne zawodowi swojemu oddanych i, można rzec, poświęconych — a w większej części dla zarobku lub przypadkowo do tego zawodu weszłych, pomijając już ujemne zgoła jednostki, które w każdym zawodzie się trafią. Lepsze postawienie przygotowawczych szkół, seminarijów — lepszy wybór ludzi pod względem pedagogicznym — byłyby tu wskazane.

Co zaś szkoła obecna przyniosła wsi? — Nauczyła większość czytać, pisać — lecz, czy oddziałała też na charaktery? Czy wychowani w niej stali się lepsi od ojców?...

VII. PRAWO I OPINJA.

— Tak mnie, wiecie — skarży się chłop w drodze spotkanemu — tak mnie haw miły mój szwagier wyrzuchiwał. Należało się mu za żonę pięć stówek, co ociec w destamencie siostrze położyli. Pieniądze te otrzymał na rękę jeszcze przed ślubem, a do tego dał siostrze krowę, jałówkę roczną, zboża do zasiewu, nie bacząc, co pochylnie od matki wybrała. Zaorałech im wiesnę, dospomogłech przy budowie domu — no i kiedy co padło, tom się od pomocy takiej czy owakiej nie cofał. Przecie siostra, szwagier... Tego się nierachowało. Ażci przychodzi kiedyś mój szwagierek: „Jak będzie — powiada — z tą częścią gruntu?“ — „Jaką częścią?“ — wypatrzyłech się nań. — „Co się należy siostrze waszej, a mojej babie“. — „Przecie — mówię — wybrała, co się jej patrzyło“. — „Ale się na to nie podpisała“. — I śmieje się mi wbrew w oczy, aż mnie złość taka prze-

jęna, żebych go był na prach zmiął, kieby nie uszedł. I słyszę, sądem grozi.

— Hm, to nie po bożemu. A każ prawo?

— Ja sie też idę o nie pytać.

Z takimi, podobnemi jak i przeróżnemi sprawy zdąża co dnia wszystkiemi drogami z promieni okolicy, pojedynką, to gromadkami, fala ludzka do siedziby trwożącego prawa, do sądu. Płyńie skrzywdzenie, by się skarżyć — złość, by sąsiada zgębić — zazdrość, by brata zubożyć — podstęp, by bliźniego podejść — i zagrożenie, jak oto powyżej, by się o prawo popytać. Zwłaszcza w dni porad w tygodniu tłumy zalewają gmach sądowy. Z jakimiż sprawami nie przychodzą! Co ta sala sądowa nie wysłucha! Konfesjonał to istnie wszystkiej nędzy dusznej — gniewu, łakomstwa, zazdrości, zła i zajadłości. Wieś z tego miejsca przedstawia się, jak jeden wrogi, niezgodą zawścieklony obóz. Ktoby stąd o ludzie sądził, do smętnych bardzo musiałby dojść wniosków. Na szczęście, jedna to jeno, dość nie szeroka ściana gmachużycia.

Juścić przy tem szukaniu prawa w sieniach sądu niezbędni są zbląkanemu chłopu pośrednicy — krętacze, adwokaci. Każda miejscina powiatowa ma ich legjon cały. Wieś ich żywi. Do nich ze wszelką strapacją po rady, skargi się udaje, no i po zastępstwo w

sądzie: bo „niewiada, jak to z tem prawem, jak je podejść, coby po myśli sprawiło“. Choć są w każdej prawie okolicy tacy już otrzaskani z sądami bywalcy, co niejednego „adukata“ przechytrzyć potrafią. Jeśli taki przypadkiem do adwokata rzetelnego po poradę z miną naiwną się zgłosi, to musi mieć w tem na pewno jakiś poboczny cel. Oto np.:

Przychodzi chłop do adwokata, o którym wiadomo było (cóż za dziwak), że spraw wątpliwych, krętych nie przyjmuje; a sławę miał znajomego z prawem: że co zapowie, to pewne. Miesiąc heresztu, to miesiąc — ani o pół dnia mniej. Przychodzi doń ów chłopina: że chce wnieść skargę.

— W jakiej sprawie? — pyta się adwokat.

Tedy chłop dokładnie, skrają orenduje. „Tak a tak — prawi — o to poszło, tak mnie mój sąsiad-kumotr wyrychtował — i całą rzecz wyklada zwolna, dokumentnie, nic nie kryjąc, jak na spowiedzi.

Na to adwokat, wysłuchawszy:

— Sprawa przedstawia się jasno. Po waszej stronie słuszność. Wy wygracie.

— To pan mecenas twierdzą, że ja wygram?

— Głową za to ręczę. Zaraz piszemy skargę.

Chłop wstał z godnością:

— Bóg zapłać. Kieło pan mecenas zarobili?

— To już po rozprawie, aż wygramy.

— Kiedy ja za poradę chcę zapłacić.

— To skargi nie wnosicie? — zdziwił się adwokat.

— Nie, ozmyśliłech się.

Położył na stole oznaczoną kwotę, skłonił się nisko, podziękował pięknie za poradę i wyszedł. Miał widać powód nie wnoszenia skargi, albowiem adwokatowi przedstawił rzecz całą... ale ze strony przeciwnika. I już wiedział, z czym iść do domu.

Ogółem, w bałamutnym mózgu chłopca jest wysokie poczucie wagi prawa. W tych chwiejnych warunkach bytu jest to jedynie coś stałego, na czym się oprzeć wobec wiatrów przeciwności można. Sam posiadacz tego skrawka ziemi, boi się wyważenia, chce trwałości — a podwaliną gruntową jest prawo. Stąd szacunek i zaufanie do tej ostoji jedynej w napaściach świata. Niełatwo też po trzeźwemu daje się przyklonić ku jakimś na demagogicznych utwierdzeniach opartym wizjom, któreby w sprzeczności z wiadomem mu prawem coś dla korzyści nawet jego obiecywały. Wprawdzie dość osobliwie i zwięźenie to prawo pojmuje, często jako prawo swoje a nie sąsiada — no, ale

gdy w łakomstwie ślepem czy zajadce, czy też niewiedzy jeno prostej przyjdzie z niem, z jego twardością surową do kolizji, tedy sąd wstępuje w to i posłuch prawu wmusza.

Wielce pomocną przytem prawu, zwłaszcza w dziedzinie moralności, jako i przeciw społecznych wykroczeniach, jest opinia. Jeśli w obyczajach i zwyczajach miejskich społeczności opinia gra rolę niemałą — to daleko większą na wsi, gdzie każdy jest na widoku wszystkich. Każdy krok, postępek ludzki jest widziany, omawiany i podług normy przyjętej z gańbą, albo też z pochwałą sądzony.

W ramach dość już wyrazistych opinij wsi całej, która się na giełdach tygodniowych w jarmarcznych i ponieszpornych gromadnych postojach ma zwyczaj uzewnętrzniać, bywa jeszcze ciaśniejsza i pilniej strażująca opinia każdego poszczególnego osiedla, która w codzienność, w każdy moment nieomal przenika. Ludzie, mieszkający tuż obok, o ścianę, widzący się ciągle na obejściu, wiedzący jedni o drugich, co w każdym momencie robią, jak nie osobiście ocznie, to przez pocztujące wciąż z izby do izb dzieci, z położenia samego są sobie wzajem kontrolą; a że każdy ze zwyczaju więcej zajmuje się sąsiadem, niż sobą, są jak dozorczy, dzień i noc wzajem nad sobą wiszący. Du-

szyć to srodze owo osiedlowe życie, w normy zwyczajy każdego jak w paści biorące — jednakowoż to najbliższy sąd i posterunek, w tryby społecznej, jednej podobności różnowidlaste natury tłoczący.

W tym lesie ludzkim dzwonią opinie różnej wartości i skutków. Jest opinia podnosząca i opinia szkodnica, zła i dobra — wszak tworzą ją ludzie. Niemało ciąży młodzieży opinia ojców, starych, jako hamulec. Waży też w społecznym gmachu, jako spoidło główne jako więźba.

Opinia zazwyczaj idzie w sukurs słabniejącym wsiowym tradycjom, lubi gasnące rzeczy konserwować. Zdaje się niechętnie zmienną, wszelakiemu nowatorstwu wroga. Żyjący długo widzą jednak postęp w opinji.

— Ba! dawniej — skarży się chłop stary — nie lażyby przed oczy ślebodnie takie Honoraki, Zuśki (ma na myśli owe „przespanice“). — Za czasów dziadka mojego — mówiono — jak która niewydana złowiła co z kim, miała dziecko, to ją przywiedli do wójta i smola włosy jej oblali, aby wstyd za nią szedł wszędy. A dziś co? Nie różni się w kościele taka od poczciwej, nik ją za to nie gańbi.

Modernizuje się z latami, ba, całkiem się nawet przeodmienia, jak widzimy, i opinja. Wiatr z szerokiego świata, przeciągi mód, światła z gościńców otwartych, w zamrocza-

ność wsi wpadające, zwiewają z niej ponurość szat, gładzą surowość jej lica, miękczą rysy. Opinia pogodnieje, nawet rozśmiać się potrafi.

Zaznaczyć trza: Opinia, tak na wsi, jak w mieście, z sumy sądów, z plebiscytu milczącego rodna, kodeksem jest nieciążącym dla przeciętności. Wyższe typy w społeczności danej duszą się w niej i dławią. Tak samo na wsi, jak w mieście. Aleć też jest i gródzą dla nadto rogatych, płotem dla aspołecznej wilczaszkowości.

VIII. SŁOWO, PRZYKŁAD I NAKAZ.

Dość często jeszcze, mimo doświadczeń przeciwnych, można się spotkać w sferze oświatowo-inteligenckiej z pełnem chwaleb- nego zapału twierdzeniem, iż słowem wykła- dowym wiele można zdziałać wśród ludu. Złudzenie to podtrzymuje się przez od- dzwięk rzekomy, jaki słowo zdarzonego pre- legenta znachodzi u słuchaczy. Zapewne, tak się może zdawać niejednemu, który objaw czysto momentowy bierze w ogniości serca za wrażenie trwałe. Chłop wysłucha, przy- chwali (cóż go bowiem nierzeczywistość ob- chodzi?), poczem zakurzy fajkę i idzie do swojej pracy. Sen przewiał, dym się roz- szedł — ostaje to, co jest istnie: sprawy dnia i pory roku.

W gruncie słowo, niepodparte realnością rzeczy, jest bardzo letko na wsi cenione. A choć, argumentami dowodne, przyjmowane bywa czasem potakiwaniem, jako prawda, to nie na tyle znów ważna, by na niej spra-

wy życia odrazu opierać. Wskazania szczytne są jakby od święta — życie zaś powszednie utartym toczy się torem.

Wynikają stąd zawody gorzkie dla nieznaających tej strony medalu oświatowych entuzjastów.

Oto taki apostoł niewczesny — coraz rzadziej niestety widziany — na prowincji... Ciska się w promieniu na wieś — co niedziela, co święto na zebraniach licznych preleguje — ufa siewbie słów, wierzy, iż małego koło, a Europę z Koziej Wólki stworzy. Po roku-dwóch takiego rozmieniania się na słowa — gdy nie widzi żadnego skutku swych „poświęceń“ — przychodzi nań zniechęcenie, a za tem pesymizm, w konsekwencji zupełne odwrócenie się od ludu. Koniec apostołstwa słomianego, strata wiary, którą był na słowie oparł.

Znałem męża dzielnego, który w miasteczku powiatowem przyjął był posadę skromną, aby móc siać ziarno słów, napęczniałych mądrością, wśród ludu. Pedagogiem był z zamiłowania. Począł więc uczyć. Gdzie zdarzyła się sposobność — w biurze, na drodze, w czytelnicy — rozwijał myśli niecodzienne, kazał. Wybierał co światlejszych chłopów z okolicy i długie wiódł z nimi rozmowy, t. j. raczej sam mówił, a oni przytakiwali. Mówił o spółdzielczych urządzeniach, jako społecz-

nej odrodzie, o ewangelicznej spółpomocy, o rozumnym samorządzie, o prywatnej inicjatywie o samo-twórczej starczalności, obywateli się w swych sprawach bez pomocy państwa i o wielu innych pięknych rzeczach. A słysząc często przychwały słuchaczy, pewnym był w dumie serca że już urobił sobie słowem zastęp spory oddanych przyjaciół-chłopów i wyznawców. Gdy jeszcze żona przydała ku temu swój czad bezkrytycznych codziennych zachwyty, zuroczył się, począł chadzać w kadzielnem samoodymieniu. Aliści był wiec polityczny — mąż stanął przeciw prądowi — i został przez „wyznawców“ swych podle znieważon. Powiał wiatr zły — wszyscy się przeciw apostołowi obrócili. Ziarna, które słowem siał, padły mimo na drogę pod nogi. Zgoryczniał w sercu — potępił — i odsunął się. Zanadto zaufał słowu, mniej czasowi.

Ba, ja sam, znający wieś, dałem się był nieraz ponieść złudzie słowa. Przytoczę choćby jedno z tych licznych doświadczeń.

Zdarzyło się przed laty, iż miano zamiar sprzedać gorzeckie dobra (8.000 morgów lasu z ziemią). Olśniła mię myśl, by je kupili chłopci, cztery gminy najbliższe mojej parafji. Zarząd dóbr skłonny był chłopom je sprzedać. Był to więc szczęśliwy traf i sposobność rzadka. Już w myśli widziałem pod-

niesioną ekonomicznie okolicę, szkoły nowe, lekarza, aptekę, składnicę towarową i t. d. za dochód z lasów w czasie niedługim sprawione. Cena była przystępna; rozłożywszy ją na gminy cztery, wypadło po 170 reńskich pod numer. I o gotówkę nie było strapienia, można było uzyskać z Banku Krajowego długoterminową pożyczkę na 3%. Chodziło tylko o drobną rzecz: o przekonanie chłopów.

Z zapalem wziąłem się do tego. Urządziłem zebrań kilka w interesowanych gminach, potem ogólne w którąś niedzielę w parafji. Mówiłem z żarem przekonującym, wszystkie dobrodziejstwa, wynikłe z nabycia lasów, dowodnie przedstawiając. — Zgłosiło się z tych czterech gmin raptem dwudziestu młodych ochotników. Reszta, t. j. prawie wszyscy nie dali się do kupna nakłonić. Natomiast gwary po wsiach urosło z tego dosyć. Mówili starzy między sobą:

— Las był nasz i będzie nasz. Mamy swoje kupować?

— Hej, to ino podrywka i nic więcy. Widać, że las ma do chłopów wrócić, toż to kupno poddają...

— Ale co on ma — jak i ten z pod Gronia — w tem, że telo za tem kupnem upałuje?

— Ba, juścić za darmo płucby nie psuł.

Powąchał się widać z hrabią i za jego interesem stoi.

Taki skutek był mej gorącości. Sposobność dobra minęła.

Trafiła się po latach okazja druga.

Po rozpadzie Austrii, jesienią w 18 roku — gdy upaństwowienie lasów zawisło w powietrzu — z tychże gorzeckich lasów przeznaczono za zgodą rządu 2.000 morgów do sprzedaży. Niepomny zranienia, jakie mię ongi za dobre chęci spotkało, rzuciłem się znów do przykłaniań chłopów, by morgi owe kupili. Tym razem jako spółka chłopska, t. j. kto się z parafji zgłosi. Po paru zebraniach, na których rzecz jako okazyjny interes wyłuszczałem, zgłosiło się do kupna s t u ludzi. (Więc jednak postęp od czasu pierwszego). Wybrano delegatów, z którymi pojechałem do miasta do rejenta dla dobicia targu. Stańło na cenie 800 koron za móg z ziemią lasu. Zatrzymałem się był w mieście, delegaci wrócili rzecz kończyć. Gdy po tygodniu przyjechałem do wsi — poruszką przeciw Żydom w międzyczasie zaszła — i spotkawszy jednego z delegatów, pytam: — Co z kupnem lasów słyhać? — Hale! — machnąwszy ręką, odpowiada. — Wszyscy się pofali. Powiadają: Polska sie otwarła, to im samo do gardła wpadnie.

— No, niechże im wpaduje.

Oto, co słowo — nawet w konkretnych, jak widzimy, materialnych sprawach rzuca — znaczyć może. Byle głupstwo, byle plotka, nadniesiona wiatrem, je przeważy. I choć tu przecie „swoj“ — „ten z pod Gronia“ pokazywaniem naocznego dobra ich przykła-
niał. Cóż dopiero gdy ktoś obcy albo z prze-
granej swojej w życiu chłopom znany przy-
dzie z loteryjno-życiową doradą!

Swego czasu Wydział Krajowy we Lwo-
wie, dla podniesienia rolnictwa, powołał był
kilku objazdowych instruktorów rolniczych,
którzy objeżdżali powiaty z odczytami. In-
struktorzy owi, uczący lud, jak ma gospodar-
zyć, rekrutowali się z byłych ziemian, któ-
rzy przez złą, albo lekkomyślną gospodarkę
majątki swoje stracili. Juścić lud słuchał ich
pouczeń z uśmiechem i kpinami. Było to
wyrzucenie pieniędzy napróżno — gdy parę
ferm doświadczalnych istotną mogło okoli-
com danym przynieść korzyść.

Tu dochodzimy — w przeciwieństwie do
puchowatości rzucałego słowa — do wagi
realnej p r z y k ł a d u. Widziałem był np.,
jak zachwalenie nawozu sztucznego (toma-
syny) na nic się nie zdało — aż ksiądz pierw-
szy zastosował go w swoim gospodarstwie,
i chłopci zobaczyli w różnicy plonów jego ko-
rzyść; tedy masowo jęli go stosować.

Gdyby słowo coś sprawiało, to słowa

Ewangelji i kazania, co niedzielę słyszane z ambony jużby do gruntu życie przemieniły. A są istnie grochem, rzucałym o ścianę. Natomiast przykład życia podług zasad ewangelicznych najdzie na pewno naśladowców lub wzbudzi zastanowienie. Mamy dowody na innowacjach we wsi, podług widzianych kędyś (na emigracji, w mieście) wprowadzonych, że tylko przykład, zły czy dobry zdolny jest na życie wpływać.

I oprócz przykładu — n a k a z. Tam, gdzie przykłady w ciemnię trafić mogą — chodzi zaś o uchylenie oczywistej szkody — a już wykłady, choć bijące, byłyby jeno dęciem pustym w próżnię — tam sprawić swoje może jeno nakaz. Nawiasem: z nakazów słownych, bez egzekutywy, niewiele sobie wieś robi. W dziedzinie takiej n. p., jak zdrowie, wychowanie dzieci, higjena mieszkań, czystość osiedli, ochrona drzew, ptaków i. t. d. nietylko nakaz z góry jest wskazany, lecz za niewypełnienie nakazu g r z y w n a — aż do skutku. Grzywna, powiem, jest bardzo postępowi służną. Sam miałem to okazję stwierdzić przy takim oto żarcie:

Jeden z moich sąsiadów wystawił dom nowy, jako zwyczajnie o dwu izbach przez sień: piekarni i świetlicy. Wykończył tylko piekarnię i zajął ją z familją, a świetlica sta-

ła wiatrowi otworem, niewykończona. Len w niej kładziono, siano, grochowinę lub zamykano na wiosnę jagnięta. Tak było za ojców jego, jak spamiętałem, z izbą starą; też w piekarni jeno się gnieździli, a izdebka zgniła, nie wykończona. Tak więc będzie i przy nowej izbie, to już widoczne. Nieraz go ponukiwałem:

— Kiedyż, Michale, izdebkę skończycie? Dałbym wam mieszkańca na lato, jakbyście jej nie używali. Ale skończcie.

— Nō, dyć trza będzie kiedy do tego się zabrać...

Mijał rok za rokiem — izdebka stała nieukończona. Nie, żeby nie miał na to, bo miał las, drzewo, deski swoje, grajcar teżby się w skrzyni znalazł — jeno poprostu niedbałość.

Razu jednego przechodził woźny sądowy mimo mego domu. Wpadła mi pewna myśl...

Piszę kartkę: „Do Michała M. w Porębie.— Jeśli pan do miesiąca nie wykończy izby, zapłaci Pan 10 reńskich kary“.

Zaczem wołam woźnego.

— Pójdzie pan — mówię — koło osiedla Michała M., niech też pan będzie dobry podać mu tę kartkę ze starostwa.

Przyrzekł to spełnić ochotnie.

Niezadługo zjawia się u mnie sam Michał.

— Podał mi haw — mówi — woźny jakieś

si pismo ze starostwa. Przeczytajcie mi też, panie, coby to było.

Przeczytałem mu tedy. Stropił się wielce chłopisko.

— Skąd oni tam mogą wiedzieć...

— Ha, no, widzicie, wiedzą.

— To dziesięć reńskich grzywny — powiadacie?

— Tak stoi.

Poskrobał się poza ucho.

— Patrzcie, patrzcie, co oni tam jeszcze nie wymanią. Człek dawniej żył i zeżył świat, i nikt oń nie strapiował... To już trza będzie chycić się roboty. Raczi majstrowi zapłacić...

— I ja tak uważuję.

Do miesiąca izba była skończona.

IX. ŚWIĘTA JAKO BARWY ROKU.

Kto zna choć trochę wieś naszą, ten wie pewnie, czem są dla niej święta; i jak trudno byłoby ludziom wiejskim znieść jednostajną można rzec: katorżną monotonię dni pracy gdyby nie te bukiety przerw. Bo zaś — święta są barwnymi momentami w szarości uprzykrzonej czasu. Są, niby oazne chłody w spiecu gościńca, stacjami wypoczynkowemi dla ducha i ciała w ciągłości robot. Utylitarnie mówiąc: są jak rodzinny, nagrodzone w jęczmiennym placku żywota.

W mieście nie odczuwa się tak znacznie wagi życiowej świąt; nie różnią się innym światłem od powszedniości, jak jeno zwolnieniem tętnem ulicznego ruchu, poobiednią nudą rodzinnych siest i ożywieniem wieczornych lokali — podczas gdy na wsi mają dni świąt szczególnie miłą, osobliwą barwę, i są wobec dni powszednich, jak niebo znagła błękitem rozśmiane, wobec nudnej, ołowianej słoty.

I święto na wsi, to nie znaczy tylko, że w kościele odprawia się uroczysta suma z nieśporami, a ludzie po tygodniowym trudzie zażywają upragnionego spoczynku, lecz w całej naokół naturze — pejzażu ziemi, licu nieba — czuje się nastrój dnia osobliwego. Wyjść n. p. w pola w dzień czerwcowy, w godzinie kupołudniowej, w czasie sumy: jakież nastroszenie dziwne przywita zmysły, niby struny, tłumikiem ciszy zsubtelnione! Trawy wstrzymały oddech — zboża, jak las złocistych kmieci, chylą ściężałe kłosa pod blask monstrancji słońca — muszki nawet przestały gędbę powietrzną: wszystko przeima niezwykle, podniesienie — rzecz możliwa — uciszenie. Po łąkach kwiatnych, po głowach pól, po miedzach, pachnących macierzanką, miętą, chodzi pogodne, wszędy widne, darzące wszystko naokół ukojem, tęczowo: błękitne Święto.

O różnym charakterze są też dni świąt, jak i o różnym kolorycie. Niedziele nawet niejednaką mają barwę; inne są w poście, inne na adwencie, inne w maju. Koloryt ich o nateżeniu jasnym czy żałobnym pada refleksiem na powszedniość dni i przyczynia się do zbarwienia czasu. Inszy nastrój Gorzkich Żali, inszy rorat, inszy majowych nabożeństw. Poezja to o różnym nastroju, umilająca pochod dni i odwodząca myśli we

świat inszy od powszedniego jarmarku żywota. A dopieroż ważniejsze nagody świąt! — Święta Matki Boskiej Siewnej, Zielnej, połączone z powagą zasiewów i uciechą żniw; Zielone Świątki, z majeniem uroczystem chat, z ogniami po górach, z rozkwieceniem całej natury; Boże Ciało z wykłosem pszenicy, która się w chleb Pański w Tajemnicy ołtarza przemienia; Wielkanoc z zmartwychwstaniem życia z pod mrozu zimy z powszechnem w przyrodzie i w sercach po długim poście: alleluja!

Są święta one zaiste niby smugi świetlne, padające miotłami promieni z okna niebios i przenikające jaśnią żywą izdebny przymierzch powszedniości.

Najweselsze są ze wszystkich święta Bożego Narodzenia. Mają one w nastroju wyjątkową barwę. Szatę ich śnieżną można malować jako bajkę, kolorem białym i niebieskim z przydaniem fioletu. Złączone są z ich jawą półśnione obrazy zimy: okiść biała na drzewach — ślady stóp niebieskich w śniegu — świeczki wilcze w noc wyiskrzoną mrozem — kolędnicy...

I przez to jeszcze mają osobliwą wagę, że są niejako zwrotnicą na zegarze czasu. Zamykają kalendarz — otwierają Rok Nowy — po zakostnieniu zimy wnoszą ożywczą nadzieję, gdyż dnia z niemi przybywa. A po-

zostają nieprzybladłym, żywym i wzruszającym obrazem na całe życie, gdyż zespolone są najbardziej ze wszystkich chwil z pamięcią domu, dzieciństwa. Nastrój ich, ongi przez duszę dziecka wrażliwą wchłonięty, gdy trzeźwością rozpylone pogasną insze z onych lat radości, nie traci zgoła w postępie czasu swej barwy. Prawdziwie nawrotną co rok zastawą niebiańską goszczące wędrowca strudzonego — Gody.

Różne też z pamięcią trwałą świąt Bożego Narodzenia łączą się obrazy wspomnień. Bowiem, ile ziem, okolic w Rzeczypospolitej, tyle odmiennych zwyczajów, związanych z temiż świętami. Etnografja zanotowała jeno kilka typów tych zwyczajów (jak np. kołędnicy z szopką, z gwiazdą, z gwiazdą i turoniem), reszta czeka — ba, gdyby czekała! — odmienia się lub ginie, niezannotowana. Wskazane byłoby, żeby z każdej okolicy, z każdego nawet kąta (bo różnic tyle, ile parafij, zwyczaje te i dawniejsze, z lat młodych zapamiętane, do odnośnych czasopism podawano — i może kiedyś z zapisków tych mógłby syntetyk obraz stworzyć: Boże Narodzenie w Polsce. Jak do dziś — mamy jeno ciekawe fragmenty.

Jednak, od strony etnografji rzecz ujęta, tę chybę niestety ma w sobie, iż brak w niej najważniejszego: nastroju. Tego, co się opo-

wiedzieć nie da, co jest zwiewne, nieuchwytné, a co się czupe. Czuje to tak samo pasterz, jak król. Porówni też ongi znaleźli się w Betlejem w stajence. — A nastrój właśnie o pachności niebiańskiej, osobliwej, jak dym z niewidzialnej kadzielnicy, rozsnuwa się naokół dni świąt Bożego Narodzenia i przenika tąż samą betlejemską wonią zwyczaję, do tych dni w roku przywiązane, barwiąc je przytem jakąś pasterską iście naiwnością, mądrością dzieci, Bogu miłą, tak osobliwowie: iż w innym czasie, wyjęte poza ów nastrój, raziłyby, jak taniec w kościele.

A właśnie w dzień Bożego Narodzenia tańecznie niesie się dusza. Tańcami są też nudy kołęd.

„Bóg się rodzi, moc truchleje,

Pan niebiosów wywyższony —“

— to staropolski wspaniały polonez, który z pęknięciem podwoi, łańcuchem robron szerokich i zamaszystych kontuszów, wkracza triumfalnie, niby rzeka spieniona, do sali...

Inne — to obertasy, mazury, krakowiaki, polki. Lud je też z zapalem śpiewa, czując, że z niego na weselu duszy się zrodziły. Sam Bóg, groźny na adwencie, daleki—wysoki, w tych dniach staje się Jezuskiem małym, Dzieciną drogą, bliską ludziom, wszystko przebaczącą — a oni oto bawią się z ufnością, bo Bóg—dziecina zszedł między nich; bawią

się i przyśpiewują wesoło, skocznie, jak na chrzcinach. Są przyośmieleni.

Czasem poprawdzie za daleko ta śmiałość się posunie. Oto chłopina podpity, spóźniewszy się na jutrznię, gdy wszedł pod chór do kościoła, a organista właśnie uciał z góry: „Pasterze bieżeli...” — nie namyślając się, objął pierwszą z brzegu babinę ramieniem i puścił się z nią w tany... Kiedy indziej strach by go, choć i podpitego, wstrzymał. Lecz w nastrojeniu tej chwili — gdy pajak lśni świecami — ksiądz w kapie jasnej — ściany radością tłumu huczą — organy skocznie grają — nawet aniołki puciołowate w stalach chóru dmą na fujarkach, aż im policzki pęcznieją — jakoż spokojnie ochotnemu ustać?... Ufać można: wybaczył też ochocie jego Bóg dziecina.

Obyż ludzie stali się dziećmi. Obyż nastroj niebiański świąt Bożego Narodzenia wniknął w ich dusze trwale, przeniknął w dni powszednie roku.

Udzieliła mi się, widzę, naiwność wspomnień dziecinnych i przesłoniła — jakże mądrą i jak smutną — trzeźwość. Jak dotąd i jak pewnie zawsze — święta Bożego Narodzenia będą jeno momentami nastrojowymi w kole czasu, barwą osobliwie piękną w szarości roku.

X. WIERZENIA DAWNE. ZABOBONY.

W dziecinnych moich latach wiele nasłuchałem się był opowieści o boginkach, planetnikach, topielcach, strzygoniach i innych dziwostworach. Żyli ludzie, którzy je ocznie widzieli; byli też, którzy dowodnie świadczyli: jako ojcowie ich albo dziady mieli z niemi sprawy.

O boginkach wiedziałem, że w trzęsawiskach, młakach mają pałace wspaniałe, że się rade pluskają w potoku, że są złośliwe, że czasem matkom nieostrożnym przemieniają dzieci, t. zn. porywając dziecko człecze, a ostawiając swoje. Słyszałem: opowiadał stary chresnyociec (a jakże chresnyojcowi nie wierzyć?), że je widział na oczy, jak prały w potoku; a zejrzawszy, goniły go, że ledwie uciec zdołał.

O planetnikach-kosmaczach różne były gadki; jako z chmurami narabiają, sprowadzając deszcz, burze, powodzi; jako grad we worach ciężkich sekretne sposoby zbija-

ją; jako płótna mgieł po ulewie na powietrzu suszą. Mogłem ich też oczami oglądać, jak się na chmurach przedwieczornych, niby olbrzymy kołtuniaste wożą.

O topielcach słyszałem kilka opowieści. Najczęściej: szedł ktoś wieczorem, albo wracał skądś, wypadło mu przechodzić przez ławę na rzece albo koło jazu: a tu topielczyk (chłopiec nagi), siedzący na jазie, za zbliżeniem się onego ciska się do wody. Nic złego nie miał mocy czynić — chyba, gdyby ktoś spadł z ławy, albo, kąpiąc się, naszedł na wir: tedy topielec miał walor wciągnąć go w głębinę.

Z tych stworów strzygoń (pog. Triglaw) był dla wyobraźni dziecka najnieprzyjemniejszy i zwidywaniem się po nocach straszący. Opowiadano: Wracał chłop wieczorem w zimie z torbą mąki na plecach ze młyna. Wyszedł na palenicę pustą, krzakami i jałowcami zrzadka porośniętą. Księżyc ómawo świecił, — chmury poprzedeń mknęły. Obejrzy się chłop zniemacka i widzi pędzącego ku niemu strzygonia (postać bez głowy, dzierżąca głowę pod pazuchą). Ba — któżby się nie przeląkł! Cisnął chłop torbę — i w ucieki. A strzygoń za nim. Chłopu ze strachu nogi zostawały, ale rwał co sił pod górę, by ujść pościgu. Osiedle przecie było blisko — wpadł do pierwszej z brzegu sieni

i zaparł drzwi za sobą, osuwając się małozryw na ziemię. Strzygoń nie miał waloru wejść.

Mniej już trwożącym, a nawet nieco i humorystycznym wydawało się nam, dzieciom, siodło. Była to stwora, jak z opowieści można było wymiarkować, wielkości kota, o kocim też wyrazie łba, a nogach kaczych. Miało ono walor przysiądać ludzi w półśnie. Zwłaszcza przyplątywało się nocą ku człękowi spoczywającemu po zmordowaniu dziennem. W mażeniu sennem leżącemu słyszeć się nawet nieraz dało, jak szło ostrożnie na kaczych łapach ku niemu: cap—cap. Naprzód wgramoliło się na stopy — i już nogi po kolana martwe. Poczem jęło się posuwać ku piersiom — a wraz bezwład ogarniał ciało, członki wszystkie. Gdy wtłoczyło się na piersi — władza człeka doznaku odeszła. W świadomości spoczywa, lecz ani ręką, ani nogą ruszyć — i, choćby krzyczał nie wiem jak, dźwięku wydać nie może. Nie przywróci się władza, aż siodło go opuści. — Mieliśmy parobka-służącego którego siodło często przysiądało. Nieraz, gdym nocowałem latem na piętrze stodoły na sianie, słyszałem, jak je witał zbliżające się: „Tuś psiakość!“ — i coraz słabiej przeklinał, coraz słabiej — aż głos się przysiadłemu stracił. Raz, mówi, dopadł je, nim go zdążyło przysiąść i cisnął z pię-

tra na boisko. Nazajutrz na tem miejscu, gdzie spadło, była jeno odrobina smoły.

O różnych jeszcze złych siłach, więcej lub mniej złośliwych stworach, osłuchałem się w dzieciństwie. Niedawny czas — a mało już z tych sił niesamowitych w wierzeniu ludzi pozostało. Jakoś to wszystko z otwarciem wsi na przestrzeń świata — jakby z otwarciem drzwi stodoły — po kątach mrocznych ponikło. Mądrzej stało się i nudziej. Nie umieli sobie ci, co zaznali jeszcze mocy owych zjaw różnych, wytłumaczyć, skąd to tak nagle a nieznacznie wszystko się gdzieś pochowało; jakby było jeno złudą zmysłów, w co uwierzyć trudno przychodziło. Więc powstała opowieść, do dziś się tłukąca: iż zaklął je jeden, mający osobliwą władzę, Ociec święty (pono Pius IX) i przez to władzę straciły. Stały się jako cienie, chroniące się lękliwie po mroku. Pozapadały w podziemia, w deprze, w młaki — i już się oczom ludzkim, przynajmniej w postaciach dawnych, nie ukazują. Są wprawdzie jeszcze miejsca wyjątkowe — w każdej niemal okolicy — gdzie „coś“ się kryje. Koło takich miejsc przechodzić, zwłaszcza nocą, jakoś — mówią — obdziorno, straszy. Ale to już jeno miejsca puste, gdzie „coś“ mieszkanie miało; ostało po tem powietrze dziwne, atmosfera.

Niedawny czas. Jeszcze Witkiewicz przed laty dwudziestu paru w spostrzeżeniach swych odnośnie do góralszczyzny zauważa:

„Religja chłopska nie jest ściśle taką, jakiej uczy katechizm; jest ona dotąd związana z innemi pierwiastkami, albo dawnych wierzeń, albo też z dodatkami i zboczeniami, wynikającemi z potrzeb psychicznych, których religja, nauczana w szkole i kościele, nie czyni zadość. Zabobon nie jest niczem innem, tylko takim dopełnieniem religji, która nie jest w stanie przeniknąć i oświecić wszystkich tajnych zaułków pierwotnej duszy. Zabobon, czyli reszta dawnych wierzeń lub nowo powstałych sposobów wyjaśnienia, drażniących umysł i uczucie, powikłanych tajemnic bytu, łączy się z religją z katechizmu i wytwarza splot pojęć, który jest nieraz bardzo daleki od ścisłej zgodności z dogmatyzmem. Nowe pokolenie przystosowuje się wprawdzie coraz bardziej pod względem obrządkowym do Kościoła, lecz uczuciem dorabia do religji urzędowej to wszystko, co wydaje mu się potrzebne, żeby byt jego był możliwy, żeby znalazł dostateczną oporę w powikłaniach życia. Religja chłopska jest rzeczywiście szczególną religją, pełną nadzwyczajnego interesu dla badaczy. Lud wierzy w Matkę Boską Kalwaryjską i Ludzimierską, ale też wierzy w czy-

szcząca i zbawczą siłę ognia i wody; wierzy w „plugaca, który jak raz okiem chluśnie“, to urok się człowieka chwyta; wierzy we Wszechmoc Boską, ale wierzy i w dziewięć wągli puszczonej na wodę; szuka on opory i pomocy w „mentalikach“ kościelnych, jak i w „niespodzianych krzyżykach“ (swastykach), któremi znaczy sprzęt każdy; wierzy on, że „cosik“ strzeże zbójnickich pieniędzy, a cosik innego zbawia duszę. Wszędzie otacza człowieka to „cosik“, ten świat tajemnic, wszędzie uderza jego umysł niepewność i niejasność stosunku przyczyn i skutków, które wyjaśnić lub którym zapobiec może Pan Jezus, Matka Boska lub „cosik“.

Racjonalizm życia współczesnego, przeciskanie się pojęć ze świata do najbardziej załesnych zakątków, przeredzają, niby miotyłki wpadłych w stodołę promieni, schronne w mroku ścian wierzenia. Co zdawało się tajemniczem, widzi się kątem ściany i podłogi z rzuconą mierzwą barłogu. Rozczarowanie pewne z rozjaśnienia — ale to już tak w odpłacie: za wiedzą pustka się chowa. Któżby ducha w południe szukał?

Lecz nie tak prędko stanie się pusto-wiednem życie. A już rolnik nigdy chyba racjonalistą zupełnym nie będzie. Wciąż ma do czynienia z niewiadomem. Deszcze, posuchy, grad, powodzi, zaraza polna, pomór na

żywinę — wciąż czyhają na jego pracę i przychówek wrogie, nieznane siły. Loterją jest każdy zasiew, każde poczynanie. Warunki te, w jakich żyje, zależność nieustanna od niewiadomego, klęski żywiołów, nieszczęścia, budzą niepewność ciągłą i obawę, a te znów każą szukać porady i wytłumaczeń u wszystkiego, co w wyobraźni stworzonej podpada. Zabobon ma tu trwale podatne podłoże. I pokąd nie wynajdą gromochronów od klęsk, płotów przeciw epidemjom, zarazom, a recept przeciw nieszczęściu i śmierci, zabobon ze wsi nie zniknie.

XI. O LEKACH I LECZENIU.

Niejednemu zapewne zdarzyło się nieraz widzieć psa, jedzącego trawę, jako środek pomocny przeciw jakiejś tam dolegliwości. Jeżeli stworzenie to, jak i inne nie roślinożerne, instynktem doszło do poznania leczniczych właściwości poszczególnych traw — cóż dziwnego, że człowiek, wszystko próbujący, od samego zarania swojej na ziemi istności używać począł roślin, jako leków. I drzewiej, w pojedni żyjący z przyrodą, większe ich znał zapewne bogactwo, rozróżniał ich cudotwórcze, jak szkodliwe, jak zgoła tajemne własności. A zwłaszcza specjaliści: kapłani, baby-wróżychy, znachorzy mieli moc ich czarów w ręku.

Zczasem, gdy człowiek zhardział, zubożyła się powszechna w tej dziedzinie wiedza, przeszła w strzępach dotrwałych w medyczne podręczniki — zwłaszcza, którzy stracili doszczętnie kontakt z przyrodą, ludzie miasta, nic już z tej żywej apteki nie znają —

na wsi jeszcze płacze się, ale bałamutna, nie mająca dawnej wagi i coraz to z latami uboższa.

W okolicy mojej, pomnę jeszcze z lat młodych, były w używaniu: zerwaniec na zerwanie — kurdybanek lub mięta na oberwanie — centorja, piołunek lub skrzyp na bóle wewnątrz — kolkowe ziele na kolki — szałwja, polej z mlekiem na krzypotę — macierzanka do kąpieli — chleb z macierzanką na czerwonkę — żywokost na złamanie (ręki, nogi) — ochwatnik na ochwacenie — liście babki na wrzody — bobownik albo mech ze studni (gdzie słońko nie świeci) na ból głowy.

Prócz tych leków ziołowych, doświadczonych, znanych każdej babie, były inne (jakby przez dowcip czyjś lub przez złośliwość wędrownych obieżyświatów podsunięte), jak: psie sadło na zerwanie — olbrot na oberwanie — zajęcze lub borsucze sadło na żylaki — skórka świeża z królika na różę — świstacze sadło na dusznotę i na wszystko — smocza krew, już nie wiem na co. I ponoć to wszystko pomagało. Tak twierdzili doradzający.

Z zabiegów leczniczych najpowszechniejsze jest na wsi smarowanie. Są w danej wsi specjaliści „smarowace“ — baba czy chłop, lecz częściej chłop, bo trza, mówią, siły nie-

małej ku temu — którzy z tego procederu niemały ciągną „prefit“. Dnia niema, by ich do kogoś nie wzywano. Cokolwiek komu dolega: oberwanie, zapalenie ślepej kiszki, kamienie żółciowe, słabość serca — „smarowac“ pierwszy staje ku pomocy. Gdy ofiara zgaśnie — bywa — pod jego dłonią stalową, powadze smarowaca nic to nie ujmuje; albo go — mówi — za późno wezwano, albo chory miał umrzeć i kwita. Zawdy on z godnością swą ostatek.

Opowiadał mi znajomy proboszcz:

Wezwano go do baby umierającej. Pojechał więc, opatrzył kobietę św. Sakramentami, a widząc wśród zebranych w izbie znanego „smarowaca“ z zawiniętymi jeszcze rękawami, wpada nań zgóry:

— Toś ty ja, gałganie, odbył!... — Poczem, schylony nad kobietą: — Gdzie was to boli?

— O tu, jegomość, tu słabo — wskazuje chora na dołek pod sercem.

Na co smarowac ode drzwi z powagą:

— Tam-ech jesse niedosed! (Bowiem od stóp zaczynał).

Stawianie pijawek powoli przepada, natomiast coraz gęściej uczą się stawiać bańki. W początkach z temi bańkami to też były historie różne. Nie szukano tu szklanek, lecz co było pod ręką: garnuszki, ba, nawet trafiło się, jak babie jakiejś po porodzie postawio-

no na żywocie gliniany garnek. Juścić taką „bańkę“ trudno było odjąć; trza było garnek stłuc.

Gdy bolenie nagłe pod piersiami w dołku kogoś chwyci, to znaczy, że ktoś oczami niedobremi urok nań cisnął; tedy najprędszy ratunek w odczyniającej. Ta odczynia w ten sposób, że upuszcza do garnka z wodą dziećwieć jarzących węgli, każe tej wody słabejmu się napić, potrzebę, gdzie boli, szepcąc przytem naprzód i wstecz — w czem właśnie ma być cała waga — słowa jakiejś formuły sekretnej. Nie słychać było, by komuś miało to nie pomóc. Choć już ze rzadka teraz komu urok się przytrafia; niknie też odczynianie.

Różę zaś, gdy się przymitwa do ciała, tak znów zażegnawaczka zażegnuje: stula trzy gałki ze lnu, poczem zapala je kolejno, przytyka płonące do miejsca różą zajętego, przyczem czerwoną chustą płomień z ciała zgaśnia. A tak ogień róży ma być, jako ten płomień, zegnany.

Słyszałem też z okolicy Rabki, jak czynią próbę na chorym: czy czarów nie przeszedł. (Zachodzi to przy chorobie, której trudno przeznaczyć). Próba ta tak się odbywa, że kładą nogi chorego do naczynia z wodą, do którego napuszczają mrówek. Jeśli mrówki, łażąc po nogach chorego, idą wzwyż nad kolana,

to czarów w tym wypadku niema — jeśli zaś wracają od kolan, to na pewno czary poczynione.

W różnych okolicach różne mają w użyciu lecznicze zabiegi, mniej lub więcej naiwne, niekiedy, widzi się, po jakiejś wiedzy straconej ostałe, a z mrokiem guseł spojne. Jeżeli zaś o dorady chodzi, to jest ich moc niewyczerpana, bo tyle prawie, co i ludzi. Prócz poszczególnych, były i są okolicami środki uniwersalne na wszystko — jak balsam kapucyński lub Pain Expeller. Niemałą też rolę gra, jako pomoc doraźna, woda święcona, a w chorobach przewlekłych, gdzie środki żadne nie pomogły i cudu potrzeba, z wiarą skuteczną, zwłaszcza przez niewieścią rzeszę używana, cudowna woda z Lourdes.

Do lekarza w rzadkich wypadkach chłop się zwraca, i to zazwyczaj wówczas, gdy wyczerpano już wszystkie zabiegi lub gdy śmierć na ramieniu. Zrozumiała w tych warunkach bezskuteczność interwencji lekarza nie utwierdza też weń wiary; zaś sporadyczne przypadki powodzeń niezdolne są przeciwko powszechnej doń, w krew opinii niejako weszłej, nieufności. No, a głównym odradcą wzywania lekarza jest — honorarjum. Od adwokata to chłop w zajadce nie cofnie, ale od lekarza — gdy tylko chorość jest

w domu — prawie zawsze. Musi już być duża góra, nim się zdecyduje po niego pojechać.

Daleko większą rolę gra w życiu chorzejącą daną okolicy — apteka. Aptekarz, to przecie prawie „dochtór“. Do aptekarza zwracają się ludzie śmielej i w zaufaniu większem, niż do lekarza, z różnemi swemi i swych bliskich dolegliwościami. Aptekarz „zorientowany“ może cuda działać w okolicy; może wyrabiać „krople zbawcze“, „maść uzdrawiającą“, a jeśli ma w aptece swojej takie rzadkie rzeczy, jak „smocza krew“, to już może liczyć na pewno na duże powodzenie. Musi też, chcąc być popularnym, liczyć się z wymogami pacjentów: dodawać choćby pozór guseł przy wydawaniu leków.

Opowiadał mi aptekarz znajomy z miasteczka powiatowego: Ma on specjalną „maść na wole“, już w okolicy rozslawioną. Zdaleka, z drugich sąsiednich powiatów zgłaszają się doń ludzie po tę maść cudowną. Ba, maść — nie w niej samej rzecz, lecz w czem inszem. Oto sam wołowaty nie może przychodzić po nią — lecz krewny, sąsiad, kto bądź inszy ma ją kupić dla niego. I aptekarz, gdy pudełko z tą maścią wydaje, nie może wręczyć go wprost kupującemu, lecz ma je położyć na ziemi i kopnąć w stronę kupiciela.

— I pan to czyni? — spytałem.

— A jakże. Inaczejby nie kupowali.

Do znachorów=lekarzy udają się ludzie w ważnych i uporczywych chorobach, co do których jest podejrzenie, że z nieczystymi siły mają związek.

Różne, przeróżne są leki na wsi, jak i sposoby leczenia. Mrok w tej dziedzinie jeszcze gruby. Lecz przy otwarciu wsi na przewiew wiatru ze świata rozsądek, rozum coraz częściej przychodzi do głosu; gusła, zabobony dawne tracą powoli moc swoich form, bledną; zmywa je w postępie powolnym a ciągłym czas=wychowawca.

XII. O KRADZIEŻY.

Spotkać się można często, nawet u ludzi skądinąd rozumnych, z ekonomiczną, bo trudno ją inaczej nazwać, opinią, że „wszyscy chłopci, to złodzieje“. — Sporadyczne, a choćby gęste, lecz lokalne w tej dziedzinie czulej przydarzenia, tu się zwykło z jakąś satysfakcją apriorystyczną, klasową czy stanową, pochopnie generalizować. Nie dziwno jeszcze, jeżeli sąd taki wypowiada właściciel obszaru ziemi, użerający się ze służbą folwarczną i z łakomymi na „dworskie“ kmiotkami-sąsiadami, ale jeżeli pozwala sobie na taki osąd generalny mieszczuch jakiś, który z chłopem mniej ma styczności, niż z woźnym, albo, co gorsza, inteligent, w pierwszym lub w drugim pokoleniu synów, — to już zaprawdę zakrawa na czelność. Niewart taki pan swych ojców.

Popęd do kradzieży jest właściwością u ludzi pierwotną, jest też świadectwem ni-

skiego stopnia rozwoju. Wiadomo, że wśród plemion dzikich złodziejstwo niesłychanie kwitnie. — Zapewne instynkt głodu był tem pierwszym pchnięciem, które człowiekowi pierwotnemu wskazało kradzież. Żywność trudno było zdobyć, a łatwiej przygotowaną przez drugiego porwać. Silny brał ją przemocą, słabszy podstępnie kradł. Przy powodzeniu rozszerzono kradzież i na inne przedmioty użytku. Zczasem weszła w krew, jako nieprzeparty pociąg. Dużo wieków trza było, społecznych ustaw i kar, nim wzięto ją pod nogi. I długiego wyrostu człowieka, nim trybunał moralny jego duszy zapanował nad tym pierwotnym popędem. Gdzie kultura ogółu wysoka, wysokie i jednolite uspołecznienie (Szwajcarja), tam nie ma słuchu o kradzieżach.

A jak na wsi naszej sprawa ta się przedstawia? Można powiedzieć: jak społeczność wsi — zmieszanie i bardzo różnie. Społeczność wsi, jak wiadomo, jest gamą indywidualów o dużej rozwojowej skali — od kretyńców do jednostek duchowo wysokich. Stopień moralności zależny jest od stopnia rozwoju. Są więc jednostki o wyraźnych instynktach złodziejskich, są też, którzy się z onemi wobec kodeksu opinii tają, lecz większość przygniatająca (od stopnia przeciętnego w górę) posługuje się w postępkach

swych dość wysoką moralnością społeczeństwa.

Mówimy o wsi powszechnej, nie wyjątkach. Bo, jak się trafiają wsie, gdzie kradzieży nie ma wcale, albo są rzadkością, tak są znowu okolice o specjalnych złodziejskich przymiotach.

Ironją to było złośliwą (choć mimowolną), iż wielkiej poetce naszej, idealizującej w swych wierszach „Na fujarce“ lud, w takiej właśnie okolicy kupiono w „darze narodowym“ dworek.

Ze zrozumiałą ciekawością i wzruszeniem przybyła poetka nasza do ofiarowanej jej przez naród siedziby. O cicha wsi! Fletnio pastusza! Szemrzący ruczaju!... Pewnej nocy budzi ją łomot poza oknem w sadzie. Strach ją zrazu obleciał. Lecz jest przecie wśród swojej opiewanej wsi. Podchodzi więc do okna, uchyla je i dotkliwe w mrok sadu rzuca pytanie:

— Kto tam?

— Ja, złodziej — odpowiada bas pewny z pobliskiego, nocą skrytego drzewa.

Cóż miała sama jedna, słaba niewiasta czynić? Zamknęła strwożona okno, ułożyła się zpowrotem i oddała się zapewne gorzkim refleksjom.

W jakiś czas potem staje znów przed nią

stary stajenny sługa i drapie się w zafrasowaniu poza ucho.

— Cóż tam powiecie, Pawle?

— Ja skrony tego źrebięcia... co go to wielmożnej pani pan hrabia w podarunku przysłał. Ni mogę go dziś rozeznąć. Tamto było jak piniądz gładziutkie, bystre, jak żywe srebro — a to jakiesi takie pokurcze kosmate... Musiały go odmienić.

Tak też i istnie było. Dostała od sąsiada źrebię arabskiej krwi, a chłopci ze wsi skradli je, podzrucając za nie swoje zdechłe. Przemile kmiotki.

No, jak tam są chłopci, tak rdzennie laccy, jak Aszenbrunery... W różnych czasach i z różnych postronnych żywiołów osadnictwo czynione, spowodowało też różnice typów moralnych poszczególnych okolic.

Godne uwagi: gdzie jest dwór, tam kradzieży więcej. Na marginesie bowiem siódmeo chłopskiego przykazania, choć zamazywane przez czas i przez kary, przecie dość wyraźnie, i dziecku czytelnie, stoi: „ukraść z pańskiego, to nie grzech“. Przy okazji zdarzonej rozgrzeszają się w sumieniach nawet i ci, co zwyczajnie nie tknęliby cudzego. Różne przytem motywy dałyby się w tem ich samo-rozgrzeszaniu z popełnionej „na dworskiem“ kradzieży odnaleźć. Naprzód, że przez tak drobną stratę „mało panu z ma-

jątku ubędzie“. A powtóre — (to rozumowanie starszych, pamiętających z tradycji czasu pańszczyźniane) — że ich to niby pot i trud te bogactwa stworzył; że mają przez to niby do tej części prawo. Równie może i zazdrość małego posiadacza odnośnie do obszarów, może i atawistyczna niechęć wobec dworu — trudno wszystkie motywy rozpoznać.

Przytem, zdaje się, niemałą i to gra rolę w pochopności do wzięcia z pańskiego raczej mienia, niż z sąsiedzkiego, chłopskiego — iż tam czuje się następstwa mniej srogie. Panu schylić się do nóg, to łatwo daruje — a chłopu stanąć przed oczy z kradzieżą, to kołem w łeb. — Znane są przecie owe chłopskie nad złodziejami samosady, od których krew w sercu staje. Charakterystyczne, że im ciemniejszy kąć, sam w popędach złodziejski, tem srodziej odnosi się do złodzieja, którego na uczynku schwyta.

Czytałem kiedyś nowelkę ruską Stefanyka (p. t. „Złodziej“), okrutną w swym spokoju. Rzecz odbywa się na Pokuciu. Chłop złapał złodzieja w nocy, w chacie. Mocniejszy, pokonał go. No i nic. Każe żonie iść po sąsiadów, po wódkę. Tymczasem bawi rozmową złodzieja, przeczuwającego już, co się święci. Schodzą się sąsiedzki-kumowie, jak na chrzciny. Gospodarz przedstawia im gościa,

pije do nich i do niego — ci przepijają doń— i tak się prowadzi, aż ze łbów poczyna się kurzyć. Coraz bardziej złowróźbne słowa padają przy stole. Baba drży na przypiecku. Któryś z kumów, miększej natury, opuszcza nieznacznie chatę. Reszta pije — na srogość, wraz ze złodziejem. Aż gdy już widzą, że dość — tedy rzucają się nań jak wilki rozjadłe. Noc skrywa resztę.

Wraz ze światłem kultury nikną i kradzieże ze wsi. Kradzież dla swych spraw, jak nie-toperz, potrzebuje mroku. Mocną też tamą instynktów złodziejskich jest kodeks opinii na wsi. W naturach zaś bujniejszych poczucie honoru. A najpewniejszym murem przeciwko hańbie złodziejstwa jest duma rasy i rodu.

Przydałoby się tu jeszcze przytoczyć, co wojna sprawiła złęgo w tej dziedzinie. Jak uprawniła kradzież. Taki powrócony z wojny inwalidą, Wojtek czy Kuba, który rabował dobytek ludzki, „rekwirował“ i jeszcze „mental“ za to dostał, jakże ma się przed wzięciem czegoś, na co mu smak przychodzi, wagować?... Podniosły też po wojnie, zwłaszcza w okolicach leśnych i kresowych, instynkty złodziejskie głowę; stały się więcej śmiałe, „bohaterskie“, niemal że bandyckie. Ale to już nie wsi samej wina.

XIII. CHŁOP I LAS.

Chłop i las... Zarówno z tej gleby polskiej samorodnie, krzewiąc się gęsto i gając, w obliczu jednego słońca ku chwale wszechpędu życia i zdobyciu świata wyrosli; — zarówno, nim czas się na godziny, doby, kwadry miesięczne i lata rachować począł, nim postęp czasu nowe rzeczy niewidziane nadniósł, jako własny tej ziemi tu byli; — zarówno na wiatr i burze, na mioty przeciwności wszelkich wystawieni; zarówno w glebicy tej, własnem przyssaniem wybranej, i choć tu owdzie jałowej, mokrej czy skalistej, nie słabnącem przywiązaniem korzeni swych tkwią, jednako nie dając się z gruntu ojczyzny napaściom wrogim wyważyć... Chłop i las. Zda się: krewni sobie, losem i jedną upodobą bliscy, w jeden grunt wrosli, niezmożeni, trwali, pospólnią życia sprzyjażnieni. A jednak...

Powiedziałyby coś o tem i las... Kto drzewiacemu się ślebodno po górach dolinach

w bezpieczy pełnej, rozpanoszy, puszczy, wojnę pierwszy był wydał?... Kto wyciał w pień umierające z głuchym jękiem grzmo- tu, nieprzeliczone leśne regimenty, i do ostat- niego korzenia je zniszczył, ślad ich wypalił, aby łakomie posiąć glebę, ich igliwem, ich próchnem, ich kośćmi i krwią — rzecz można — od wieków wieków użyźnianą?... Kto topo- rem śmielił się obalać prastare, święte, wie- lowiekowe ojczyce, nad których dumną ko- roną setki burz najsroźszych przeszło bez uchybienia ich sędziwemu czołu, a których szum przedziwny osobną niósł się pogwarą, jak poseł cichy zapomnianej od wieków mą- drości?... Kto wreszcie nie pofolgował i mło- dzieży drzewnej, dopiero sok z gleby w sie- bie na żywot biorącej, igliwem czy liściem świeżej, zdobiącej świat, strojącej się złote- mi po zimie majami i skaczącej wzwyż co wiosnę bujnemi latoroślami, by dorównać braci starszej a przerósć rówieśnie?... Kto to wszystko zło sprawił?... On to — narodu drzewnego wróg odwieczny — chłop.

Zaiście, ma rację las, skarżąc przed trybu- nałem niewiadomym, przy świadectwie oczy- widnem słońca, jako głównego swego ni- szczyciela — chłopca.

Ileż to puszc = borów = lasów na tych zie- miach rozłogich przestrzennych przez je- go rękę zawziętą minęło! A chroniona gleba

leśna, drzewna, stała się pustą glebą rolną; odkryła piersi suszom i ulewom. Gdzieniegdzie jeno na nizinach ostały w obawie jakoby, widnością pól otoczone, niedocięte z armji mrocznej oddziały.

A przypomnijmy góry... Niedawny czas — stały jeszcze w urodzie wspaniałej, rozcho- dzące się — grzbiet lesisty za grzbietem, przełęcz grzebienna lasem za przełęczą — jak wydzwignięte i zastygłe fale cudem ku niebu spiętrzonego morza: od głębokiej ziele- ni planów pierwszych — przez gamę ciemną, różnie siniejącą — aż do opylą po- wietrzną zamglonych, coraz to dalej i bla- dziej błękitniejących smug. Któżby — wi- działo się — temu morzu drzewnemu dał ra- dę?...

Aliści w oczach prawie jęły się rozodzie- wać z kożuchów leśnych ubocze, jedna po drugiej, w niedługim czasu postępie, jęły świecić, przerażać wrębami, i nie upłynęło wiele dziesiątków lat — żywot jedno- czło- wieka — jak spustaciały, lasów pozbawione, i zeszarzały góry. — Karne wyprawy chło- pów, przez Żydów-kupców płacone, dały oto tej mrace niezmierzonej radę.

Widziałem tak w mych oczach zniesione — przez lat trzy dziesiątki — górskie zastępy ośmio-tysięczno-morgowe porębskich lasów. Zapewne, chłop ich na ścięcie nie skazał,

lecz jako kat je ścinał. Nie obeszło się przytem i bez ofiar ludzkich. Las się broni. Ale ostra siekiera przemogła.

Łakomość chłopa na las—i wrogość doń—ostała pewnie z czasów, gdy las był boży niejako, a stał się chroniony, pański. Po uwłaszczeniu przyszły serwituty — przewlekły spór — do dziś niezagojona, tu i tam, między dworem a gromadą, rana. Przy niechęci do „pańskiego“, przedewszystkiem ciągnął oczy i łakomość las. Wrąbywanie się nocami dla potrzeb i bez potrzeby, kradzieże jawne, niby ze swojego, pomijając drobniejsze pozaoczne szkody, to znane nadto epizody długo wlokącej się waśni gromady z dworem. Cierpieńi przez to ludzie, lecz głównie na tem ucierpiał, Bogu i słońcu tchnienie winny, las.

Nawiasem: Chłop po dziś dzień kradzieży w lesie pańskim za kradzież ni za czyn gańby jakiejś godny nie uważa. Karę, gdy przyjdzie do osądu, uważa przeto za przemoc i długo pomściwe uczucie krzywdy w sercu swoim nosi. Przy okazji zdarzonej w dwójnasób też się, nie mogąc inaczej, na lesie pańskim mści.

Wytlumaczyćby jeszcze można ten stosunek grabieżny do lasu pańskiego przez w atawizmie chłopa ostałą, zazdrosną, wyżej wspomnianą niechęć do „pańskiego“ (więc

jakby chłopu odjętego) dobra. Lecz jak wytłumaczyć tenże rabunkowy stosunek wsi—ba, gorszy — do własnych gminnych lasów? Wiedno to aże nadto wydziałom powiatowym i starostwom w Małopolsce, jaka to gospodarka w tych gminnych lasach. Ileż kłopotów, skarg o nadużycia, o kradzieże, od lat z tem mają!

Aleć nawet i swojego lasu chłop nie umie szanować. Niszczy go, a nie kulturuje. Niebywałe, by chłop z własnej woli las sadził lub siał. Sądzi, że las się winien wiecznie — dla użytku — jak chwast z korzenia, odradzać. W gąszczach nie robi przecinek, nie tnie skraja, — ot, do własnego lasu wrąbuje się jak złodziej — tu, tam wyrwie drzewo większe, dziesięć przytem pomniejszych obali, połamie, przy wywózce stłamsi — zwalisk ni złomów z gęstwi nie usunie — poprostu las traktuje, jako stały, zapuszczony wyrąb, z którego coś przy czasie wyciągnąć można. Niema dla lasu czucia.

Wiele razy zdarzyło mi się najać ludzi do wycinki drzewa, zawdy musiałem być przy nich, i to obytych z lasem, wskazywać im, jak mają podcinać nisko, jak puszczać je na ziemię, by młodzieży drzewnej nie łamało i t. p. Chłop na takie tam drobiazgi uwagi nie zwróci.

By prawdę rzec: nie ma on miłości do la-

su. Już od dziecka, pasący bydło przy lesie, nożem wycina płaty kory świeżej z bujnego świerka na „kozubki“, młode drzewka z pasją kaleczy, smołą płaczące najradziej podpala, we wnętrzu jodeł starych wypala ka-
dłuby — i naturalnie w rosnącym ten złośliwy, zbrodniczy stosunek do drzew, do lasu ostaje.

Baczę... na wierchach Goreców, z jednej polany na drugą, grzbietem przełęczy prowadziła aleja buków. Szło się nią, zwłaszcza przy świetle księżyca, jak przez tajemny park. Że to zaś było przy drodze, chłopci mieli wnet buki te na opał ścięli (nawiasem: mając dość inszego drzewa na opał, i znacznie bliżej). Stało jeszcze parę rozłożystych, twardych, sękatych w pniu (przez to trudniejszych do ścięcia). Minęło lat parę — pozostał tylko jeden, widać najbardziej sękaty — i ten wzrok po drodze swoją zielonością cieszył. Ba, nie dali i temu żyć. Jakiś majster nielada, nie mogąc go przy ziemi spiłować, wylazł na pień kilka stóp nad ziemię i poobcinał mu grube konary. Ostał ka-
dłub bolesny. — Lecz to są sentymenty. Pewnie.

Baczę też... Po zniesionym doszczętnie prawie puszczy=lesie pozostało — tu, tam, gdzieś w uboczy, trafem pominiętych — kilka prastarych jodeł. Warto je było umyślnie odwiedzić. Pnie miały grube, że czterech lu-

dzi, wzięwszy się za rękę, nie mogłoby ich objąć. W wyniosłych, gdzieś w błękicie nieba ciemniejących, zsendziałych ich wieńcach taił się szum, przejęty z pogrzebanej puszczy: drzewne, pradawne sprawy nawodzący. Taką świętą jodłę kiedyś w uboczy naszedł, toś kapeluszą zdjął przed nią i stanął w zadumie, jak przed zamierzchną kaplicą.— Chłopi, penetrujący cmentarz leśny, i onym niedobitkom nie wybaczyli. Gdzieś podziała się jedna, druga — przedostatnia honornie od pioruna padła — ostała jeno jedna, najsędziwsza. Trwała, jako ostatnie żywe o puszczy świadectwo. Wzbudzała cześć prawdziwą. Zachodziłem też czasem po opowieść ku niej. Szumiała mi o czasie minionym: jak było drzewiej... Lata jednego, przyszędłszy, zastałem jej zwłok. Padła, podcięta ręką ludzką. Wierch ten wyniosły strząskał się o ziemię — podłuż leżały dwie kłody olbrzymie, z pnia i górniesza — ze środka wyrznięto część: widać chłopina jakiś na kadłub do studni. Musiał sobie ten kadłub w stojącej jeszcze uważać — i odłożył sobie dzień umyślny, aby się do niej zabrać. Jakkóż ją i położył.

Wiele dałoby się jeszcze sprawek podobnych nawieść. W rzeczy to niby nic — a świadczy o stosunku nietośnie niszczyielskim chłopca do lasu.

XIV. NIEDOROŚLI.

Być może, iż wielu, których postępowość zasadza się na nietykaniu świętości uznanych (a do takich tabu zalicza się i powszechne prawo głosowania), przeczytawszy stwierdzenia poniższe, nazwie mię może reakcjonistą—trudno, cóż na to poradzę. Wprawdzie staram się stać zdala od politycznych szermowań, pomny słów Sokratesa: gdybym, o miłi Ateńczycy, zajmował się był sprawami politycznymi między wami, jużby mnie dawno nie stało!...“ — lecz, że w tych listach ze wsi zamierzyłem potrącić o wszystkie kwestje, jakie dotyczą życia chłopca na wsi, nie mogę więc pominąć i politycznych poruszeń. Ilustrując zaś omawiane rzeczy przykładami, oddaję niejako głos życiu samemu, i nie dbam, grupując dane, czy to niemiłe będzie we wnioskach dla lewej albo prawej strony. Nawet chętniej, przyznam się, mówiłbym przykre rzeczy partjom t. zw. postępowym (jak się nieraz mówi ostre uwagi ludziom bliskim) dla orientacji — gdyż one są więcej od zachowawczych za przyszłość

odpowiedzialne. Niestety, „postęp“ u nas jest bardzo drażliwy, jakby sam sobie nie ufał.

Powszechne prawo głosowania... Piękne zaiste i bezcenne prawo, jeżeli odpowiada pragnieniu wewnętrznemu, jako i zrozumieniu tych, którzy go mają używać. Takie jest np. ludowe w Szwajcarji referendum. Lecz, gdy jest jakoby płaszcz, dla stroju dusz niedorosłych niedostosowany, narzucone — któż wie, czy więcej dobra przynosi, czy zła. Trudna waga. Djabeł konserwatysta może się snadnie śmiać przez długie lata.

Tak w b. Galicji owo prawo zostało, za czasów ś. p. Austrii, większej części ludności wiejskiej narzucone. Wprawdzie, w czasie „walki“ o nie, czytało się w naszych postępowych pismach korespondencje z wieców, na których to prawie wszędzie „po pełnem zapale przemówieniu pana X. lub Z., jednogłośnie uchwalono rezolucję stanowczą, domagającą się powszechnego prawa głosowania“. Lecz my wiemy, jak to z temi „jednogłośnie uchwalono rezolucję stanowczą, do: Mój Boże, czegoż się dla „sprawy“ nie robi!

Jak zaś na wsi przyjęto tę „zdobycz“, niechaj objaśni fakt, że, niedługo po ustawowem wprowadzeniu powszechnego prawa głosowania, a na krótko przed wyborami, parę gmin pewnego powiatu górskiego wy-

słało deputację do starostwa: „żeby też rząd zdjął ten ciężar z biednego narodu, żeby wieś cała nie musiała iść do głosowania, ino żeby tak było, jak dawniej, co dwóch za gminę obstało“. Z innych gmin nie wysłano deputacji do starostw, ale myślano mniej więcej tak samo. Ogółem, lud w większości przyjął rzekomo przez się „wywalczone“ prawo, jako nowy ciężar, na chłopskie barki zwalony, a nierzadko, jako dopust boży, jak klęskę elementarną, przeciwko czemu niema apelacji. Spadło, i nikt nie poradzi.

Pierwsze wybory na podstawie nowego prawa przypadły na wiosnę; w okolicach górskich akurat w czasie orki. Częste też dały się słyszeć wyrzekania, skargi — gdy trza było pilną robotę ostawić, czasem pług odejść w połowie zagonu i iść głosować. Myślano zrazu, że to pod przymusem: jak wojsko lub podatek. Bano się kary za niestawienie się — grzywny lub aresztu. Lecz później, gdy się dowiedziano stąd i zowąd, że przymusu niema — że „to ino takie prawo, bo tak sie nazywa, ale rzeczywistem prawem (czyli musem) nie jest“ — ośmielili się ludziska, i mało ktoby szedł głosować, gdyby nie agitacja, piwo i linsze pociągi.

Jak zaś lud często rozumiał to „prawo“ swoje, dowodem niżej podane przykłady:

W miejscowości N. miało się odbyć drugie

głosowanie; wyborcom zapowiedziano, że otrzymają karty głosowań na miejscu. — Należąc do komisji wyborczej, szedłem na godzinę oznaczoną do N.

W drodze spotykam podletniego, małego chłopinę, który wraca z N.

— Czemuż wracacie — pytam — kiedy zaraz ma być głosowanie?

— Ho! ja już swoje odbył — powiada z przechwałą i pokazuje papier.

Dostał kartę głosowania i szedł zadowolony, że się na tem skończyło, do domu.

Przed komisją wyborczą staje znów chłop pewien i podaje kartę głosowania rozłożoną, czystą.

— Co to jest? — pyta się komisarz.

— Dali mi, co bych tu oddał.

— Tak, ale karta niewypełniona.

— Weźcież, panie, weźcie — prosi chłop zakłopotany. Poczem, kłaniając się mnie i wójtowi, który był przy komisji, dodaje na poparcie prośby: — Oni mnie haw znają, że ja nie osiust.

Specjalnie jeszcze dla Galicji, dzięki chrześnym ojcom z Koła Polskiego, to powszechne prawo tak skomplikowano (przez wprowadzenie dwumandatowych okręgów, podwójne, potrójne głosowanie i t. d.), że chłop, niebardzo rzecz przy prostem zestawieniu miarkujący, stracił już przy tem zagmatwa-

niu głowę. Gdy np. po głosowaniu pierwszym żaden z kandydatów w danym okręgu większości wymaganej głosów nie otrzymał, i zapowiedziano głosowanie drugie, dawały się gęsto słyszeć wśród wyborców wykrzyki zdziwień i oburzeń:

— Jakto? A coż z temi głosami, co my je dali? To te głosy nic nie płacą?! Śpasy se panowie stroją, a tu czas drogi. Dokądże będzie się to ciągnęło?

Wogóle, tak skomplikowana rzecz przedstawiała się ludowi, jako coś dziwnie mętne- go, pełnego niezbadanych schowków i tajemnic, od czego chyba sam djabeł ma klucz. W tej mętnej wodzie niewiedzy łowili też głosy chłopskie różni wędrowni zaklinacze. Rozszerzone prawo głosowania otworzyło też szersze pole dla demagogji. I pieniądz też szerzej się potoczył. Dawniej kupowano dwóch — trzech ze wsi, a później całą wieś. Masę demoralizowano. Wybory przechodziły po naszych dziedzinach rzeczywiście jak klęska. Po ich przejściu zwolna odginały się dusze chłopskie, jak kłosa po gradobiciu.

Lud przyzwyczał się traktować czas przedwyborczy, jak nieustający, parutygodniowy jarmark, gdzie, jak wiadomo, niższe instynkty — chciwość, łakomstwo, zajadłość — biorą górę nad lepszymi stronami dusz. Jar-

mark jest zrozumiała, łatwą dla nieucznych szkołą. Wyborca nieświadomiony wlot też pojął, że za darmo głosu się nie daje. Nawet już umiał kalkulować, ile in natura głos jego może wartać.

Do nadleśniczego przychodzi chłop prosto z głosowania.

— Czego sobie życzycie? — ten pyta.

— Przysedłech — mówi — po drzewko.

— Po jakie drzewko?

— Ha — no, jakie ta już pan nadleśnicy uważają: tak choć koło dwudziestu cali na pniaku...

— A za cóż to?

— Bo ja haw przy wyborach puścił głos na pana...

Czasem przydarzyło się, że jakiś kąt zapadły (więc jeszcze „nieświadomiony“), chciał przeciw tym zamachom na się protestować, — lecz nie wiedział jak — i oto wychodził taki np. fakt:

W gminie Ł. powiatu myślenickiego, podczas wyborów do parlamentu, 55 głosów padło „na cysarza“. Resztę kart oddano czystych. Gdy komisarz zapytał wyborców, czemu kart nie wypełnili, odrzekli na to z godnością:

— Bo my ich nie sfalsowali.

Nie mogli wiedzieć „nieuświadomieni“ jeszcze wyborcy z gminy Ł., że w tem naiwnem oświadczeniu wypowiedzieli mimowolną prawdę: — bowiem każda partja poczęści, bijąc na kartach głosowania pieczętki swoje, fałszowała...

XV. NAD KOŁEM NĘDZY I POWODZI.

Ujmuję za pióro w sprawie, która aktualna jest — od lat — co roku.

Chodzi tu o lud górski i podgórski, o olbrzymi szmat kraju — by określić wyraźniej, o powiaty: bialski, wadowicki, żywiecki, myślenicki, mszańsko-limanowski, nowotarski, sądecki, grybowski i o dalsze zapewne na wschód Podkarpacie, czyli o południowe ziemie nadkresowe Rzeczypospolitej.

Co rok, przy najściu deszczów, spadające z gór nieokiełznane potoki i wezbrane, samopas toczące się, rzeki zrywają mosty, przerywają drogi, zasypują na iment kamieniami pola, zabierają chałupy przywodnej biedocie — niszczą bezapelacyjnie żmudny dobytek ludzki.

Co rok o tymże czasie, na przednówku, daje się odczuć na całej tej połaci kraju brak żywności, pustką otwartą świecą wymiecione już od wiosny śpichrze i siasieki, nędza i głód zazierają do strwożonych chałup. —

Nieodmiennie co rok to się wtórzy, jakby wrotne koło konieczności.

Nad kołem tem fatalnem mus się zastanowić. Bowiem jest aktualne i trwałe, i groźniejsze. Nawrót jego w tym roku stał się krzyżem memento! Nie słyszą go chyba głusi — nie widzą ślepi otchłani, w jaką się osuwa naród, bezradzie swej złąkłej ostawiony.

Niżej przytoczę stan rzeczy i nastrój w jednej jeno (a takich wiele) parafji w mszańskim, na które oczyma patrzę. — Przyjechałem tu z końcem czerwca, akurat w czasie deszczów, które powódź tegoroczną spowodowały. Rzeczka Porąbka, dopływ Raby, zwyczajnie w czasie suszy sącząca się tyle, by pstrągom dać ochronę, teraz, spadającymi z Gorców potokami wezbrana do żywiołu, stała się naraz groźną. Zabrała budynków kilka, poobrywała brzegi i — od Niedźwiedzia ku Mszanie — gazdując na milowej, szerokiej płaszczyźnie, wiele zrzuciła szkód; zmiotła z letkością słabe jazy i runęła przez drogę. — Co rok, jak zapamiętałem, tę drogę naprawiają; co rok woda tę robotę niszczy, nowy mozół przydając. Koszt napróżno ciskamy we wodę — daremny trud.

Zasiewy, jak widzę, w okolicy liche, trawy marne; chłody wiosny wyrost zatrzymały. A położenie i warunki żywobycia we wsi

najlepiej określają słowa gazdy, pierwszego z brzegu, który mię nawiedził. Już po nim widać, że niedobrze być musi. Młody jeszcze i silny, a twarz ziemista, zszarzała ze zgryzu; posepny w czole i w oczach, jakby z ciężkiego aresztu powrócił. Na moje pytanie, co we wsi słychać,

— Żle haw, panie — powiada. — Ścisk taki, utrapienie, że już do ostatniego przychodzi.

— Kupują na przednówek?

— Ba! Nie wiem, czy jest jeden w gminie, coby nie kupował. Ziarno łoni pochybło, ziemniaków mało ludzie ukopali — co ze zimy ostało, to trza było na wiesnę wsiać, wsadzić — no, i trza kupić, chcący do nowego dotrwać. Nic to, kieby było za co. Ale oczywiście nima. Wywieść na jarmark ostatnią krowę lub cielę — to stoi, nikt sie o to nie spyta. I pożyczyc sie nika nie pożyczycy. Choćby całą wieś na kolanach przeszedł, to dzieściu złotych nie dostanie. Zborgować też, jak dawniej, za Boga nie zborguje — zarobić sie nika nie da — jeszcze takiego ścisku, wierzcie mi, nie było.

— A drzewo?

— Toć jedyny był ratunek dla tych, co konia abo woły dzierzą. Ściał drzewo swoje w przylasku, zawiózł do Mszany Żydowi, dostał 8—10 złotych za metr, mógł kupić

ćwierć kukurzyce i przywieźć do domu. Ale i to sie urwało. Woda drogę popsuła — nie dowiezie. Pojęcia już nijakiego nima, skąd co kany... Pośpiło ludzi jak muchy. Mówił wójt: w górze we wsi są tacy, co po parę dni nie jedli. No wbrew ni mają czego sie jać. Jedno ostaje chyba: powiesić sie. Ale coż, kiedy dzieci...

— Czemuż nie burzą gdzie, do posłów...

— Ka ich ta szukać! Jak naród w biedzie, to posłowie w mysiej dziurze. Skoro wyборы przydą, to sie znajdą. Spytam was, panie, na mój głupi rozum: co ten rząd ka robi, że sie o naród biedny nie zatroszczy. Za Austryje różnie było, ale takiego docisku nie było. Przecie cosi skądś zawdy w razie biedy, jakaś robota sie otwarła, jakaś rada... Naród czuł, że ktoś tam jest, co choć kichnie kie=nie=kie w tę stronę. A teraz żadnej z góry by potuchy, żadnego echa. Rząd sobie gdzieś w Warszawie — a naród tu sobie. Choćby sie dziś w trumnę pokładł, nikogo to tam nie obejdzie.

Na całym obszarze, wyżej określonym, ta sama lub podobna bieda i zaopuszczenie, ten sam goryczny nastrój. Ironją są ustawy piękne, ironją sejm demokratyczny, ironją gorzką deklamacje puste o oświacie, wymagania, że to i tamto lud powinien — kiedy lud ten dosłownie nie ma co jeść.

Zapominają panowie, widzący jeno w ludzie zamożnych kmięci=rolników (którzy to niby mają wciąż gotowe plony, świnie i bydło do zbycia), że są całe masy, idące powiatami, chłopów, którzy nietylko nic z gruntu obrabianego nie sprzedają, lecz co rok — od wiosny do żniw, a często od pół zimy — aby przeżyć, dokupywać muszą. Ze ziemią się niewdzięczną porajac, są w tem samem położeniu przez walną część roku, co inteligent i robotnik w mieście, jeno z tą różnicą drobną, że nic nigdzie zarobić nie mogą. Któż o tych bezrobotnych dba?

Najruchliwszy lud, o niezastąpionych przymiotach rasowych, lud strażniczy kresów południowych — przez coroczny nawrót koła nędzy przednówkowej — zatracają się i marni.

Jakaż przyczyna, że pięcio, jak i dwudziestomorgowe gospodarstwo rodziny, pracującej na niem, wyżywić nie może? Że wszystkich — mniej lub więcej morgowych — koło przednówka jednako dogniata?

Kto zna gospodarkę w naszych górach, widzi ocznie, że się fatalną drogą potoczyła. Powinno się było — jak w Szwajcarji, Tyrolu — pójść w uprawę łąk, pastwisk, w hodowlę bydła, owiec, w budowanie w zakątkach piękniejszych, letniczych willi. Tymczasem poszło się na ślepo w zaorywanie drap,

uboczy, każdego nieużytku, skrawka — w parcelki, które sam djabeł zmieszał, w rozdrobnienie — iż komasacja tu, meljoracje i t. p. zbawcze środki są nie do pomyślenia.

Darmo — poszło się tak przed wiekami, i dziś trudno raptownie zawracać. Wszelki trud, przeciw temu bezsensowi gospodarstwu działający, napotka nieodparty, jako i ta ziemia skalna, konserwatyzm biedoty—Jednak i na tych drapach, parcelach skrajnych, przy mozole zwyczajnym i pracy, wyżywić by się mogły jako tako rodziny tych mało posiadaczy: gdyby mogli mieć nawozy sztuczne.

Widziałem sam w okresie lat, gdy zużle Tomasa, wypróbowawszy naprzód, zaczęto gęściej w okolicy stosować: jak odrazu podniosła się o 100 % wydajność pól. Ukazały się płaty wspaniałych koniczyn — na koniczynach buchnął w górę jęczmień — na jęczmieńczysku zrosł na cudo owies — poczęły się darzyć oziminy — widziało się, że nie ta sama ziemia to wydaje. Było lat sporo, że przednówka się nie uczuwało — ostawał zawsze zapas po zasiewach. A komu zbrakło, łatwo mógł od sąsiadów nabyć lub pożyczyć.

Wojna ten względny dobrobyt zniszczyła. Spodziewano się po wsiach — bowiem tą nadzieją lud łudzono — że, gdy Śląsk Polska dostanie, o zużle będzie łatwo. Nic niestety

z tego spodziewania. Dziś brak zupełny gotówki nie dozwala chłopu na kupno nawet worka zużli. Ziemia wypustoszała nie wraca wkładanej pracy, niezdolna jest mozolących się na niej wyżywić.

O cóż więc chodzi? — O niewiele. O to, by rząd polecił zrobić wykaz powiatów, gmin, które nawozów nabyć nie są może — by zamówił odpowiednią ilość wagonów zużli i dał je gminom — nie za darmo — z kredytem rocznym. Przez rok — dwa, nim się okolice nie zapomogą. Pomoc w tej formie, możliwa do wykonania, zniszczy głodowy przednówek.

Prócz tego winien rząd bezzwłocznie przystąpić do regulacji rzek i potoków górskich. I to nie robót pozornych, lecz gruntownych, z szerokim planem. Pieniądze, co rok w wodę wyrzucane: na mosty, drogi, ratunek powodzi, jużby wiele dotąd ufundowały. A w niemniejszej mierze chodzi o to, by dać tysiącom, którzy dorabiać muszą do gruntu, zarobek.

Lud o wspomogi nie prosi, lecz o kredyt dla roli i o pracę. Jałmużną nic się nie usuwa. Zasypać trza studnię nędzy — tamę położyć kłeskom. Chwycić koło fatalne za szprychy, by nie nawracało. To jest jedyny ratunek tymczasem — i przekonanie chłopca ocznie, że jest rząd, co o nim myśli. Jeżeli jest...

XVI. ZAPOMOGLI.

Gdy klęski elementarne — burze, grady, wylewy — nawiedzą nasze, boskiej opiece oddane, powiaty i spowodują obniżenie lub też zupełne potrącenie plonów, to na zagojenie tych sprawionych przez żywioły ran mamy tu w Małopolsce (bo, jak jest gdzie indziej, nie wiem) zwyczajem austriackim utarty już sposób.

Oto gminy — i to niekiedy mniej klęską dotknięte, jeśli mają energiczniejsze jednostki w radzie — żalą się, kołatają tu i tam, piszą do starostwa, odnoszą się do posłów; starostwo zarządza oszacowanie szkód i, sporządzone przez gminy, najczęściej mylne lub fałszywe, podaje wyżej; rząd pod naciskiem któregoś z chłopskich klubów poselskich przeznaczą na to jakąś sumę; tę skarb przelewa danemu starostwu lub instytucji rolniczej w powiecie, zwyczajnie na zakup ziarna; poczem ma nastąpić przydział dla gmin, stosunkowo do wysokości podanych w wy-

kazach szkód. Poseł z danej okolicy, by się zalecić swym wyborcom, donosi o podjętych u góry staraniach i o pomyślnym tych starań wyniku. Słysna idzie...

Dopieroż w cierpliwej dotąd, tej lub owej gminie rozgwarzy na ten temat poczynają się podnosić.

— Słyszeliście, kumie? Owo zapomoga ze rządu ma przyjść; cosi niemało wagonów.

— Dyć tak słyhać.

— On ta — jak i ten poseł — widział sie łaskuda, a przecie cosi sprawił.

— Kieby to ino po drodze myszy nie opuściły...

— Choć ta ubędzie, to darmo. Kolej też i urzędniki muszą mieć prefit...

Nadzieje pewne wstają. Ludzie z końca wsi, z pod lasu, spytują się tych, co są bliżej kościoła albo rady.

— Pono, słyhać, jakieś ziarno do gminy ma nadejść?

— Nadejdzie, ino patrzeć.

— A jak my się haw z końca wsi o tem dowiemy?

— Przyjdzie uwiadomienie do wójta.

— Da to znać? Zanim wieść pod las dojdzie, już poblizsi rozdrapią. Jak i trzeciego lata... Wszystko pocichu z radnymi zgieltowali. Narodowi biednemu nic z tego nie zaświtało.

To też naród pośledni pilnuje. Szuka okazji do rady, do wójta, by posłyszeć, czy już przyszło to uwiadomienie. Śmielsi się nawet wbrew wójta pytają.

— Da sie wam znać, jak przyjdzie — mówi wójt z powagą.

Nikto temu nie ufa.

— O mój wójcie — sklamrzy jakaś biedota — też ta o mnie nie zabaczcie. Dy wiecie, że ja półkorca ziarna nie umłócił.

— Nikogo sie tu nie wyróżnia. Co nadejdzie, to sie sprawiedliwie podług numerów oztaluje.

— Tak, tak — przyświadczają pochlebnie słuchający.

Dopieroż po drodze między sobą:

— Hej, nie wyróżnia!... a lepsi zawdy pierwsi przy podziale. Pośledniejszemu mało sie co zwartnie.

— Podług numerów, powiada... Oni numery ino wtedy widzą, jak przyjdzie oplata jaka.

Niecierpliwość w gminie poruszonej rośnie: — kie też przyjdzie owa telo obębnowana zapomoga?

Nareszcie wieść z jarmarku, z miasteczka powiatowego:

— Jutro ma nadejść... Po sześć wagonów na gminę.

— Chwałaż Bogu! To sie naród skrzepi.

Debaty znów:

— Ka to przyjdzie... do składnicy, czy do gminy? Kto będzie dzielił?

— Juści ktożby — wójt z radnymi...

— Pono ksiądz i organista ma być przy podziale.

— Ono by ta sprawiedliwiej było.

— Hale! Oni ta i księdza, i organistę, jak trza, przekabacą. Bogatsi zawdy najbliżej on-tarza.

To znowu kum do kumotra:

— Na kielosćcie sie podali?

— Na dwa metry. A wy?

— Ja na jeden. Ale kieby choć pół sie dostało.

— Nie bójcie sie. Sześć wagonów, to przecie cosi! Choćby też ta i ubyło...

Wójt zamówił na kolej furmanki.

Większa ich część, ba, bezmała wszyscy wrócili próżno.

Fama okazała się nadto przesadzona. Zamiast owych głoszonych sześciu wagonów— dostało się z przydziału na gminę sześć metrów ziarna. Po dwa litry akurat pod numer.

Dopieroż w gminie krzyk:

— Jacto? Coto? To jeno mamienie ludzi! Musiał wójt na stacji ostawić na handel. Złodziej wójt, złodzieje wszyscy! Telo było głoszone, a tu masz... Ciesz się, Filipku, jago-

dzie — jak się ta w domu nie najesz, to dar ci nie dobodzie.

Jaki taki z gazdów poślednich powiada:

— Ja im ta już po te litry nie póde.

— Czas droższy. Niech dziadom ozdada. A i dziadowi czasu szkoda — więcy po wsi za ten czas uzbiera.

— Prawie la wójta za fatygę.

— A furmanki co po darmo na kolej jeździły, to pewnie gmina musi płacić.

— Ba, któżby.

— Niema co, ładnie gmina wyszła na tej zapomodze. Dołożyć jeszcze musi.

Po oburzeniu gorzkie drwiny:

— Ale też rząd nas wspomógł!... Spasiemy się z tej spomogi. Dy, jakby bieda nań przyszła, to choćech dziad wobec rządu, ale bych mu dwa litry wstydzil się dać.

Takie mniej więcej w każdej gminie przy każdej „zapomodze z rządu“ idą gwary. Tak się ma rzecz z „daremnm“ ziarnem, z „tanią solą“, z innemi artykułami.

Cóż rząd przez te zapomogi sprawia? — Kilka jeno popełnia przestępstw przeciw sobie, co się nawet da podciągnąć pod paragrafy. Bo oto, p r i m o: wzburza wieś spokojną, budzi zbytne nadzieje — s e c u n d o: z wójtów, z urzędników swoich czyni w opinji wsi

złodziei — t e r t i o: siebie na kpiny wystawia!

I czemże są te zapomogi w rzeczy? — Kroplą w morzu potrzebowań chłopskich.

A przecież sumy ogromne na nie rząd wydaje. Rozdzielone — podług wykazu szkód, jak to się zwyczajem czyni — stają się, gdy dojdą na miejsce przeznaczenia, śmiesznymi „litrami“, któremi diad nawet gardzi.

A cóżby za te sumy można było sprawić!

Nię występuję, broń Boże, przeciw pomocy wsi. Sama ona sobie ostawiona, nadto trudny miałaby żywot. Lecz bez takich zapomóg pięknie-ładnie się obejdzie.

Raz trzeba to powiedzieć: Na takie zapomogi, nikomu nie nie pomagające, szkoda grosza. Lecz trzeba przyjść wsi z istotną pomocą. Sumy, na zapomogi dotąd przeznaczone, przeznaczyć na roboty w dotkniętych klęską okolicach — na regulację potoków, rzek (coby już usuwało klęski wylewów), dalej na budowanie dróg, gościńców — co, dając ludności doraźny zarobek, zarazem podniosłoby okolicę handlowo, komunikacyjnie — znalazłoby się też jeszcze podobnych a pilnych więcej.

Lecz rząd tego sam nie sprawi. Sprawiłby to samorząd powiatu, nie goły, jak dziś; rozporządzający też sumami, jakie na „zapomogi“ rząd przeznacza.

Czas skończyć wreszcie z systemem „zapomóg“. Wyrzucony to pieniądz. Wpada jak w otchłań, bez korzyści, ba, ze stratą jeszcze.

Czas już, by ten dziurawy worek zapomóg się zamknął, a poczęła się wsi naszej, podwalinie ponoć państwa, borykającej się z żywiołami, rzetelna pomoc.

XVII. RELIGIJNOŚĆ CHŁOPA.

Gdyby mnie kto zapytał obcesem, czy chłop nasz jest religijny, to w pierwszej chwili powiedziałbym: tak, — a rozważwszy zaś rzecz gruntowniej, nie umiałbym zaiste dać na to pytanie, jak zresztą na wiele innych w tym rodzaju, zdecydowanej odpowiedzi. Boć też sprawa nie przedstawia się tak przecinająco, jakby się komuś z zewnątrz patrzącemu i notującemu objawy widoczne wydawać mogło.

Zapewne, chłop nasz chętnie do kościoła chodzi, a opuszczenie sumy bez ważnej przyczyny rachuje za grzech ciężki; kazania słucha pilnie, z głową w ambonę zadartą i otwartymi usty, wpatrzony zbożnie w wargi kaznodziei (o ile go, t. j. chłopca, znużonego tygodniowym trudem, w ścisłości świątyni sen nie zmorzy); nie zaopuszcza też spowiedzi, przynajmniej raz w rok, koło Wielkanocy, a jest wielu z pośród starszych, którzy co miesiąc i co tydzień spowiadać się radzi;

spora liczba parafjan nie leni się, nie dbając na obiad, ostać po sumie na stacje, jak i na nieszpory; na każdy odpust w okolicy lud chętnie gromadnie dąży, a są gorliwi prawie we wsi każdej, którzy, zmówiwszy się w rzeszę, w kompanję, w oddalne nawet miejsca pątnikują.

Jeśli więc religijnościąby nazwać uczestniczenie przy obrządkach wiary, zachowywanie form pobożnych, wypełnianie według sił i rozumienia prostych przykazań kościelnych, mówiąc modernistycznym sposobem: praktykowanie — to chłop, jak się da uważać łatwo, jest religijny. (Czego nie można powiedzieć o większości miejskiej inteligencji.) Lecz jeśli chodzi o treść żywotną tych formuł, o żarliwość wewnętrzną, o nastrój, o pogłębienie postawy duchowej, o podłożenie wskazań ewangelicznych pod życie, — jeśli to, jak mniemać można, religijnością nazwiemy — to chłop w masie ostaje poza murem tych prób.

W powszedniość życia chłopskiego naogół mało rozświetleń religijnych się przeciska. Nawet z barw świąt, z niedzielnej pogody, nastrój w szarość dni nie wnika. Osobne to są sprawy: nastrój święta a dnia roboczego. Bledną też przy kręcie powszednim i zdają się pozażyciowe, niezastosowalne wskazania ewangeliczne, z ambony w święto słyszane.

Tam, w kościele malowanym, pośród złoconych ołtarzy, pod sufitem z gwiazd, wydawały się prawdziwie na miejscu — a tu, w chałupie dusznej, w skłopotaniu, są, gdy przelecają przez myśl, jakby szydem. Są, jak zjaw przelotnych ptaków, nadto niebieskie i złudne, nadto polśniewające wysoko ponad dniem, przyziemnem zmaganiem się chłopą.

„Tu walka o grunt, o skibę — tu swary, piekło rodzinne — tu zajadłość sąsiedzka — z inszej strony podrywki, podstawianie nóg, podstępny, by cię obalić lub zepchnąć; — trza się dobrze w sobie zaciąć, by się nie dać pogiębić i stłamsić—przytem roboty dzień za dniem jak nie te, to te...Gdzież tu miejsce na gołębie turkotanie ze sobą, ba, wyrzeczenie pustelne, jakich się te nauki boskie od mizernego człeka domagają? Co nie-co to ta można z tych przykázów przyjąć, n. p.: „Nie rusz cudzego, nie kradnij — jak ci niepotrzebne; czcij ojca, matkę i obchodź się z nimi dobrze — dopokąd ci gruntu nie zapiszą; bliźniego też nie postponuj — jak je od ciebie mocniejszy i t. d.“ — Trochę więc tych nauk, po swojemu skreconych, przyjąwszy, trochę znowu od cygaństwa świata, a resztę z doświadczenia i swojej natury, urabia sobie chłop etykę własną, niby kij niebardzo pewny, którym się w życiu podpiera. — Wiara też jego, raczej dekoracyjna, odświę-

na, nie należy do rzeczy na codzień obowiązujących.

Choć zdarzają się okoliczności... Gdy padnie klęska jakowaś — zaraza, pomór czy powódź — gdy naród ujrzy się w osaczeniu, w trwodze prochem lichym, bez żadnej ziemskiej porady — tedy pierwotnem staje się dziekiem wobec Mocy, kaja się i suplikuje, pośrednictwa Matki Boskiej i Świętych wszystkich wzywając. Tedy to ściany kościołka drżą od napięcia serc, — tedy to wszystkim uczuciem grozy — lęku — ufności bije ku sklepieniu grzmot zespolonych w jedno tysięcy dusz — stojących, jak na Dolinę Sądu, twarz w twarz Bogu, z onym jękiem — zaklęciem padołu, niewołącym moc Jego: „Święty Boże!“...

Równie w momentach częstszych — gdy burza z gradem nadciąga, i klęska grozi płoynom — ścichają w trwodze chałupy — dzieci kulą się w kącie — gaździny drżącemi dłońmi dobywają ze skrzyni dzwonki loretańskie, kruszą na ogień chleb świętej Agaty, — a chłopci stają w oknach potrwożeni, póki ich lęk od nadchodzącego coraz bliżej szumu na kolana nie złamie.

Są to jednak chwile wyjątkowe, po których przejściu, niby kłosa puste, prostują się wnet dusze, i wiatr powszedni, kołowrotny dalej ma z niemi robotę. — Ogółem, stosu-

nek zwyczajny chłop do Pana Boga sprwadza się, jakby to już było umówione, do prostej oto wymiany: „Ja Ci, Panie Boże, zmówię tyle i tyle pacierzy, a Ty mi dasz w łasce Swojej to a to...”

Lecz tak w tej sprawie, jak i w inszych, podobnie ważnych dziedzinach, różnice widzi się wielkie, zależnie od okolic. W kątach zapadłych, przylesionych, gdzie strach, jak i nieświadomość pól pierwotna tkwią jeszcze w duszach ludzkich, wskazy kościoła, pomieszane z wierzeniami dawnymi, z zabobonem, są mocno utrzymywane. Natomiast bliżej gościńców szerokich, traktów przenośnych ludzkich zarozumiałych zdobyczy, bliżej miast, jarmarków świata, religijność spłoszona uchodzi; ostaje pociechą starych, lekkoważonym przesądem; zastępują ją różne interesy.

Mowa o religijności wierzchniej, a nie już oderwanych od globusa kontemplacjach. Naogół chłop nasz, pozytywny w myślach, nie jest mistycyzmowi przykłonny. Nie lubi się on zawilościami, nie mającemi praktycznej wagi, kłopotać — tem mniej błąkać się w szukaniu ścieżek, gdy ma utartą od pradziadów drogę. Przeto niełatwo też podaje i nowinkom religijnym ucha. — Zapewne, tu lub tam, w parafjach zaniedbanych, mogą gorętsi, niedouczeni agitatorzy roz-

dmuchać (zwłaszcza wśród niewiast) fanatyzm dewocyjny, który gotów się przy przeciwnościach przerodzić nawet w sektę (marrawityzm), lecz, w porównaniu np. z chłopem rosyjskim, chłop nasz w masie nie da się byle „apostołom“ bujać, a do sekciarstwa wszelkiego, godzącego w ustalone od dziad pradziada normy, odnosi się *à priori* wrogo.

To też i t. zw. „kościół narodowy“ (rzecz o sześć wieków co najmniej spóźniona), bałamutnie przez garść frondujących księży wśród emigrantów naszych w Ameryce (a ostatnio i w kraju) szczepiony, nie ma zgoła na wsi naszej żadnych widoków powodzenia.

Swój kościół we wsi stał się już nie jeno w myślach, ale we krwi chłopca od pokoleń ugruntowany. Tkwi w nim potencjonalnie dość siły, by wieś zreligijnąć, by powszedniość w pogodę święta przemienić. — Niestety, ewangelja jest wciąż tą krynicą, z której przechodzień nie pije. W miastach są wodociągi, na wsi studnie.

XVIII. BRACTWA NIEŻYWE I ŻYWE.

Lud prosty, szary, w lepszych swych jednostkach (a jest ich, dzięki Bogu, po wsiach dość niemało) chowa na dnie serca tajoną tęsknotę za innym, bardziej uświęconem życiem, niż to, jakie w jarmarku zakłopotañ wszednich, nie tak z woli swej, jako z przymusu, prowadzi.

Nie zmylę rzeczy, jeśli powiem, że są to jednostki inteligentne już z rodu, o uczuciowym podkładzie dusz, podatne rozwojowi a zatamowane przez to, że im nie dano możności kształcenia. Nawet czytać często nie umią. Zamknięta przed nimi brama, poza którą dorozumiewają się wszystkiego, już przez onych nieosiągalnego, co jasnem przeciwieństwem (wierzą) być musi tego mrocznego, w czym tkwić mają. Jakby na wieki od bramy domyślanego raju cofnięci. Krzywdę tę czują mniej lub więcej gorycznie, boleśnie, choć przyczyn jej nie umią sobie często uświadomić. Bywa, że rozżalenie mają do

siebie samych, do rodziców (stąd bezpowod-
ne kłopoty w chałupie), do całej tej wsi
wreszcie i wszystkiego, co ich w przyro-
lnym bycie zatrzymało. Czasem bunt w nich po-
wstaje przeciw otoczeniu, przeciw wąsko-
osiedlowo-zatechłego życia, w którym się,
na powiew szerszy nastawieni, duszą. Powo-
jowawszy napróżno zamłodu, nie mogąc mu-
ru głową przebić, kończą często zapijaniem
się, zatrata.

Lecz większość przeważna tych zatamo-
wanych, mając w mgławicy pragnień serca
lepszy, jaśniejszy świat (taki musi być świat
naucznych, wierzą), do którego im dostać
się nie dano, szuka naokół siebie, rozgląda
się: czyby w warunkach, w jakich zostać
muszą, choć przedśionka onego świata lep-
szego nie dało się utworzyć. A gdy tu o du-
cha chodzi, tak powszednim materjalnym
sprawom wsi obcego — iż nie na miejscu by-
łoby (wprost powiedzieć, głupio) w połud-
nie, w pośród dnia i zajęć z tem do sąsiadów
przychodzić — wzrok ich przedewszystkiem
zwraca się ku temu, co duchowe sprawy wsi
z nieuszczerbkiem powagi, ba, z przekazu
bożego ma w pieczy: ku Kościołowi — i za
jego zachętą tworzonym ogniskom, których
cel: życiu dać gorętszą barwę.

Bo Kościół zrozumiał rychło, wspomniaw-
czy początek swój, że bliżej w życie wejść

musi, nie chcący stać się jeno świątynią od święta — zobaczył w obracanych ku sobie spojrzaniach tęsknot wołanie o przemianę mizernego życia, nie jeno o wkładanie rozgrzeszalne rąk. I jeły pod jego tęczę powstać zrzeszenia, bractwa, które zewangeliczyć miały żywot szary, barwę apostołskiego trudu przydać dniom robotnym. Zakwitły oto: bractwa różańcowe, bractwa szkaplerza (Kermelu), bractwa Serca Jezusowego, zakon III. św. Franciszka, stowarzyszenia św. Antoniego i t. d.

Zrzeszenia te pociągały przedwszystkiem onych lepszych, niezadowolonych. Bo miały w założeniu nie dewocyjne jeno cele, lecz także żywe, odrodzeńcze, uświęcenia i ulepszenia życia. I mogły to zaiscie w dużej mierze pełnić: jak założyciel mniemał. Oto np. mądrze pomysłany „żywy różaniec“. Ze strony formalistycznej tak się przedstawia: kółko z piętnastu osób (jako że 15 jest tajemnic w różańcu) rozbiera między siebie różaniec cały, każdy po jednym dziesiątku. Piętnaście drukowanych kartek z odnośnemi tajemnicami różańca rozbierają członkowie (bracia lub siostry) między siebie. Raz na miesiąc, w jedną niedzielę następuje t. zw. zmianka, t. j. wymiana wzajemna kart, tak, że każdy członek w ciągu piętnastu niedziel dostanie na przeciąg miesiąca każdą z 15 ta-

jemnic. A waga zasię życiowa tego żywego różańca miała tkwić w tem, że na każdej z onych kart (do zmiany) wyrażona jest jakaś z ważniejszych cnót, w której należy się ćwiczyć. Także to, iż zebrania kółka odbywają się w domu przewodniczącego (przewodniczki), gdzie poza modlitwami ma się prowadzić wolne pogadanki na temat obowiązków ojców, matek, dzieci, czy moralności w rodzinie i gminie, czy sąsiedzkiego współżycia.

Piękna rzecz — takie kółko braci lub sióstr, przejęte duchem polepszenia życia, sprawy i nędze moralne wsi ze stanowiska ewangelicznych przykazań roztrząsające; rozchodzące się po tych zebraniach do domów w nastroju podniesionym. To już jest coś, niemało. To już jest ten przedsiomek lepszego bytu.

Lecz, niestety, z ludźmi się rzecz prowadzi; z ludźmi o różnych naturach, o różnych stopniach rozwoju naturalnego i różnych tonach czy instynktach Bogu nierozum winnych dusz. — Tu i owdzie szedł „żywy“ ów różaniec zrazu, dzięki żarliwości przewodnika, lecz rychło począł rwać się. Zebrania „braci“ niedzielne przekształciły się w pogwary zwykłe o zasiewach, robotach i t. d., kłopoty, z ubiegłego tygodnia nawodzące. „Siostry“ zaś, gdy się zeszły, to obmowom,

plotkom, trajkotaniu końca i miary nie było. Z tych zebrań powstawały nowe plotki, gniewy — wkońcu znudzenie się tem samem, opuszczanie zebrań — i po czasie jakimś kółko się rozlatywało.

Niby rzecz dalej trwa — inicjowana wciąż na nowo przez gorliwszych księży, lecz znów po czasie jakimś kuleje, rozpada się, albo istnieje ot tak, napozór, bez ducha początkowego, jako forma. Bractwa, które miały być odrodą, stały się w treści swej martwe, nieżywe.

Lecz tęsknota za lepszem, uświęconem życiem, szukanie drogi — nie ustaje. Jednostki, duchem apostołskim i żarem świętym przejęte, widząc, że z bliźnich o różnych naturach, o rozbieżnych wprost myślach i instynktach bractwa trwałego nie stworzą, w próbach podjętych zawiedzione, opuszczają ludzi sobie obcych, a zwracają się o pomoc ku temu, co samo im poddaje drogę, ku podwalinie trwałej: ku przyjaźni.

Byłem świadkiem tak, poza kościołem, a na doborze pokrewieństwa duchowego utworzonych bractw. Znałem osoby, które je tworzyły (matka też moja do tych należała). — Takie bractwo składało się w dowolnej ilości z braci i sióstr, nie z tej parafji jednej, często z odległych wsi, którzy oto poznali się przypadkiem, pogwarzyli, i po-

czuli, że są krewni duchem. Oparte było także bractwo na prawdziwym zbraceniu. Była to — rzecz można — nieterytorjalna, umacniająca się w duchu na wzór pierwszych gmin chrześcijan, duchowa komuna. Bractwo żywe. Było też trwałe — aż śmierć zabrała jednych (z braci czy sióstr), a na drugich przyszło z latami starości znużenie. Zapewne bractwa takie w młodych odradzać się będą. Cóż, że jedno bractwo żywe wymrze? Wstaną inne. Idea krąży w powietrzu — tęsknota za lepszym życiem do serca ją przywoła.

Jedno bowiem jest zrzeszenie, które z czasem o trwałość walczyć może: to zrzeszenie na podstawie istotnych podobieństw. Każde poczynanie gromadne, skupieniowe, którego założeniem jedność, rozsypie się, jeśli na pokrewieństwie dusz nie jest oparte. I gminy komunistyczne Elizego Reclus'a z tej prostej przyczyny padły.

Zrozumiał to ś. p. Edward Abramowski, gdy kooperatywy, którym odrodzieńczą siłę, jak Karol Gide, i moc przemiany ustroju społecznego przypisywał, doradzał — po zawodach — oprzeć na zjawiskach przyjaźni. Miały to być właśnie bractwa żywe.

XIX. DOM I SZKOŁA.

Dwie te instytucje podwalinowe społeczeństwa, w których młoda latorośl ludzka się kształtuje, decydują o charakterze przyszłego obywatela. Jakie jest ich powietrze, jaka tendencja, jak wysokie poczucie odpowiedzialności, takie też odcisnienie w rysach duszy młodej, która przez cieśń ich przeszła. Nadto wiedno-elementarne są to rzeczy, by je naprowadzaniem dowodów potwierdzać.

Więc dom na wsi... Zapewne, różne są owe ogniska, o różnym nastroju wewnątrz, zależnie od mniej czy więcej światlejszych okolic. W jednej i tej samej nawet wsi, zależnie od gamy ludzkiej, są domy o atmosferze — można nazwać — bożej, a są tuż obok duszne, jak przedsionki piekła. Lecz naogół — a tę większość przeważną o cieniach, bijących w oczy, mamy na uwadze — dom na wsi nie jest wcale wychowawczą klasą.

Dzieci w chałupie są naogół wielce pożą-

dane, lecz raczej jako przybytek sił, potrzebnych przy gospodarstwie. Ojciec patrzy na dziecko przedwzyszkciem jako na przyszły pożytek przy pracy, do której zmogi wciąż rąk jest za mało. Myśli w nadziei głównie o tem, by tyle podrosło, żeby dało radę paść gęsi, potem bydło, a później — po dorosłości — wyręką się stało dla zmęczonych ojca—matki przy cięższych zajęciach: żeby nie trza było do pasenia i robót najmować.

Osobne to bowiem utrapienie gospodarza: służba, pasterz najemny, czeladnik. Osobna to zresztą kwestja — z jednej strony kłopotu ciągłego, z drugiej niejako niewoli—najemnictwa, w głąb dzisiejszych społecznych urządzeń wchodząca i, jak powszechna choroba dolegliwa, nadto i miastom znana.

Tedy chłop дума: „Dzieci swoje zastąpią obcych, najemnych. I znacznie taniej kosztować będą; jedno wikt i to odzienie, zasługi w pieniądzu żadnej“. Prosty interes. — Pewnie, że do tej rachuby dołączają się nierzadko, naturze właściwe, sentyment, uczucie, miłość — lecz to już sprawy poboczne niejako, często wstydliwie jako miętkość kryte.

Uważa się też na dziecko, by do piwnicy gdzie nie wpadło, karku nie skrećilo — poza tem ma swobodę słuchania wszystkiego, co starsi mówią, latania „na chałupy“ tu i tam w osiedlu, kształcenia się na gałgańswie ży-

cia okiem i uchem, pogładowo. Specjalnych jakichś ochron, tak co do psychicznej, jako i fizycznej wrażliwej na wszystko skóry takiego skrzata małego, tu się ogółem nie ma zwyczaju stosować.

Taki trzyletni przyszły obywatel, ledwie z podółka matki zejdzie i przez próg da rade przeleźć, biega śleobodno w koszulinie jednej latem — zimą, nieraz przez śnieg, mróz trzaskający, bosy, do sąsiednich chałup i zpowrotem, po kilkanaście razy na dzień. „Takie ta małe — mówią — obuwia ni portycząt nie potrzebuje“. Zazwyczaj też epidemie (dyfteryt, odra, szkarlatyna) w tym wieku dzieci najbardziej zmiatają. „Odeszło — no cóż — Pan Bóg zabrał. Żal, bo żal — miało roków cztery, wnetby już zapaść gęsi mogło — no, ale trudno... Może Bóg za to insze wnet nagodzi“.

Co się z tych krytycznych lat ostoi, to już niełatwo lada chorość zmiecie: zahartowane. A i na wątlej skórze duszy odcisnęło się niemało — stwardniała już i zgrubła. Sześciu lat owo nie dorosło, a już ma wiedzę wielu rzeczy, już całą atmosferą spraw domowych, ba, i osiedlowych w kręgu dość szerokim, jest nasiąknięte. Już wie, kto co gdzie zmajstrował, kto się z kim pobił — z kim Hanka od Kubików miała dziecko, kto zaś do Józki chodzi — już mu naokół w ob-

rębie, gdzie stopy jego, zgrubiałe od biegania boso, dojść mogły, nic nie obce, ni dziwne. Wie też z domowego już elementarza, że tego sąsiada trza nienawidzić, tamtemu szkodę lub psikus wyrządzić, gdy się jeno okazja trafi, a inszego znów przezornie omijać. Uczy się już zmlodu ludzi, jak przyszły zapaśnik zwierząt. Poza tem wie z nauki od starszych, że drzewka poto mają konary, by je łamać, — ptaki są nato, by je chwycić, — a inne zwierzęta, jak pies, kot, wieiórka: by kamieniem w nie godzić.

Rodzice, patrząc na postępy dziecka — jako już umie kłać, przezywać, odgryzać się starszym — jako już umie sobie, małe, w poznanem cygaństwie życia wykrętnemi sposobami radzić — śmieją się mu z pobłogą: „Jakie mądre“... Matka z dumą się chwali:

— „Ho! mój Józus, to dziecko jedyne. Niechby słyszał, że mi kto ze sąsiadów słowo marne powie, to mu w dziesięcioro odda. Tak za matką obstawa“.

Ojciec zaś, widząc uganiającego po osiedlu syna, za jakąś szkodę wyrządzoną przez któregoś z sąsiadów besztanego, ma jedyny dlań przykaz: „Nie daj sie, Jasiu!“

To też Józus czy Jaś nie daje się, rosna w tej pobłodze, która się kiedyś odpłata przeciw ojcom zwróci. Narazie cieszą dumę ojcowską i oczy.

Ba, ale dziecko dorosło lat siedmiu — akurat, by jakaś pomoc być zeń mogła — wchodzi w paragon szkoła. Już go tam zapisałi — już wzywają. Tedy dwie wagi w domu... „No, dyć trza, by sie uczyło, to sie w życiu przyda“. Wie ojciec sam, wie matka, jak to „bez nauki trudno — choćby potem i przy wojsku...“ Ale jak to pogodzić z tem, że do pasenia jest potrzebne? „Żeby nauka była zimą — no, to jeszcze. Ale tu wiesna, tu okopowanie ziemniaków, tu żniwa — paść istnie nie ma kto — trudno pasterza najmować, jak sie ma swoje“. — Poczynają się tedy prośby, ociągania — nieposyłanie raz, drugi, dziesiąty. Ba, ale grzywny się sypią. Tu już wyrzekania gorzkie: „Co też to na ten naród biedny...“ Scysja między wymogami domu, a dość — ba, nadto — ustępliwej szkoły.

Jakoż ta „szkoła“ dziecku się przedstawia? — Naprzód jako obawa pewna i ciekawość: co tam uvidzi nowego. Zrazu też wydziera się do tej szkoły chętnie. Zawdy to nowość — „pan“ czy „pani“ — dużo nowych dzieci. Ale po krótkim czasie ochota maleje. Jakieś tam znaki, mozół, sylabizowanie — a tu trza bez ruchu siedzieć — jak szturknąć którego w ławce: biją w łapę — nie, nic pociągającego. Chodzi, bo chodzi, bo go z obawy grzywny posyłają, ale naogół

widzi chętnie intencję ojców: by, jak roboty pilne, nie iść. A te roboty pilne często się wynajdą. — Wnet zbiega rok za rokiem — chłopak, dziewczyna, jak pojętne, nauczyło się z trudem czytać, pisać — więcej w domu nie widzą potrzeby. Ono też, jak ptak z gniazda, odbija się od szkoły — wśród zajęć gospodarskich większe ciekawości. Mało je nauczyciel przez roki te widział — a tu już pisanie, prośby, że dziecko już za duże do szkoły, a przy gospodarstwie w domu jest niezbędne. No i koniec akademji.

A teraz szkoła... Dostaje, jak widzimy, latorośle-dziczki, rzadko — poza regułą — o szlachetniejszych pędach. Dostaje je już z domu napół ukształcone, o całym swoistym świecie poglądów i wyobrażeń. Aby móc, przy chęciach dobrych, wszczepiać w nie nowe myśli, nowe przykazania, trzebaby zdjąć z nich całą korę narosłych nawyknień, pojąć, i zwijające się już w rysy charakteru je-mioły-pędy instynktów. Lecz jak to ma uczynić, gdy przez całe miesiące, zamiast 50 i 100, zjawia się po — 15 dzieci; gdy przeto nauczyciel dziecko rzadko widzi — poznać je każde z osobna nie ma możliwości — a przy obowiązku wyczerpania planów często w jednej dusznej szkolnej izbie, o indywidualizowaniu jakimś niema mowy. Zro-

zumiało jest, że w tych warunkach trudno z wron słowiki robić.

Jednak — przy postawieniu inszem... Gdyby szkoła, miała schematyzmem odstręczać, pociągała — gdyby istnie dawała dzieciom nowość: nowe objawienie życia — gdyby... Ba, gdyby. Nie z Marsa spadła ta instytucja, lecz z tejże społeczności wyszła. Taką i jest. Niewiadomo zaiste, kogo naprzód kształcić — młodzież, czy starych.

Widziałem szkołę na wsi idealną... Budynek frontem do słońca, z placem zabaw, ogrodem przestronnym, jak sanatorium: aby roślinna młodzież miała światła dużo i powietrza. Potem ową młodzież, idącą ze szkoły; grupy dziewcząt i chłopców, trzymające się za ręce, w harmonji radosnej, rozśpiewane. Tuż koło nich fruujące i siadające im omal na ramiona w przyjaznej bezobawie — ptaki. Któreżby z dzieci śmiało się rzucić na nie kamieniem?

Lecz było to w Szwajcarji — gdzie już dom dziecku — roślinie główną uwagę poświęca, wiedząc, że ma z niej wyrósć przyszły obywatel kraju.

XX. JARMARK.

Jak święta w monotonji powszedniej są ni-
by bukiety wdzięczne różnokwiecia, wyrosłe
ku roz pogodzie oczu i myśli w pustkowiu —
tak rozmaicą, choć inaczej, nudę dni Ada-
mowych na wsi i jarmarki. Są one w ziemi
poświęconym żywocie chłopca tem mniej
więcej, czem dla człowieka miejskiego wi-
dowiska, zebrania, rauty i hale targowe ra-
zem. Są gwarnym, hałaśliwym, bez osłon
widnym odłamem tak ubogiego życia pu-
blicznego na wsi, w którym — poza sąda-
mi — druga, cale ujemna strona duszy chłop-
skiej, czy już ogólnie ludzkiej, się przejawia.
Barwnością zaś i różnaitością scen, rozgry-
wających się na nim, urasta w obraz żywy
i pociągający, który ni by teatrum del'arte
gorszego gatunku staje się dla niewybrednej
wiejskiej rzeszy cywilizacyjną niejako po-
trzebą umysłu.

Uprzytomnijmy sobie w najogólniejszym
obrazie jarmark taki... Na wstępie zaraz gru-

py oderwane; to biedota żydowska, w nerwowym szwargocie zatrzymująca przyszłe na targ baby z koszykami kur, gęsi, nabiału. Pod płotem wikarjówki przemysł wiejski: konewki białe drewniane, cebrzyki, niecki, przetaki, warzechy, łyżki, sprzęt wszelki domowy. Pobok w sieni gróbarza kobiety z łokciami płótna, chłopci z wałkami sukna z owczej wełny. Niżej, na kamieńcu, między poręczami — targ na bydło. Dolatują stamtąd głosy podniesione, niby zażartych kłótni. Opodal, poza kościołem, jakby wyścigi jakieś: targ koński. — Wchodzimy w rynek przestronny, w centrum, w ognisko jarmarku. Na stołach, w rzędach tworzących ulice, rozłożyły się kramy rozmaite, wszelkich drobiazgów i świecideł pełne. W budkach, ciągnących się wystawą barwną wzdłuż ścian splakanych rynku: materiały sukienne, płócienne, chusty, stroje, ubrania gotowe. Dalej stoły kapelusznicze — stoły szewskie. Osobne stoły ze skórami. W rogu wolniejszym rynku: porozkładane na ziemi wyroby garncarskie. Opodal wozy z solą, z chlebem, ze słoniną — wozy z ziarnem, z nasionami — i co jeno świat okoliczny ma. — Wśród tego przelewa się tłum barwny, krzykliwy, najbardziej różnoraki, od dzieci małych do starców. — Młodzież otacza ciżbą kramy z pokusami oczu, podziwia wstążki,

wyroby świecące, próbuje gwizdków, fujarek; dziewczęta i baby młodsze najęściej kupią się przy strojach; gaździny oglądają miski, garnki, łyżki—gazdowie skóry, kapelusze, kłódki; największy zaś ścisk przy soli i chlebie.—W rynek wpływa wciąż i odpływa ku targom bydłecym ruchliwa ludzka fala. Ponad tym przelewem barwnym unoszą się: gwar, kłótnie, kłątwy, piski fujarek, ryk bydła, bek owiec, kwik świń — łączy się to wszystko razem w jakąś muzykę zgiełkliwą, która uszy przewierca, oszołamia. Jarmark.

Zbiegowisko to pociąga wszystkich; młodzież, — bo się napatrzy ciekawościom, jakie rzadko widzi; starych — bo się z tym owym spotkają, ugwarzą; tych zresztą, co interes choćby drobny na jarmarku mają. Bywa często: chłopina dwie mile okładane po jedne kierpce na jarmark idzie. Co drogą kierpców zedrze, to nie liczy, i dnia straconego nie rachuje. A jest też dużo takich, co bez żadnego zgoła interesu na jarmark ciągną. Ot tak, z wezwyczajenia, popatrzeć i zabić bez wyrzutu czas. Żaden jarmark — bliższy, dalszy — nie obejdzie się bez nich. Ba, wydaje im się, żeby się bez nich nie mógł całe odbyć. Muszą być wszędy przy targu — przy garncarzach, przy soli, przy bydło — muszą ceny wszystkie wiedzieć — nic oczom ich i uszom nie ujdzie. Kurjerzy jarmarczni,

spektatorzy. Co to czasu pochłania, zliczyć można, kiedy się zważy, że tygodnia bez jarmarku niema, a są okolice, gdzie oprócz soboty na każdy dzień tygodnia — w bliższym lub dalszym promieniu — wypada jarmark jakiś. Tym czas zlatuje wartko — tydzień wnet ptakiem przefrunie.

Co jarmark daje wsi? — Łatwy dostęp po rzeczy potrzeby, zbyt inwentarza żywego i wyrobów przemysłu na miejscu, dochód pewien dla gminy, w której się odbywa — i z racji tych jest dla okolicy danej ekonomicznym plusem. Lecz kto wie, czy nierównie więcej ujemnego w inszych dziedzinach przynosi. Cała bowiem podstawa jarmarku, to prymitywność targu na zasadzie: sprzedać, jak się da, najdrożej — kupić, możliwie najtaniej. Więc pole szerokie do cygaństw, oszustw wszelkiego rodzaju, do przeróżnych podstępstw i fałszywych przysiąg. Widzieć sprzedających, — jak świat wzywają na świadków, jak się Bogiem i dziećmi sumientują, lub kupujących — jak piorą kapelusze mi o ziem, jak się srożą, jak wszystko jeststwo swe kładą w tym momencie w myśl jedną: o zysku...

— Niech mie Bóg przy skonaniu opuści, niech marnie zdechnę jak pies: jak to bydlę ma jaką wadę! (A wie dobrze, ile ma wad i jakie).

— Niech jutra nie doczekam, niech mnie ta ziemia pochłonie: jak dam o centa więcej! (A za moment podnosi o 20 złotych).

Tu ustają względy krewieństwa, przyjaźni — szwagier oszuka szwagra — brat brata. Im człek bystrzejszy w umyśle, tem więcej w szachrajstwach jarmarcznych góruje—zaś jedynie uczciwie, więc ze stratą, zachowuje się w bezradzie swej głupiec. Najgorsze instynkty łapczywości na jarmarku się właśnie wyzwalają; jest to szkoła wyższa, która budzi i kształci tkwiące w namule duszy zdolności kłamliwe, rozwija handlarski spryt, uczy podstępów wszelakich — a na zduszenie wyrzutów niewczesnych, gdyby jakoweś po gałgaństwie uczynionem w sumieniu się tłukły, ma jedno przytłumiające wszelki sprzeciw: — jarmark.

Wytwarza się też w tej szkole praktyki typ bez balastu sumienia, wybity, otrzaskany, czelny i zdobywczy — typ, wszechnie znany, jarmarcznego kupca. Czy nim będzie handlarz bydła, skór, czy „łupek koński“ — katolik czy żyd — jedna wiara zysku bez skrupułów, jedna skóra handlarska, która już duszą stała się, ich łączy.

Ba, jarmark ma też swoją osobną literaturę: okropne, że włosy stają na głowie, opowieści, nieużywanym dotąd językiem pisane, pełne horrendów drukarskich; ma swo-

ją sztukę: obrazy świętych, bohomaży, ramki blaszane w kwiaty, wyroby drzewne, skórzane, papierowe, wszystko, co się określa nieomylnym wyrazem — tandeta. Ma też swój teatr: morskie świnki, myszy białe z losami, cuda sztukmistrzów — „kumedyje“, że gębę jeno ozdziawiać. Niekiedy nawet, gdy jarmark w miasteczku, pojawi się karuzela.

Osobną rzeczą byłoby zbadanie: co jarmark, „cywilizując“ smak i oczy chłopa, wsi naszej wyrządził złego; jak odebrał jej wiarę we własne wyroby; jak ją rozodział z własnoręcznie tkanej odzieży, z samodziiałów, a ubrał w swoje ze świata gałgany; co jej zrabował, a co nadniósł; jak zabił, zniszczył jej sztukę rodzimą, a dał jej wzamian — tandetę.

Lecz to już strata niewrotna — dar postępu, cywilizacji.

Poza tem jarmark w wadze swej wpływowej jest dla wsi giełdą. — Wprawdzie i w święta po sumie odbywają się na placach przedkościelnych giełdowe postoje — informacje wzajemne o postępie robót, o kłopotach domowych, o ostatnich wydarzeniach dni — lecz są niejako działem giełdy jednym, anegdotycznym, o daleko ciaśniejszym zakresie. Jarmark zaś jest ściąganiem ludzi nie tylko z tej parafji, ale z sąsiednich i dal-

szych, ba, nawet z miasta. Przeto zakres i doniosłość wieści, jakie giełda jarmarczna przynosi, są o wiele bardziej frapujące. Nawet polityczną gazetę zastępują. — Jedynie też w jarmarku dowiedzieć się można, co spadło w cenie, a co poszło wgóre, jakie są horoskopy na najbliższy tydzień: co w rachubach gospodarczych ma dużą wagę. Prócz tego wiele innych ciekawości.

To też dzień jarmarku w kole wrotnem życia powszedniego na wsi, jako i w myślach gospodarskich chłopów specjalną wyznacza się barwą. Chociaż po przejściu ostawia cień, jak chyłkiem z łupem uchodzący złodziej.

XXI. ŻYDZI.

O drażliwym padło mi mówić temacie. Nie silę się traktować sprawy tej jako kwestji, ni tem bardziej próbować jakowegoś jej zbawczego (podług wstępnych artykułów publicystycznych) rozwiązania. Nadto krwawi ta rzecz, nadto z żywym ciałem Polski jest szczepiona, by ją jednym czy dwoma artykułami, czy nawet książką całą, na podstawie jednostronnych, osobistych zauważeń, choćby przy szczudłach statystyki, a jeszcze przy uczuciowym swym do niej takim czy innym stosunku, móc śmielić się załatwić. Jeden z rozdziałów tej sprawy: „Żydzi na wsi“, już jest pracą postrzeżeń lat całych, i niejednego człeka. I tego się nie silę w tym liście pokazać. Chcę jeno kilka objawów (mniemać mogę, charakterystycznych), osobście po drodze postrzeżonych lub też zasłyszanych, jako anegdotyczny raczej materiał do poważnego tematu „Żydzi u nas“ podać.

Żydzi, — pomijając Wielkopolskę, gdzie

im powietrze zdawna nie służyło, skupili się przeważnie w miastach i miasteczkach, zajmując prawie wyłącznie niektóre dzielnice, żyjąc w zamkniętych swych ghettach, tworząc niejako miasta wschodnie w miastach. W b. Kongresówce, w niektórych skupiskach miejskich nawet liczebnie przeważają (np. Lublin ma 55% Żydów, Siedlce koło 65% i t. d.) Podobnie i w Małopolsce, zwłaszcza wschodniej (Zbaraż, Kołomyja, Brody i t. d.). Jedyne z miasteczek małopolskich, Żywiec, które Żyda w sobie na lekarstwo nie ma. Zdarzyło się raz, że Żydówka jakaś przejezdna stanęła w Żywcu w gospodzie i miała rodzić. Aliści, zwiedziawszy się o tem, rajce miejskie wszczęły powszechny alarm, i wywieziono położnicę z betami na przedmieście, aby potomek przynależności do Żywca, przez fakt urodzenia się tamże, nie nabył. Lecz, jak się rzekło, Żywiec jest wyjątkiem.

Na kilka lat przed wojną jeden z korespondentów angielskich zwiedzał Polskę, t. zn. przejeżdżał wzdłuż b. Galicji z Wiednia do Czerniowiec; jechał koleją podkarpacką i badał kraj przez okno wagonu. Przydarzyło się akurat w tym czasie, że miał przejeżdżać do Sącza rabin z Sadogóry, cudotwórca. Hasło poszło pomiędzy naród żydowski — i na całej linii, na wszystkich stacjach, od Są-

cza do Kołomyi, zebrały się podniecone taką chwilą ważną tłumy Żydów w swych odświętnych czapach i chałatach. Czarno było na peronach i naokoło dworców. Korespondent fotografował z okna i notował. — W jakiś czas potem ukazał się w jednym z angielskich magazynów artykuł wyczerpujący o Polsce, gdzie czytać można było: „Polacy noszą jeszcze strój wschodni, długie kręcone brody i t. d.“, a wśród tekstu fotografie dokładne, potwierdzające opis. (Wojna korespondentów sporo nauczyła, lecz wiele jeszcze podobnych o nas, psychicznych choćby, migawek-prawd w piśmie Zachodu się czyta).

Powszechnie prawie jest mniemanie na przykładach wielu gruntowane, że Żyd na wsi to pijawka, która ssie chłopską krew, rujnuje chłopa moralnie i materialnie, doprowadzając go w wielu razach do upadku i nędzy. Zapewne było tak dawniej, kiedy chłop był ciemny, a jedyną „oświatą“ dlań karczma, zapewne też tak jest do dziś we wschodniej Małopolsce. — Tu u nas, na Podhalu, tego się nie widzi. Zresztą górala trudno jest oszukać; prędzej on oszuka Żyda.

Nasuwają się na myśl np. rabczanie, handlujący na jarmarkach, jako pośrednicy, solą, skórą, naczyniami, bydłem, i czem się zresztą zdarzy. Kobieta, idąca na jarmark,

by coś sprzedać lub kupić, szepce pacierz, by ją Bóg opatrzył kupcem=Żydem, a nie rab=czaninem, bo gdy Żyd ją oszuka w pięcio=ro, to ten w dziesięcioro.

Rabczanie, naród chłopski, a od lat 30=tu dopiero zajmujący się kupiectwem, gdy Ży=dzi od wielu wieków. Handlarstwo, wiedno, nie jest elementarzem prawości.

Główną agendą Żydów poza pośrednic=twem wszelkiem były karczmy na wsiach, które tyle spustoszenia wśród ludu sprawi=ły. Trudno tu jednak całą winę zła uczynio=nego na Żydów składać; winien tu bowiem był razem i system propinacyjny, i szczegól=ną protekcją państwa ciesząca się, a legjon djabłów najlichszego autoramentu zawiera=jąca w sobie, wódka.

Ś. p. Władysław Zamoyski, właściciel dóbr kuźnickich w Zakopanem, chcąc zniszczyć w jamie głównego węża rozpajania chłopów a góralom przytem dać zarobek, odebrał w onym czasie w rejonie własności swojej propinacyjnej na Podhalu główne karczmy Ży=dom i poosadzał w nich gazdów=górali. Podu=mał jak najlepiej — lecz jak to w skutkach wyszło?... Otóż Żyd, wiadomo, podawał wód=kę, gdy kto żądał, lecz sam ani też z nim nie pił. A gazda, dostawszy się na propinację,

uważał, że jest królem trunków. Przychodzili do karczmy znajomi: ten kumoter, ten szwagier, temu niczego — gazda-propinator nie dawał im płacić, sam stawiał i pił z nimi. A działało się tak od poniedziałku do niedzieli. Nie było dnia, żeby mógł wytrzeźwieć. Rachunkami sobie głowy nie zaprzątał. Przychodziły papiery płatnicze, to je wrzucał do szuflady, a sam siadał z gośćmi przy stole. Był taki rok jeden, dwa lub trzy obfite — wreszcie hurtownicy za pobrane na kredyt piwo, wódkę, likiery, jeśli naciskać — poczęły spadać pozwy, wyroki, egzekucje — grunt chłopu zajęto — i gazda-propinator, aby ujść pomstowań żony, dzieci, sprzedał pocichu, co zdołał, na drogę i uciekł do Ameryki. Tak w wielu wypadkach zaszło. Taki był smutny koniec wesołych początków.

Zdarza się (choć nieczęsto), iż Żyd, siedząc z rodziną swą na wsi wśród otoczy chłopskiej, zwłaszcza wśród rasy góralskiej, która mu imponuje, po jakimś czasie sam chłopieje, — w pogwarce, w geście przybiera ton i wzięcie górala — a łatwiej jeszcze Żydówki się góralizują.

Bawiąc przed laty dwudziestu kilku w sierpniu w Zakopanem, odwiedziłem z kol. Staffem Jana Kasprowicza, który mieszkał wówczas za Skibówkami nad potokiem, w karczmie u Becka. Tam to napisał najpięk-

niejszy swój hymn: „Pieśń wieczorną“. Po-
dumał ją zapewne w pobliskich dolinach —
Strażyskiej czy Za Bramką, — gdzie pod wie-
czór ze swemi dumami zachodził. Wystrze-
lające ponad wierch promienie zachodzącego
słońca były mu, jako palce „ręki karzącej Se-
dziego“, a długo krwawiąca się zorza na za-
chodzie, gdy wieczorem powracał z doliny,
padała mu na duszę „kamiennem, ślepem
przerażeniem“.

I wówczas nie zastaliśmy Kasprowicza
w domu: był w bliskiej dolinie. Bawiła nas
żona karczmarza, Beckowa, siedzących
w oczekiwaniu na ganku, gwarząc o tem
i owem „cysto pieknie“, jak rodna gaździna.
A sądząc, że nie uważaliśmy tego, sama w
przechwale zaznaczyła: — „Cy nie uważacie,
panie, jak ja to cysto pieknie po góralsku
gwarzem?“... Juścić musieliśmy jej słownie
swój podziw wyrazić.

Ogółem, chowające się w zaduchu kar-
czem żydóweczki, dalece przerastają inteli-
gencją i wykształceniem swych chałatnych
braci. Nie zajmując się interesami ciągłemi,
nie zmuszane do codziennych formuł religij-
nych, mają dużo czasu na czytanie. Pochła-
niają też książki, skąd je dopadną, zawzięcie.
Literatura ma po zapadłych karczmach wiel-
bicielki. Są często, które znają „cały Przy-
byszewski, Tetmajer, Żeromski, nawet Tu-

wim“. Śmiesznie romantycznymi marzeniami daleko wybiegają poza duszność szynku. Aliści przyjdzie czas — pryska to wszystko, jak bańka mydlana — rzeczywistość w postaci męża=chałaciarza bierze stylizowaną Rachelę w swoje brudne łapy. Powszednie, w zaduchu karczem skryte, nikogo nie obchodzące tragedje.

Dawniej rodzinom żydowskim na wsi dobrze się działo. Lecz powstałe od lat dziesiątków kółka rolnicze, kooperatywy odjęły Żydom lwią część handlu, wreszcie warunki czasu wojny, a bardziej jeszcze powojenne dognębiły ich doreszty. Z pięciu, siedmiu rodzin w danej okolicy pozostały, dwie, jedna, i te trwają po większej części — jak tylko Żyd trwać może—w biedzie. Reszta wyemigrowała do miast i miasteczek, potęgując tam masową a ruchliwą nędzę, modląc się zapewne codziennie nadaremnie, jak ów znajomy mi stary karczmarz Deresiewicz: „Jahwe, Jahwe! Daj mi, proszę, nieduży zarobek, niewielki procent, ale stały“.

Emigracja dalsza, za morze, Żydów wsio wych nie ciągnie. Nie pociąga ich nawet Palestyna, która raczej ich myślom snem przy nastroju religijnym, wizją nierealną się strwaliła. Przytem (trzeba to zaznaczyć) mimo, że Żydzi swoją zewnętrżnością, konserwatyzmem talmudycznym, no i całym ty-

pem rasy obcy są temu krajowi, to przecie ich, zwłaszcza urodzonych na wsi, wiele włókien sentymentu, może nie odczuty z bliska, z tą ziemią wiąże. — Charakterystyczne jest, co mi opowiadał przyjaciel malarz, kilka lat bawiący w Syrii i Palestynie. Gdy wchodził — mówi — do jednego na pograniczu Syrii miasteczka, buchnął nań z ulic odór surowej gorzałki, jakby za wejściem do szynku. Cóż się okazało... Oto w miasteczku tem mieszkali sami prawie Żydzi, dawni emigranci z Polski, nawet nosili się niejako „po polsku“, półkontuszowo, pół z chłopska. I całe to miasteczko, wszyscy Żydzi naumór pili. Pili „z tęsknoty za Polską“. Brzmi to jak paradoks.

XXII. CYGANIE.

Cóż cyganie mają ze wsią, czy wieś z nimi, prócz tego, że się niekiedy ku utrapieniu gaździn, pośmiechowi młodzieży a postrachowi dzieci po niej kręcą? Czy obowiązkami, prawami jakimiś wchodzą choćby palcem jednym w społeczność wsi? Czy stoją gdzie w jakiej hipotece, w jakich papierach, świadczących że tu-byli, tu-są, że są oczywiście nie do tego gdzieś skrawka ziemi, a nie do całego globu przynależni?... Ani piędzi własności w katastrze, ani budować się mogą, ani nie mieszkający nigdzie wybierać do sejmu, gminy, ani procesować, ani łbów o grunt rozbijać—słowem, żadnego przywileju — i cóż takim do ludu? Sąż-by w metrykach wzmiankowani, marką obywatelstwa jakiegoś znaczeni, taką choćby, jak pańscy piesowie?... Wprawdzie podczas wojny spotkać ich można było w mundurze, pojedynką — tu, tam — w regimentach austriackich służących nieszczęśliwców, niby wilczaszków leśnych w niewolnym zaprzęgu — ale kto ich

gdzie doszedł, złapał i powołał, to już rzecz niedocieczona.

Bo z dojściem ich niełatwo... Wiadomo, jakie ręce długochwytne ma sowiooki fikus, a nie poradził z nimi. Przed wojną 10.000 spisane go narodu tego na Węgrzech zajmowało się przemysłem kowalskim. Cóż za wysiłki czynił skarb, by ten przemysł, całe dudy, opodatkować — i nieurada było. Oto da na gromada cyganów bawi w tym a w tym komitacie; rozłożyła przed namiotami swoje kowadła przenośne — kuje, aż huczy. „Mamy ich!“ — rzecze fiskus. Ba! gdy im wezwanie płatnicze przysłano — już byli w trzecim komitacie. A nim zarządzenie poszło, by tam je im przez władze doręczyć — już kuli za dziesiątą górą. Żadnym sposobem ich dostać. Nieuchwytni wciąż byli, jak woda na przetaku.

Cóż za naród — nie naród — jakaś pozostałość, oderwa od fali, wędrującej ze wschodu na zachód, jak owce oderwane od kierdełu. Przybliżali się z Azji za krewnymi swymi Madziarami w któryś tam wieku.

A mają talenta duże. Przedewszystkiem, jako muzykanci. To, co się zwykło nazywać muzyką madziarską, to muzyka cygańska. Dalej, jako kowale, majstry do wszystkiego, jedynorzęčni kotlarze; kotły ich daleko słyszają.

Mają też wiele przymiotów — ci niby bezcharakterni — charakteru (często n. p. w powieściach Jokaja nawodzonych). Mają swój cygański honor, są też za rzadko uczynioną im jakąś przysługę nie po cygańsku wdzięczni.

Jednak, przez tkwiący w ich krwi pierwotny pęd do włóczęgi, nigdzie nie mogą za-grzać miejsca. Tu są — a za dni kilka już o mile dalej. Koczują, gdzie warunki podatne znajdują, krócej=dłużej — i znowu pędzą światem. Rozumie się, że do tych warunków bytu muszą być od urodzenia przystosowani. Byłem sam świadkiem przed laty, jak rankiem wczesnym w październiku cyganka kąpała w rzece górskiej cyganie=noworodka. Było sine, gdy go wynurzyła z wody, jak siekiera, przez kowala z hartu wyjęta. Taki oby-watel świata albo krepnął odrazu, albo hartował się na całe życie.

Stosunki dzisiejsze prawne stawiają tych obieżyświatów w trudnych iście przeprawach. Muszą się przez gęstwę ludzką, przez płoty=paragrafy, jak wiatr przez gałęzie, przeciskać. To też nie dziw, że siódme przykazanie nie brzmi dla nich. „Nie kradnij“, ale „Żyj, jak możesz“. Żyją przeto, jak mogą, popędem wiatru=instynktu podani. Nigdzie rzekomo nie są, a są wszędzie: w Rosji, w Rumunji, w Polsce — na Węgrzech, gdzie

jako krewni najdomowiej się stosunkowo czują. Są w Hiszpanji, we Francji; niedawno na pobrzeżu w Ville Franche spotkałem ich koczowniczy obóz.

Czy jednak na tyle ważą w kłopotie=życiu wsi naszej, by o nich przy obrazach tego życia pisać. — Zapewne nie. Są, niby międzycienie znikome w pejzażu. Nie byłoby ich, nicby się uwadze oka nie zmieniło. Przecie w stosunku do nich, osobliwie, zaznaczają się pewne rysy umysłu, jak i charakteru chłopca. Dlatego warto, by im chwilę uwagi poświęcić.

Naogół, stosunek chłopca do cyganów jest pogardliwie=pobłażliwy — no, jak do takich pędziwiatrów, któremi przecie niekiedy można się dużo ubawić. Są okrasą egzotyczną, gdy się zjawia, nudy chałupnej. Jest też cała dziedzina osobna specjalnie cygańskiego humoru; są osobne anegdoty, żarty, powiedzenia, z budzącym już zgóry śmiech akcentem cygańskim, często, choć znane wszechnie, ku rozbawie nowej przytaczane. Nie trza wiele — byle co z ich wiatrowego, wisielczego życia, z ich podstępów, przemykań, filozofji włóczęgów — i śmiech ludzi pokłada. Np.:

Chwycili gdzieś cygana na kradzieży. Wyciągnęli go pod płótem i biją. Cygan błaga: „Moi piekni, bijcie, kielo chcecie, ino za płót mnie nie przeciskujcie!“. Chłopi tedy: „Aha!

O to ci idzie?“ Podjęli go i za płot przecięli. A cygan, wolny, w nogi...

Albo: Umierał cygan na jakimś barłogu. A chciał umrzeć jak gazda. Tedy każe nająć konie, posłać po notariusza. Testament — mówi — będzie robił. (Ho! — szepcą — musi mieć majątek skryty). Gdy się notariusz zjawił, jał cygan odkazywać: wójtowi las, przysiężnym po parceli, temu sad, tamtemu chałupę, inszym po tyle a tyle — no i na po grzeb sumę sporą nakazał wpisać. Skoro notariusz to popisał, i pytają: „Kto to będzie dawał? — cygan naiwnie: „Ten da, co ma — ja nie dam, bo ni mam“. To rzekłszy, gałgan, oczy zamknął i pomarł. Dość, że ich wywiódł, jeszcze notariuszowi koszta musieli zapłacić. A on se umarł jak gazda.

I tym podobnych wiele. To jedna strona stosunku, wesola. Lecz bywa też stosunek wsi do tych włóczęgów=nedzarzy często i niemiłosierny. Nie dziw, gdy się objawia wobec tych, co ich na złodziejstwie jakimś przychwycono, aleć zaznacza się ta nieludzkość i wobec Bogu ducha winnych przemykaczy.

Oto cygan=odmieniec, któremu się sprzykrzyła włóczęga, który pozazdrościł spokojnego bytowania gazdom, chce zostać i osiąść na wsi; nie, jako truteń bezużyteczny, ciężący — ma w ręku fach, kowalstwo. Już upa-

trzył sobie miejsce, nieużytek, gdzieby kuźnię mógł postawić — o chałupie narazie nie marzy, kątemby się gdzieś u biedy jakiej przytulił albo kolebę od deszczu z paru desek, wodzie wyłowionych, sklecił — i siedziałby. Ba — ale przynależność? Tę musi zdobyć, nim się zadomowi. Udaje się więc do gminy, do Rady — przedkłada, twierdzi: tu jego matka żyła, tu na kamieńcu urodzony, tu go podobno chrzcili, tu w parafji ślub biał — tuby się wszystkim przydał, łańcuchyby im, siekiery, kopaczki robił i t. p.

Nanic dowody, prośby, zalecania: przynależności nie dostanie. Chce pracować, chce wejść do społeczności — nie wpuszczają; musi zostać, jak był, za nawiasem. Chcąc utknąć, może jeno gdzieś pobocznie wsi, na wydmie, koło wody, jak ptak przelotny, na tymczasowości. Społeczność go za członka nie uzna, a do wpierającego się do niej wrogo się odniesie (zob. Kraszewski: „Chałta za wsią“).

Do najgorszych niedogód, jak się rzekło, wezwyczajona jest, wiatrom zdana, biedota cygańska, ale niekiedy przecie w nadto ciężkie popada warunki. Zwłaszcza zimą, gdy się trafi sroga. Tedy pędzone mrozem familje, nie mogąc naleźć przytuliska we wsi, domowią się w jakiejś szopie, opuszczonej kolebie przyleśnej, gdzie wiatr przez ściany

chadza. Palą we wnętrzu mokre drzewo i ku-
lą się półnaczy w dymie zimnego ogniska.
Zdarzyło się: całą taką rodzinę cygańską
naleziono w szopie otwartej pod lasem, przy
wygasłym ognisku skuloną i na śmierć za-
kostniałą. Mówiono o tem z pewną sensa-
cją: „Jaki to twardy mróz musiał być!...”

XXIII. WIEŚ SZWAJCARSKA I NASZA.

Jeśli osadę naszą nazwać wsią, to niewiadem, jak określić np. wieś szwajcarską, zbudowaną w modłę miejską z cegły i kamienia, o domach często piętrowych, o uliczkach brukowanych, gdzie niegdzie rzuconych nawet trotuarach, mającą elektryczne światło, wodociągi, czego niejednym naszym miastom brak.

Jeśli wieś coś w owem skupisku miejskiem przypomina, to nawóz, który się koło domów spotyka. Lecz jakim on tam poszaniowaniem otoczony — w omurowaniu, w cementowych zbiornikach, jako rzecz droga zamykany: aby się nic z jego radu przecennego nie uroniło. I bydło murowanice ma godne, o powietrzu, czystości, wygodach wszelkich, jak przystoi; to też wypłaca się wdzięcznie. Widziałem w bilansie, przez gospodynię Szwajcarce z końcem roku sporządzanym, dochód jej roczny z mleka. Nie jeden pan radca u nas nie śmiałby w naj-

śmielszych snach noworocznych o takiej pensji marzyć. Rozumie się, że w miejscu jest Spółka mleczarska i zarząd jej, z synów gospodarskich, płatny. — We wsi jest tartak, młyn, piekarnia, rzeźnie, sklep ze wszystkim, apteka, kawiarnia; jest ślusarz, kowal, krawiec, szewc, rymarz, tapicer i t. d. Gdy jakiego rzemieślnika brak, to wieś swoim kosztem wysyła chętnego chłopca na naukę, z tem, by, odbywszy praktykę rzemiosła, w swej gminie osiadł. — Uwagi godna jest ta samowystarczalność wsi szwajcarskiej i ograniczenie do minimum zwracania się w potrzebach swych do miasta.

Żebraków się nie spotyka wcale; bo gdy pracować kto niezdolen, a nie ma rodziny, to pozostaje na opiece gminy. — Lekarz okręgowy dla kilku wsi, pobierający z gminnych podatków pensję, obowiązany jest leczyć chorych bezpłatnie i przynajmniej co parę dni obejść koleją swych pacjentów, których zresztą ma znikomie niewielu. Lud szwajcarski jest zdrowy. Sprawiają to: odżywianie się posilne, dobre warunki mieszkalne (spanie np. latem zimą przy otwartych oknach w nieopalanym pokojach) i praca umiarowa, która jest raczej przyjemnością, a nie męczącą katorgą, jak większość prac naszego chłopca.

Roboty koło sadów, pól, uprawy winnic,

jak rozwożenie nawozu, obcinanie drzew wiosną i t. d. odbywają się w jednych dniach z całej wioski razem — są niejako sportową zabawą. — Widziałem, jak np. odbywała się tam zwózka drzewa opałowego. Oto w styczniu, gdy śnieg spadł, i sanna się dobra uczyła, wyruszała wieś — każdy z lekkimi saniami, sam je ciągnąc — po drzewo w górę do lasu, które tam jesienią, w siągi porąbane, przygotowano. A naładowawszy na sanie między kłonicę pół siągi, siadał mościobywatel między nosami sań, wspierał się plecyma w ścianę drzewa, wyciągał nogi — kij w dłoń do kierowania — i jazda, na dół!.. Jeden za drugim — z pokrzykami, hukaniem wesołem — jakby dzieci zjeżdżały saniami. Droga pyszna, spadająca z góry serpentyną — mila blisko — zniosła ich w minut dwadzieścia ku domom pod same progi. — U nas taka rzecz byłaby nie do pomyslenia: z powodu nieodpowiednich, a częściej żadnych dróg.

Otoć, co wsi szwajcarskiej jest dogodą główną — to przedewszystkiem drogi. Idą, świetne, we wszystkich kierunkach. Gdzieś z góry — jak z Turbacza nadół — spada gościniec zakrętny — miast poręczy od dołu betonowym murem chronny, z cementowanym ściekiem. Potoki zregulowane spadem tarasowym. Na byle potoku most-cudo in-

zynierskiej pracy. Wszak to legjony rzymskie pierwsze tu drogi mościły. Jeszcze po dziś ich szczątki kamienne ostały. Widać: stara kultura od wieków pośród gór tych pracę rozpoczęła. Wszystko zaś przez rozum pospólny ku temu szło — co dziś już we krwi jest Szwajcara —: by udogodnić sobie życie. Przeto można tam zobaczyć na wysoko w górach położonych halach, gdzie wody brak, studnie i stągwie dla bydła, doprowadzone wodociągiem. — Mogą sobie na wiele w tej udogodzie społecznej pozwolić, bowiem w tem szczęśliwym znajdują się położeniu, iż nie muszą marnować lwiej części podatków na t. zw. państwowe konieczności.

Widziałem ich zabawę we wojsko. Gdy jednego ranka, wstawszy z łóżka, spojrzałem przez okno w ulicę: aż mię zdumienie w czoło uderzyło. Co się stało? czy wróg wtargnął niespodzianie nocą i okupował wieś?.. Nic nie widać, tylko mundury żołnierzy. — Przypatrzywszy się baczniej, dopiero rozeznaję pod marsowemi kaskami znajome fizjognomje ze wsi. — Ten oto brodziały wczora, widziałem, nawóz do winnicy woził; tamten sad opatrywał — dziś srodcy żołnierze. Cała wieś — do ostatniego chłopca — zmobilizowana. Cóżby to było, wojna?... Wywiodła mnie z zadziwienia służąca, która śniadanie przyniosła. „Oto — po-

wiada — komisja do wsi przyjechała zbadać stan uzbrojenia, i wszyscy w pełnym rynsztunku mają się zebrać na placu przed szkołą“. Z ciekawości poszedłem. Na obszernym placu szkolnym zebrała się kompanja pełna, z karabinami, tornistrami, jak przed wymarszem. Przybyła komisja (oficerów paru), gwarząc przyjaźnie z ludźmi, bez żadnych pruskich „hab‘achtów“ i „gliedów“, sprawdziła czystość sprzętu żołnierskiego, któremu nic zresztą nie można było zarzucić. Wszystko było — od gweru do menażki — w najlepszem utrzymaniu. Poczem ci groźni „żołnierze“ zaprosili komisję na wino do kawiarni — i już do nocy w mundurach pozostali, napełniając wieś całą „wojeńską“ pocziwą „butą“ i śpiewami. Rano nazajutrz każdy znów przy swojej pracy — „zbrój“ złożona na strychu.

Uczciwość ich rzadka poszła w przysłowie. Nie wiedzą tam, co kradzież. — Dla ciekawości sprawdzenia wbilem był scyzoryk cenny w mur na moście na widocznem miejscu, gdzie setki ludzi co dnia przechodziło. Świecił się przez tydzień przeszło, nieruszony, musiałem go wkońcu sam zabrać. — Nie wiedzą również, co sądy. Biuro dla spadkowych transakcyj jest w mieście na dole. — Ale bo też tam już zmała, w krew młodzieży wszczepiana, jest uczciwość spółzycia,

poszanowanie społecznej i cudzej własności, chronienie drzewek, ptaków i t. d. Szkoła elementarna najtroskliwszą tam jest (a jak u nas?) otoczona pieczą. Rozumią tam wagę dziecka i jego kultury, że ta latorośl łomliwa, wszelkim możliwościom skłonna, to przecie przyszyłoby obywatel kraju.

Patrząc na te urządzenia mądre, miałem w pamięci żywej naszego bałagulstwa obraz. Z gorycznym smętkiem myślałem — przez narzucającą się przeciwstawność — często o wsi naszej; jak długich trzeba lat, i czy to jest — przy niespołecznem nastawieniu umysłów — możliwe, by do takiego wysokiego zspołecznienia doszła.

A jednak... jednak musiałem też po dłuższej uwadze przyznać, że wieś szwajcarska, mimo kultury urządzeń — przez starcie różnic, spodobnienie ludzi, masowe niejako sfilistrzenie — jest *à la longue* duszna dla ducha i nudna, a wieś nasza, mimo półdzikich niedogód, zaopuszczona daleko i używająca jeszcze prymitywów w polu powszechnej uprawy, ta biedna wieś nasza jest przez bogactwo indywidualności osobliwych o wiele, wiele ciekawsza.

XXIV. OKULARY GUWERNERA.

Przypomina mi się czasem owo śmieszne, jak się to w podróży trafia, przeznaczeniowe już z nieznajomym „rodakiem“ spotkanie i wynikłe stąd dialogi, które nas kiedyś z kol. Staffem do łez ubawiły w drodze powrotnej z Włoch. — Warto je może zanotować, jako charakterystyczne dla pewnego typu ludzi, przez okulary nieswoje patrzących na inne społeczne sfery zarazem jako przyczynek epizodowy do obrazu naszego powszechnie znanego „demokratyzmu“.

Było to w latach naszych lekkich a słonecznych młodości beztroskliwej. To też miesiąc włóczęgi po Włoszech przemknął nam, jako noc karnawału z bajki, w rozprawie, śmiechu i zachwycie, z odrobiną miłego przy końcu znużenia.

Wracaliśmy statkiem z Arkony do Rjeki. Wyruszyliśmy z portu pod noc prawie. A że morze było wzburzone i okręcik mały, niezwykle kołyszący, w przewidywaniu niemi-

łych następstw spożyliśmy kolację obfitą, wypiliśmy dwie pękate butelje Chianti i ułożyliśmy się na kanapach przy zejściu do jadalni. Przespaliśmy noc szczęśliwie. Gdyśmy się obudzili, ranek już był — dojeżdżaliśmy do Fiume.

Wychodzimy na pokład — zaduch, aż nosem kręci — majtkowie zlewają wodą i zmywają deski — pasażerowie, tak panie jak i panowie, snują się osłabieni, bladzi: widać nieszczęsną noc mieli. Gratulujemy sobie recepty z sutą kolacją i winem, co nas, jako widzimy, od ogólnej niedoli uchroniło, i obserwujemy amfiteatr podnoszącej się z zakola portu Rjeki. Wtem przystępuje do nas jakiś pasażer mizerny.

— Panowie rodacy! Jak to szczęśliwie. Czy nie mogliby mnie panowie objaśnić, jak porozumieć się w porcie z tragarzem, bo ja mam dziesięć kufków, a nie umiem po chorwacku...

Spojrzeliliśmy nań zdziwieni. Nie wyglądał wcale na to, by woził z sobą dziesięć kufków. Około lat trzydziestu, szczupły, z zaniedbaną brodą, w okularach, w ubraniu przypelzłem, miał pozór spóźnionego studenta przyrody.

— Da pan — powiada Staff — guldena tragarzowi, to odrazu zrozumie. Zresztą

w porcie wszyscy mówią lub rozumieją po włosku.

Podziękował za radę i odszedł do swoich dziesięciu kufrów. A myśmy zgadywali i dowcipkowali, co to może być za osoba z fachu. Na majątnego nie „patrzy“, na włamywacza, też nie...

Opuściwszy statek, zjedliśmy w jakiejś kawiarni śniadanie, poczem udaliśmy się na dworzec. Gdyśmy wsiedli do przedziału drugiej klasy, zastaliśmy tam już naszego „rodaka“. Dziękował nam za informacje i, wyrażając przyjemność ze wspólnej z nami jazdy, przedstawił się nam:

— Zvegment Solawa T.

Myśmy też bąknęli swoje nazwiska, z czego pozostało mu w uszach a.

— To panowie — rzekł — ze starych rodów, których imiona najczęściej kończą się na a, jak np. Grzymała, Pierzchała...

Chciał podkreślić swojego Solawę, czego myśmy nie chcieli zrozumieć.

— Zaraz poznałem, z kim mam zaszczyt. Bo ja jestem fizjognomista. Odrazu poznam z twarzy i postawy, czy to mieszczanin, chłop (choćby był we fraku), czy człowiek z naszej sfery (podkreślił naszej, grassejując r).

Skrzyżowaliśmy ze Staffem spojrzenia.

Zabawny jakiś idjota. Lecz owe dziesięć kufrów...

— A cóż z kuframi? — pytamy.

— Załadowane, jadą z nami.

— To pańskie kufry?

— Nasze.

Cóż za pluralne księstwo. Przyszła nam na myśl archeologia.

— Wykopaliska może pan przewozi?

— Nie. Rzeczy pani hrabiny. A bo zapomniałem panom powiedzieć, że jestem guwernerem u hrabiny P.

— Ah, tak...

Rozczarowanie ujrzał w naszych twarzach i odniósł je widocznie do siebie, nie wiedząc, że odnosiło się do onych dziesięciu kufrów. Począł przeto z zapałem opowiadać: jak z panią hrabiną, jej córką i narzeczoną księciem zwiedzali kościoły włoskie; jak go napiwki dużo kosztowały, bo wszędzie brano go też za hrabiego. (Włosi, to fizjognomiści, panie); jak byli u papieża grupką małą na audjencji; jak papież pobłogosławił związek córki hrabiny P. z młodym księciem S.; ile to hrabinę P. kosztowało; jak ich to wkońcu zmęczyło — a teraz jadą do Budapesztu, gdzie mają odwiedzić po drodze jedną z najbardziej arystokratycznych rodzin węgierskich, spokrewnioną z księstwem S.

— Więc pańska hrabina też tym pociągiem jedzie?

— Tak, pierwszą klasą. Bona, która rzeczy pilnuje, jedzie trzecią...

— A pan, z kufkami, drugą. Hierarchicznie. Zauważył, że zaczynamy podrwiwać. Chciał się do nas dostosować, a nie wiedział jak — nie wiedział gruntu — począł pływać.

— Pani hrabina — zwierzył się nam — złożyła 50.000 rubli na ręce papieża na nowy kościół w Rzymie, a w jej wsi na Podlasiu niema za co kościoła postawić.

Widząc, że jego demokratycznych wynurzeń nie aplauzujemy, wrócił do swojej fizjonomiki i jał rozsnuwać przed nami swój światopogląd dystynkcyjny, tak do jego wyglądu Boże-ratuj-nego nie pasujący.

— Człowiek z naszej sfery (czytać: sfehy) nigdy się jakimś krokiem nie-na-miejscu, by w najmniejszym drobiazgu, nie skompromituje. Jest zawsze i we wszystkim korrekt. Ma to we krwi, z tem się już urodził. A weźmy mieszczanina albo chłopca, za pana przebranego. Nic tu nie płacą szkoły i nauki, otwarte dziś dla wszystkich. Dystynkcji, wytwornych manier, tych przez naukę nie nabędzie. To też z ruchów, z wyglądu, gestu, z całego wzięcia się poznać człowieka sfer niskich. Np. na bal, na przyjęcie jakieś, do salonu wpuszczony, choć niby podpatrzył

zachowanie się ludzi z towarzystwa i stara się do nich dostosować, to zawsze wyjdzie coś: albo nos wytrze za głośno, albo plunie na podłogę — zawsze się swoim zachowaniem zdradzi.

Brał nas — żeśmy w beretach byli — za malarzy, ale ze sfery „swojej“. Gdyśmy jednak pokpiwać poczęli z jego tych oświetlań, dając inne, zbłąkał się już w swym co do nas poglądzie. Chcąc gdzieś na gruncie stanąć, zwrócił się w pewnym momencie do Staffa:

— Przepraszam, bo nie dosłyszałem dobrze... jakie nazwisko pańskie?

Dopiero, gdy usłyszał „Staff“, jął się z zachwytem rozwódzić:

— Znam! Czytałem! „Sny o potędze“. A jakże. Zaraz sobie pomyślałem, że pan musi być poeta. (Mnie już zdecydowanie trzymał za malarza). Cóż—że pan z miasta. Poezja uszlachca—co mówię—poeta ród swój od bogów wywodzi. Było ich wielu z mieszczan: Szymonowicz, Zimorowicz, Asnyk... „Sny o potędze“ kupiłem zaraz, jak wyszły. Staram się wszystkie nowości kupować.

Tu wdał się ze Staffem w dyskurs o współczesnej naszej literaturze. To znaczy: Staff rzucił czasem jakąś tam uwagę, nie mając bynajmniej chęci serjo rzeczy prowadzić, a pan Solawa z zapalem wygłaszał osady, tu i tam z rozmów salonów wyrwane, przeważ-

nie snobistyczne. Dość jednak sporo czytał. Zeszła mowa na Reymonta, Sieroszewskiego, na młodszych...

— A co pan sądzi o Orkanie? — zwrócił się do Staffa.

Staff spojrział z uśmiechem na mnie. Dałem mu znak oczyma. Więc spoważniał i coś tam bąknął w odpowiedzi.

— On mieszka gdzieś koło Zakopanego — zaczął pan T.

— Na Podhalu — poddałem.

— To pono syn chłopaka...

— Tak, chłop, góral — świadczyłem.

— To też widać w jego rzeczach. Czytałem nowele jego „Nad urwiskiem“. Mówią, że ma talent. Ale mnie te rzeczy rażą. Autor nie może wyjść poza swoją sferę — i, jakby to powiedzieć...

— Stoi na stanowisku postaci, które opisuje — pomogłem.

— To, to właśnie. Świetnie pan określa. Już to chłop, jak mówiłem, zawsze zostanie, choć w przebraniu, chłopem; czuć go oborą. Zawsze wyjdzie ordynarność. Tak i w tych rzeczach Orkana, choć tam mówią...

— Co tam snoby chłopomańskie mówią!

W tem podobieństwie jechaliśmy dalej. Pomagałem mu rzetelnie, i pognębiliśmy siebie zupełnie. Poczem wyszliśmy ze Staffem na kurytarz, aby się uśmieć dowoli.

Ponieważ zaś pan Solawa częstował nas w przedziale jakimś kwaskiem winnym, który dostał od pani hrabiny, więc zrewanżowaliśmy się, zapraszając go na wino do restauracji w pociągu. W trakcie rozmowy podjął „rozdak“ znów literaturę.

— Jestem już — mówi — kilka miesięcy poza krajem. Nie wiem, co nowego się ukazało tymczasem. Może panowie będziecie łaskawi podać mi listę ostatnio wydanych książek. Chciałbym je nabyć zaraz po przyjeździe. Bo ja wszystkie nowości kupuję.

Wyjął notes. Tedy zaczynamy mu dyktować. Ja pierwszy:

— Niech pan zapisze: „Mistrz Twardowski Staffa...

— A! To pan wydał! Naturalnie. Bardzo się na to cieszę. Zaraz kupię.

Staff w odplacie dyktuje:

— Niech pan pisze: „W roztokach“ Orkana...

— Orkana? — skrzywił się. — Co to, nowe wele znów?

— Powieść.

— Zapewne chłopska. Nie, nie warto kupować.

— Rozumie się — przyświadczam. — Za przykrość jeszcze płacić! Jedźmy dalej..

Gdyśmy zpowrotem w przedziale usiedli,

zdarzył się naszemu arbitrowi dystynkcji nie-
miły przypadek. Oto zdjął na chwilę okula-
ry. A będąc krótkowidzem i nie widząc, że
okno nieopuszczone, sądząc, że pluje za ok-
no, plunął w szybę... ou dyabl!... Postrzegł
to i spojrział na nas w przerażeniu. Udali-
śmy, żeśmy nie zauważyli.

A gdyśmy dojeżdżali do Budapesztu, gdzie
miał z swoim hrabstwem wysiąść, przy że-
gnaniu, ofiarując się do usług, gdyby nas któ-
rego kiedy wiatr przywiał do Warszawy,
i, podając swój adres, wzajem prosił o nasze
adresy.

Właśnie pociąg zarył już na dworcu. „Ro-
dak“ wysiadał. Więc Staff wręczył mu swój
bilet z adresem. A ja, stojącemu już na stop-
niach, nie mając biletu, podyktowałem:

— Wł. Orkan, Poręba Wielka, p. Niedź-
wiedź.

Do dziś widzę jego twarz wyciągniętą.

— Ależ ja... kupię! wszystko kupię! —
wyjąkał.

— Wdzięczny będzie wydawca — rze-
kłem. — Niech się pan wcale nie martwi. Do
widzenia!

XXV. TEATR LUDOWY.

Nie mam tu na myśli teatru popularnego, niby ku oświacie sfer przedmiejskich przeznaczonego, a najczęściej poniżej ich smaku prowadzonego, przez nieporozumienie zwykle zwanego także „ludowym“, lecz teatr ściśle ludowy, t. zn. przez chłopów lub dla chłopów grany. Teatr ten w czasach ostatnich wiele umysłów ruchliwych, zwłaszcza wśród oświatowców, zajmuje, i ludzie wcale rozumni widzą w jego poczynaniach wagę dla wsi dużą, nieomal odrodzieńczą. Dlatego też, choć dotąd nie gra w kłopotach wsi naszej jako czynnik poważniejszy żadnej prawie roli, warto mu nieco bliższej uwagi poświęcić.

Jak traktowano na wsi, i dotąd jeszcze gdzie niegdzie traktują teatr wogóle? Oto jako nieszkodliwe, podobne jarmarczynom ciekawościom (morskim świnkom, kuglarskim sztukom), „kumedye“. Taki bo też „teatr“, komedjancko płytki, bezsensowy, gdy się przypadkiem zdarzyło, w przedstawieniach

przejezdnych „szmir“ po miasteczkach we święta lub jarmarkach dawniej widywano. O tem zaś, by teatrem miały być jasełka, szopka, kolędnicy z gwiazdą i turoniem, jako i inne, dotyczące ważniejszych momentów życia wsi zwyczajem, nikomu do głowy nie przychodziło. Dopiero tu i ówdzie „uzdajane“ z onych zwyczajów niektórych (jak posiadły, prządki i t. d.), na pokaz gościom, „wieczornice“, dały oklaskiwanym zmiarkować, że to coś jakoby teatr; że się to słuchającym i patrzącym widzi; i to ich do powtarzania owych „wieczornic“ (Zakopane) z dadatkami różnemi skłaniało.

O zdolnościach aktorskich wśród warstwy chłopskiej ogółem trudno mówić, choć naturalnie w okolicach, gdzie inteligencja rasy jest lotniejsza, trafia się z pośród młodzieży mieszanej tak aktorki jak aktorzy zdolni. Miałem możność przyjrzeć się, jako aktorom, góralom, próbując z nimi przez zimę jedną w Związku w Zakopanem „Bunt Napierskiego“ Kasprowicza. Materiał wyśmienity. Mogą dojść do miary gry w danej sztuce zupełnie dobrych aktorów, lecz po kilkomiesięcznem przygotowaniu. Także winni odtwarzać tylko role chłopskie. Gdy w sztuce (jak tu) mieszanej przychodzą i postaci inteligenckie, to winny być obsadzone przez fachowe siły aktorskie. Taki zespół może coś pokazać —

inaczej będzie (gdy forma sztuki nie nowa) widowiskiem zwykłym amatorskim. A na to szkoda trudu.

Na kilka lat przed wojną powstał we Lwowie „Związek teatrów i chórów włościańskich“, chcąc próbom scenicznym wiejskim na terenie Małopolski, inicjowanym przez ruchliwsze nauczycielstwo, dopomóc, nadać im kierunek pewien i wytworzyć zczasem ważący oświatowo „teatr włościański“. Zamiały te poza techniczną pomocą nic naiwnym, amatorskim próbom nie przydały. Dopiero w latach ostatnich, gdy powstały w Warszawie „Związek teatrów ludowych“ począł wraz ze Związkiem lwowskim wydawać wspólny miesięcznik p. t. „Teatr ludowy“, widzi się, jakby się coś nowego w tej dziedzinie nowotnej wykluwało. Zarząd Związku zdaje się rozumieć, że opieranie, jak dotąd, powstających teatrzyków wiejskich na dostarczonym im repertuarze, to poprostu rozwiewanie plew po wsiach, nic więcej. — W katalogu, mieszczącym przeszło dwieście sztuk i sztuczek, wydanych i zaleconych przez Związek dla użytku teatrów włościańskich, kilka jeno jest zaledwie służących celowi; reszta patryjotyczne (Boże się pożał) lichoty albo przedmiejskie owe „kumedye“. — W miesięczniku więc rzeczonym poczynają się ukazywać artykuły, w których kładzie się na

cisk na podania, klechdy, zwyczaje i uroczystości wiejskie staroświeckie, jako na materiał widowisk ludowych. Nawet z tej owej okolicy podane obrzędy (wesela, dożynki, chrzciny i t. d.), powierzchni inscenizowane, miesięcznik w łamach swych zamieszcza. Zwraca przytem rozumnie uwagę na regionalne onej odrębności.

Kierownictwo „Związku teatrów ludowych“ pragnie tu iść za myślą i wyraźnym wskazem Żeromskiego, który w rozważaniach swych (Snobizm i postęp) tym właśnie zapomnianym, a niezgasłym źródłem czar i władzę odrodzenia teatru, nietylko ludowego, przypisuje. „Niezmierna dziedzina twórczości — powiada, widząc brak repertuaru odnośnego — leży właśnie wśród ludu. Może tam również leży sposób nieznany nam jeszcze na teatr narodowy, nasz własny. Inteligencja tylko schylić się ma, żeby ów sposób zobaczyć, podnieść, wyświecić i podać ludowi, jako świetny i najzupełniej odpowiadający celowi teatr, przede wszystkim ludowy. Mowa tu o ogromie legend, podań, klechd, historyj, bajek, gadek, opowieści, przywiązanych do ruin, wzgórz, uroczysk, miejsc szczególnych, mających w każdej okolicy swe dzieje własne, żyjące w ustach ludu. Każda w Polsce ruina ma swą baśń, zniekształconą w sennem przepomnie-

niu. — Ale poza sferą legend zamkowych istnieje cały świat podań z czasów nowszych, wreszcie ogromna ilość bajek i klechd, opływających całą ziemię i żyjących w naszym przeistoczeniu wioskowem, jak np. bajki z tysiąca i jednej nocy. Każda prawie bajka kaszubska jest dramatem, który można grać na scenie. Oprócz legend ogólnoludzkich istnieją jeszcze baśnie czysto polskie na tle religijnem, rolniczem i pasterskiem, baśnie leśne o zbójcach, a w ziemi krakowskiej, śląskiej i kieleckiej, dawne ze średniowiecza, górnicze. — Oczywiście, iż z tego mnóstwa legend i podań te tylko mogą być wybrane, które posiadają warunki po temu — jedność miejsca i czasu, piękno wewnętrzne i moralne, poezję akcji, no i łatwe są do zrealizowania“.

Po linii też wskazań Żeromskiego poprowadził M. Limanowski w Wilnie widowisko, na podstawie miejscowej legendy o bazyliuszku, p. t. „Walka ze smokiem“, przez Akad. dram. Koło odtworzone, w którym wzięło całe miasto udział.

Dalej już w eksperymencie poszła młodzież uniwersytetu włościańskiego w Szybach, grając na imieniny dyrektora komedję „z głowy“. Żadnego tekstu „artyści“ nie mieli. Umówili się „zgrubsza“ i po chaotycznych próbach, stworzyli na scenie do-

piero rzecz nową (del'arte), w ogólnie zakreślonych ramach. To już jest coś.

Urodzony dramaturg, Żeromski, intuicją szczęśliwą wskazał na niewyczerpaną rodzimą skarbnicę, jako na wyjście dla dramatu i dla teatru ludowego. Ciekawe było stanowisko drugiego wielkiego dramaturga, Wyspiańskiego, odnośnie do poczyniań teatru wiejskiego. Jego matematyczny umysł zwrócił uwagę przede wszystkim na praktyczną, oświatową stronę zadań teatru na wsi. Przypominam sobie, jak pewnego razu w kawiarni Schmidta w Krakowie tłumaczył mi szeroko, jakie sztuki dla ludu powinno się pisać, z którychby korzyść doraźną wieś miała; a więc sztuki na temat wychodźstwa, robót rolnych w Prusach, ochrony ziemi i pracy, i innych spraw aktualnych.

Z powyższych przytoczeń widać, iż Wyspiański miał na myśli teatr dla ludu, gdy Żeromski propagował teatr ludowy. — Ośmielę się opinję tych dwóch wielkich twórców odnośnie do omawianej sprawy uzupełnić.

Jeśli o oświatę, wpływ doraźny chodzi: to winny być w miastach powiatowych, jako i w większych skupiskach wsi, utworzone budynki ze scenami, na których subwencjonowany wędrowny teatr, z świetnych aktorów złożony, przedstawiałby dla tłumów dramaty realistyczne, w łeb uderzające prawdą,

wstrząsające (jak „Potęga ciemnoty“ Tolstoj, „Wróg ludu“ Ibsena, „Furman Henschel“ Hauptmana i t. p.), jako też jasne treścią i zrozumiałe formą arcydzieła. — Natomiast teatr, przez chłopów grany, rozumiałbym: jako eksperymentalny — również i co do formy. Więc; począwszy od prymitywów dramatu (np. od takiego „Kupca“ Mikołaja Reja), kolejną za jego rozwojem do rzeczy nowo — w tym sensie — tworzonych, przy regionalnem rzeczy traktowaniu (gdzie sztuka jest próbowana), przy świetnej reżyserji i współpracy twórczego dekoratora, który to teatr, po wyszkoleniu, możnaby z sukcesem w miastach, na stołecznych scenach pokazać.

Zatem: teatr, przez najlepszych aktorów, dla ludu — teatr chłopski, odrodzieńczy, dla prawdziwej inteligencji.

XXVI. PSYCHOLOGJA CHŁOPA.

Z końcem ubiegłego roku otrzymałem był zaproszenie do wzięcia udziału w „Kursach słowiańskich“ w Krakowie, zorganizowanych przez zarząd „Związku młodzieży wiejskiej“, i wygłoszenia na tych kursach wykładu na temat: „Psychologja polskiego chłopa“. Odpowiedziałem zarządowi Związku, że podjąć się referatu na temat ten nie mogę — a w liście niniejszym chciałbym uzasadnić szerzej (bo sprawa jest interesu ogólniejszego), dlaczego na to zaproszenie ze względu właśnie na podany temat musiałem być odmownie odpowiedzieć.

„Psychologja chłopa polskiego“... To coś tak określonego, jak np. „Aura europejska“; ba, znacznie jeszcze, można rzec, powietrzniejszego, jak np. „Kierunek wiatru ziemskiego“. Jakże też nic nie mówi owo zalecenie, często w pochwalnem klepaniu słyszane: „znawca psychologii chłopa“. Właśnie, że mam być, między innymi niewielu, równie

podobnym „znawcą“, ośmielę się rzec: iż t. zw. „psychologja chłopa polskiego“, to jest coś, czego w rzeczy niema.

„Ośmielę się“ — bowiem powszechne mniemanie przeciwnego jest sądu. Powszechnie mówi się: „Chłop jest taki a taki“... (ale jaki chłop?) „Chłopu nie wierz, nie ufaj“... (ale jakiemu?). O jednej jakiejś psychologii chłopa wogóle — trudno zaiście mówić. Czem się ona manifestuje? Czy przywiązaniem do ziemi?... (Nie jeno chłop i nie wszędy jednako jest do niej przywiązany). Czy łakomstwem? podejrzliwością? skrytością?... (Toć wcale nie ogólne są u chłopów rysy i nie jeno im właściwe). Idealizmem? fatalizmem? materjalizmem?... (Wszędyć się w różnej mierze, i nietylko te „izmy“, po duszach wyznaczyć dadzą, od góry do dołu, i jeden „izm“ wspólny chłopom nie może być przypisany).

Skądkolwiekby przyszło szukać tej „chłopskiej psychologii“ jednej, to ją trudno znaleźć, ni oznaczyć. Najwyżej znajdą się tu i tam — w różnych procentowo sumach — wspólne właściwości ludzkie.

Gdy ogólne rysy (pojęć, uczuć, charakteru), które ową psychologję wspólną tworzyć mają, tak trudne są do znalezienia w masie całej narodu chłopskiego — to natomiast

różnice poszczególnych typów same rzucają się w oczy.

Weźmy oto: rasowi chłopi, a nijacy. Ci, dumą tradycyj rodnych psychicznie jak i kształtem wyprostowani — a ci, odumarki chłopskie, tak w ciele, jak i w duszach zgaśli, pokurczeni. Odpowiednio też do tej różnej postawy psychicznej wyznaczają się w nich różnicą, niemal przeciwieństwem, i inne składowe właściwości typu, charakteru.

Dalej weźmy: górale, a lachy nizinni. Odmiennosc pejzażu, klimatu, gleby, warunków, w jakich od dziecka pracują, nie mówiąc o całej inności wstecz, aż do zmięszchu odmiennego zapewne osadnictwa, ukształtowała z nich odmiennie rasy, o temperamentach jak i całym psychicznym kompleksie różnym. To nawet zmięszchu patrzącym da się łatwo widzieć i uważać.

A potem: ziemie, w składzie dawnej Rzeczypospolitej, o odrębnych mniej lub więcej fizjognomjach... Ludność, mieszkająca na nich, mająca każda swoją tradycję, strój inny, inne zwyczaje — po wiekach tego współ ze sobą, a poza innymi osiedlami, życia — ukształciła się, podług tych ziem, w typy etnicznie, jak psychicznie różne.

O wspólnej psychologii warstwy inteligencji można z większym spoźornieniem mówić. BOWIEM wspólne w niej nastawienie

dusz na rzeczy wokół, wspólne mniej więcej pojęcia, kodeksowość jedną wyrabiają szkoły, język, wzory jednakie dla wszystkich, jeden krąg podobny pracy i warunki jedna życia w mieście. Podczas, gdy na obszarach ziem, przez warstwę chłopską zajętych, różnice, wyżej przytoczone, jako też inność gwar, nierównego wyrostu duchowego, stroju, psychologję tę znacznie różnicują.

Zapewne, sporo jest spraw, w czem są podobni chłopi wszyscy. Przedewszystkiem praca na roli, choć w warunkach, podług ziemi, różnych, wiele wyrabia cech wspólnych, które, poza sposobem podobnym ujmowania realności rzeczy, odbijają się w wierzeniach podobnych, w trwodze jednej rolniczej przed siłami ziemi, w zabobonach, w całym kolorycie światopoglądu. Dalej, odnośzenie się do warstw wyższych, nieufnością pewną — na podstawie przygasającej pamięci krzywd dawnych — nacechowane, jest też, choć w stopniu nierównym, wspólne przeważnej większości. Aleć to jeszcze, nawet z dodatkami wielu, nie może ukształtować wspólnej „duszy chłopskiej“. Przeszkadzają tej kształtni różnice, których jest o wiele więcej.

I to, że na jednej dłuży jak i szerzy polskiej mieszkają w masie jednej chłopi, w ramach, znaczonych płotami nieprzechodnych

granic — nie jest wcale argumentem ich też psychicznej jedności. Już gdzie indziej zaznaczyłem, jako np. Podhalanie bliżsi są w typie i zwyczajach Słowakom z pod Trenčyna, niż sąsiednim Lachom z pod Krakowa. Cóż dopiero, gdy zestawie ich z dalszymi Mazowszanami.

Konkluduję: O jednej jakiejś psychologii mas, na obszarze Polski mieszkających, mówić zaiście trudno. Byłoby to tyle, co wodę przez dłoń przelewać — czyli próżne o wieźrze gadanie. Natomiast mówić można — i to z całą już pozytywnością — o psychologii chłopów tych lub owych, na danych ziemiach bytujących.

Psychologja ziemi tej czy owej — to już jest temat realny. I rozważania na podobny temat (zwłaszcza, gdyby o moją ziemię szło, Podhale), byłbym zapewne nie odrzucił.

XXVII. ŻYWA STATYSTYKA.

Artykułem tym zamykam drugi cykl listów ze wsi i nie wiem, czy powrócę jeszcze do tych zastanowień, choć niejedno, coby warte było oczom uwagi pokazać, ostało w zamglu cienia poza rzutem światła. Ale bo też trudno wyczerpać doznaku, choć się i płytką może oku zdawać, rozlewną studnię życia, jeśli bijące siłą źródło ziemne jest jej rodzicem.

Forma podobna dwu tych, niejako pokłóśnie zebranych ze ściernisk wsi zaniedbanej, snopów nie kryje, jakby się zwierzech wydać mogło, tej samej treści. Pierwszy jest w rzeczy owsiany, drugi niby żytni. Gdy w listach, objętych tomem pierwszym, miałem głównie przed oczyma wieś najbliżej mi znaną, wieś Podhala, to zasię w cyklu niniejszym starałem się pójść uwagą dalej — i co mi się nasunęło, jako godne podkreślenia w życiu wsi wogóle, więc i nizinnej wsi laskiej, to starałem się według mej możności

obrazem czy przykładem, czy prostem zanotowaniem ku wyjaśnieniu nieznaną tych stron życia wiejskiego przytoczyć. — Jeśli by mi się choć w części udało niektóre mylne mniemania miejskie o wsi zmienić, parę bajek o ludzkie ku prawdzie nachylić, to już sowicie za trud byłbym nagrodzony. Cóż bowiem zaiste dla pisarza jest wdzięczniejszego, jak świadomość swego narodu o sobie móc choć o sążeń poszerzyć.

Przeglądając te listy wstecz, napotykam o chłopie sporo cierpkich uwag. Nie chciałbym, aby były mylnie rozumiane i ad usum (politycznych zwłaszcza) statystów służące. Dlatego winienem przy zamknięciu rzeczy z całą uważną bezstronnością stwierdzić, że jakkolwiek bądź ono z warstwą chłopską jest, to przecie jest ona jeszcze od innych warstw społeczeństwa o sto moralnie lepsza.

Czemże żyją te warstwy, mające wstęp, ba, i pretensję do wyższej jakiejś kultury? Jakie wnoszą duchowe do życia wartości? Co z siebie państwu wydają, co tworzą? Jakimi są poruszane w rzeczy ideami... Zbyteczna odpowiadać. Patrząc na społeczność zakietową polską, jako się ninie przedstawia, zwątpić wypadłoby o przyszłości tego dziwnie obłądnego kraju, gdyby nie pewna od wsi właśnie zawiewająca otucha. Bo właściwie, to tylko garść rzetelnej intelligen-

cji i lud (potencjalnie) stanowią jakiś czynnik wartościowo = twórczy i niezawodny w dzisiejszym składzie narodu. Reszta — w przesiewie rozważenia — plewy.

Siłą rzeczy lud tworzy zrab podwalinny Rzeczypospolitej — i los jej, taki czy też inny, od jego wewnętrznej postawy zależy. Pierwszorzędną też sprawą jest wiedzieć, co wieś czyni, myśli, jak żyje i ku jakiej grzebie się przyszłości. Poznać wieś polską w sumie i całokształcie jej życia, to konieczność elementarna — podstawa, na której dopiero można coś bez obawy omyłki zakładać.

Jak dotąd — to legendy jeno, o ujemnej czy dodatniej barwie, zastępują w powszechności wiedzę o wsi naszej. — Statystyka urzędowa? Raczej o niej, gdy rzeczywistość mamy na myśli, nie mówić. Jedynie w spisie cyfrowym ludności może się nieco do prawdy przybliżać. Opierać się na jej kartach, to taka pewność zaiście, jakby polegać na opisie jakimś odwróconej od nas stale połówki księżycy.

Jakże wobec tej ciemni i rządzić nieznanym zgoła obszarem? Jak wprowadzać nie oderwane od życia, lecz mające związek z jego tętnem prawa, reformy, ustawy, tak w dziedzinie gospodarczej jak i oświatowej? Najlepsza wola nic tu nie potrafi, chyba najwyżej szkodę jeno sprawić, jeśli jej nie

przyjdzie w pomoc znajomość życia onego, które się chce regulować, wzmacniać, czy przekształcać. Mieć pieczę w stanie niniejszym rzeczy o wsi polskiej, to tak, jakby z Warszawy zawiadywać australijską jakąś kolonją.

Aby poznać tak przez różnice ziem skomplikowane życie ogółu wsi naszych, niedość jest pojechać tu i tam, zaczerpnąć trochę informacji przygodnych, niedość nawet oprzeć się na „chłopach“ w literaturze. Trzeba dla tego celu coś nowotnego przedsięwziąć. Trzeba poprostu na pewien czas odwrócić oświatę — i zamiast chłopów o życiu miast, siebie o wsi oświecać. Zamiast włościan pouczać o kraju, samym tych ziem nieznanym się uczyć. Metodę tej nauki nowej obmyśleć mogą łatwo samouczni w ministerstwie oświecenia męże.

A statystykę urzędową trzeba zastąpić żywą. W tym celu byłoby wskazaniem stworzyć przy władzach centralnych osobny i zasobny w środki potrzebne referat (z kwalifikacją przynajmniej pisarza gminnego), który winienby, zgotowawszy odpowiednie druki, zwrócić się z całą przyołtarzową powagą do wszystkich zaśniedziałych, bo omijanym przez dancingową kulturę współczesną, po wsiach zamieszkałych inteligentów (przewszystkiem do nauczycielstwa, księży,

organistów jako i świątlejszych chłopów), aby o wsi swojej czy o okolicy, w której dłużej mieszkają, którą znają, spisywali wszystko, na co przez lata patrzyli i patrzą, tak z dziedziny rolnej, gospodarczej, jak obyczajowej, zwyczajowej, jak i wszelkiej innej. Nie chodziłoby tu o piękny opis, lecz o prawdę, choćby niedołąźnie zanotowaną. Już cić umiejętniejsi mogliby obraz pełniejszy, dokładniejszy podać. Rozumie się, że praca ta, nie mogłaby być darmowa, lecz dobrze płacona; wtedy ochotnych ku niej znalazłoby się w każdej okolicy wielu. — Materiał ten byłby odsyłany do wymienionego wyżej referatu, tu podług okolic (ziem) segregowany, przez komisję dobraną (tu już wykształcenie, ba, coś więcej niestety niezbędne) umiejętnie w całokształty regionów opracowywany — zeszytami (czy monografjami ziem) publikowany — i stądby dopiero może wyszła statystyka wsi żywa, prawdziwa, na której już z jakimś pewnym sensem można by się w pomysłach reform opierać. I wtedy może — z tych porównań — dałoby się o wsi naszej, tak zróżnicowanej, stworzyć jakąś podstawową, zbawczą na przyszłość syntezę.

Wrocław 23/V 1911 r.

SPIS RZECZY

	Str.
I. Czem wieś żyje?	5
II. Ludzie wsi i miasta	12
III. Rasa i bezrasowość	19
IV. Ród i rodzina	27
V. Miłość i małżeństwa	34
VI. Nieco o szkole	40
VII. Prawo i opinja	46
VIII. Słowo, przykład i nakaz	53
IX. Święta jako barwy roku	62
X. Wierzenia dawne. Zabobony	68
XI. O lekach i leczeniu	75
XII. O kradzieży	82
XIII. Chłop i las	88
XIV. Niedorośli	95
XV. Nad kołem nędzy i powodzi	102
XVI. Zapomogi	109
XVII. Religijność chłopca	116
XVIII. Bractwa nieżywe i żywe	122

	Str.
XIX. Dom i szkoła	128
XX. Jarmark	135
XXI. Żydzi	142
XXII. Cyganie	150
XXIII. Wieś szwajcarska i nasza	157
XXIV. Okulary guwenera	163
XXV. Teatr ludowy	172
XXVI. Psychologja chłopa	179
XXVII. Żywa statystyka	184

TEGOŻ AUTORA:

- NOWELE, z przedm. K. Tetmajera. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1898. (Wyczerpane).
- NAD URWISKIEM, nowele. Tow. Wydawnicze, Lwów 1900. Spółka nakł. „Książka“, Kraków 1909. (Wyczerpane).
- KOMORNICY, powieść. Tow. Wydawn., Lwów 1900. Biblioteka Dzieł Wyborowych, Warszawa 1925. (Wydanie trzecie).
- Z TEJ SMUTNEJ ZIEMI, poezje. Nakład Księgarni Polskiej, Lwów 1903. (Wyczerpane).
- SKAPANY ŚWIAT (POMSTA), dramat w 4 aktach z epilogiem. Nakład Księgarni Polskiej, Lwów 1903. (Wyczerpane).
- OFIARA, dramat w 3 aktach z 46 r. Nakład Spółki Nakł. „Książka“, Kraków, 1905. (Wyczerpane).
- WINA I KARA, dramat w 3 aktach. Nakład „Książki“, Kraków, 1905. (Wyczerpane).
- HERKULES NOWOŻYTNY, nowele. Nakład „Książki“, Kraków, 1905. (Wyczerpane).
- FRANEK RAKOCZY, dramat (Epilog Roztok) w 3 aktach. Nakład Tow. Wydawn., Lwów, 1908. (Wyczerpane).
- MIŁOŚĆ PASTERSKA, nowele. Nakład Tow. Wydawn., Lwów, 1909. (Wyczerpane).

- W ROZTOKACH, powieść w 2 tomach. Tow. Wydawn., Lwów 1903. Inst. Wyd. „Biblioteka Polska“, Warszawa, 1921. (Wydanie trzecie).
- POMÓR, powieść. Nakład Księg. S. A. Krzyżanowskiego, Kraków 1910. „Lektor“, Lwów 1922. (Wyczerpane).
- Z MARTWEJ ROZTOKI, poezje. Nakład „Książki“, Kraków 1912. (Wyczerpane).
- DRZEWIEJ, powieść. Nakład „Książki“, Kraków 1912. Inst. Wyd. „Biblioteka Polska“, Warszawa 1921. (Wydanie trzecie).
- DROGĄ CZWARTAKÓW. Dziennik pułku. Centr. Biuro Wydawn., Kraków 1916. (Wyczerpane).
- PIEŚNI CZASU, poezje. Centr. Biuro Wydawn., Kraków, 1916. (Wyczerpane).
- WESELE PROMETEUSZA, nowele. Inst. Wyd. „Biblioteka Polska“, Warszawa, 1921.
- KOSTKA NAPIERSKI, powieść. Inst. Wyd. „Biblioteka Polska“, Warszawa 1925.
- LISTY ZE WSI (tom I). Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa, 1925.
- WARTA, — studja, listy, szkice. Nakład „Ossolineum“, Lwów, 1926.

